

1933
rok założenia

KAMENA

KWARTALNIK KRESOWY

NR 3-4 (932-933) 1991

CENA 5000 ZŁ

W numerze:

Jan Lewandowski: „A nas przy tym wcale nie było... Między Wschodem i Zachodem” [1]

Władysław A. Serczyk: „Ukraina w oczach Polaków” [3]

Władysław Kuchta: „Złudzenie minionych lat” [7]
Lech Zdybel: „Spokojnie o spiskowej teorii dziejów” [8]

Felieton kwartalny

Ireneusz J. Kamiński: „Jakby” [13]

Leszek Gawor: „musimy być wybitnym narodem. Polska w cywilizacjach wg Feliksa Konecznego” [14]

Józef Krakowiak: „Rozumieć czy krzepić strachem? Czytanie narodowej tradycji” [18]

Okolice sztuki

Ireneusz J. Kamiński: „Wrubel w Chełmie” [21]
Jan Orłowski: „Odkrywanie Daniela Andriejewa” [24]

Daniel Andriejew: „Nawna” [26]
Daniel Andriejew: „Walka z duchowością” [28]

Felieton obrazkowy [30]
Proza

Zofia Grzesiak: „... nie pozwolił mi skończyć ze strachu” [31]
Marian Filipiak: „Jak ścierń potężna jest miłość” [35]

W przestrzeni

Ireneusz J. Kamiński: „Tympanon bez symbolu” [36]

Maciej Kazimierz Sarbielewski: „Oda do rzeki Bug” [38]

Krzysztof Harasimiuk, Marian Harasimiuk: „Bug — portret rzeki” [39]

Anna Kasica: „Dwie Uherki” 42

Mieczysław Buczyński: „W językowych nurtach Bugu, Uherki i Włodawki” [43]

Notatnik słownika

Mieczysław Buczyński: „Gwary nad Bugiem” [43]

Władysław Kuchta: „Rzeka Bug” [44]

Z wierszostatu socjologa

Beata Tworek: „Uwiązał ojca do pala” [45]

Opinie

Jan Lewandowski: „Z dziejów Grabowca” [46]

Andrzej A. Przemyski: „W obronie AK na Wileńszczyźnie” [47]

Feliks Czyżewski: „Zapyski znowu we Lwowie” [48]

Rozmaitości kresowe [49]

Kronika wschodnia [51]

Dokumentacje

(WJ): „Bezrobocie w Chełmskiem” [54]

(RYS): „Casus Roskosz” [55]

Regionalny słownik biograficzny

Konstanty Prażgo: „Tadeusz Fleszyński” [56]

Od REDAKTORA: Uwaga! Wybory do parlamentu odbędą się pod znakiem Skorpiona!

Ukraina w oczach Polaków

Władysław A. Serczyk

Polacy byli więc chytry, lasi na pieniądzu i czuli na pochlebstwa; Ukraińców wyróżniały: zamilowanie do swawoli, nie znające miary okrucieństwo i wrodzona niejako niechęć do „Lachów”. Odpowiednio do tego kształtowały się poglądy na dzieje sąsiedniego narodu.

„musimy być wybitnym narodem”

Leszek Gawor

Mimo wszakże skomplikowanych losów, Polacy, zdaniem Konecznego, wykonali zadanie, jakie przed nimi postawiła Historia. Stali się oni narodem historycznym. Nie tylko, że wytrwali przy cywilizacji łacińskiej, ale i stanowili, i stanowią jej wschodnią flankę.

Rozumieć czy krzepić strachem?

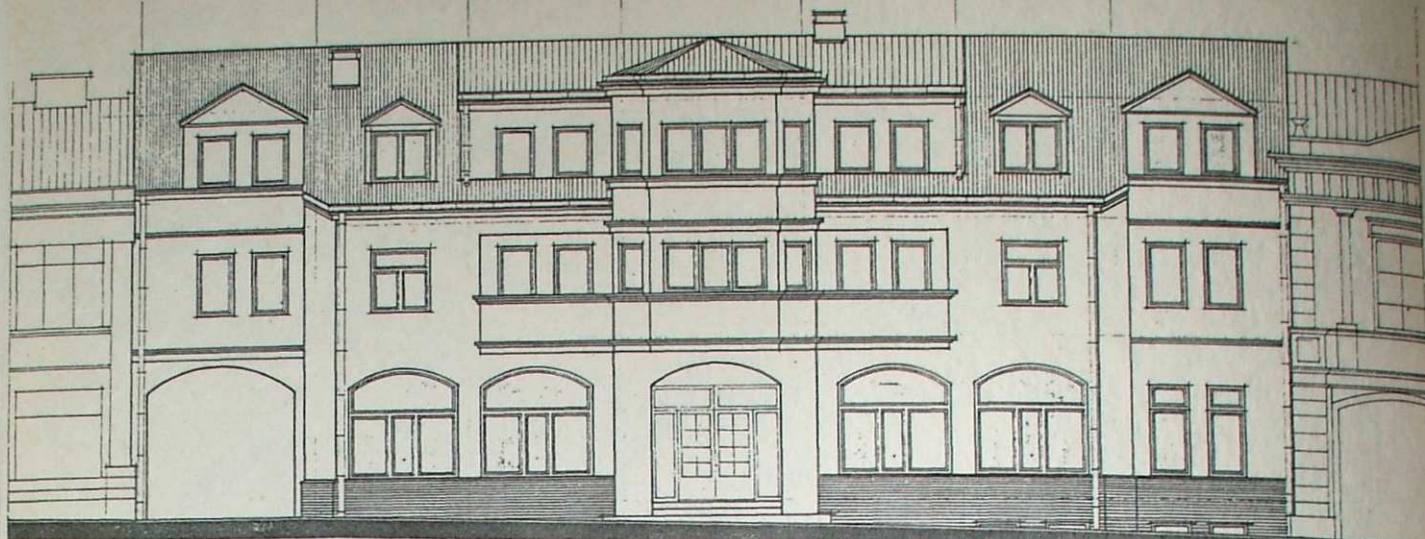
Józef Krakowiak

Chcę przeto jeszcze raz powtórzyć tezę, iż kraje, w których zwyciężyła reformacja, dawno już uporały się z biedą. Sukces rekatolizacji natomiast związał nas z nią niemal małżeńskim węzłem nie tylko dzisiaj, ale zdaje się mamy jeszcze sporo czasu na jej doznawanie (jako społeczeństwo), co oczywiście nie dotyczyło i nie dotyczy duchowieństwa.

Walka z duchowością

Daniel Andriejew

A klasa robotnicza? Mieszkam w kraju, gdzie klasa robotnicza pozostaje hegemonem już piąte dziesięciolecie. Cóż ona stworzyła oprócz wartości materialnych i wszelkich możliwych udoskonaleń technicznych i produkcyjnych?



21 25

25 21

elevacja od ul. lubelskiej 1:100

Rysunek techniczny elewacji frontowej budynku mieszkalno-usługowego przy ul. Lubelskiej 63 w Chełmie, który zafundowały sobie Lubelskie Huty Szkła wedle projektu Jana Osika. To też jest „plomba” w istniejącą wcześniej zabudowę, która może nie ma stylu, ale ma charakter. I Osik poszedł tym tropem charakterologicznym zrećźnie, nie zapominając wszakże, że to on, człowiek urodzony w 1955 roku (w Woli Skromowskiej koło Kocka), też ma coś własnego do powiedzenia w tej historycznej polifonii architektury, czy jak ktoś woli — zwykłego, mieszczańskiego budowania. (O projektach Jana Osika piszemy na s. 36).

Redaktor naczelny:
Ireneusz J. Kamiński

Adres redakcji:
22-100 Chełm, ul. Lubelska 57
tel. 509-11

Nr indeksu 362573

Redakcja zastrzega sobie prawo wprowadzania zmian i skrótów w tekstach przeznaczonych do publikacji; materiałów nie zamówionych nie zwraca autorom. Egzemplarze pisma do nabycia w kioskach „Ruchu” i w prenumeracie rocznej, prowadzonej przez wydawcę. Warunki prenumeraty na rok 1992 zostaną podane w nr. 1/1992. Tymczasem u wydawcy można nabyć egzemplarze archiwalne „Kamieny”: nr 1/1989, nr. 1-4/1990 — po 4000 zł każdy; nr 1-2/1991 — po 5000 zł (cennik ten obowiązuje od 20 lipca br.). Wpłacać należy przekazem bankowym ze wskazaniem: Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Chełmskiej, PKO O/Chełm 11514-635-132. Na odwrocie przekazu należy odnotować numery kwartalnika, którymi zainteresowany jest czytelnik. Koszt przesyłki pocztowej pisma ponosi wydawca.

Wydawca: Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Chełmskiej z dotacji Urzędu Wojewódzkiego w Chełmie.

Skład, łamanie i diapozytywy tekstu: „Versus”, Lublin, ul. Złota 2
Druk: Spółdzielnia „Kartodruk” w Krasnymstawie.

„A nas przy tym wcale nie było...”

Jan Lewandowski

Siódme już LTN-owskie kolokwium naukowe *Między Wschodem i Zachodem* (18–21.VI w Lublinie) miało temat niesłychanie szeroki: *Historia Białorusi, Litwy, Polski i Ukrainy w ich wzajemnych relacjach*. Obrady prowadzono dwutorowo: w grupie poświęconej przedstawieniu wspólnej historii w podręcznikach szkolnych, i w sekcjach specjalistycznych — *Średniowiecze, Religie i kościoły, Wiek XVI–XVIII, Wiek XIX i Wiek XX*. Brałem udział w obradach tej ostatniej, chyba najbardziej rozdyktowanej, by nie powiedzieć pokłóconej.

Wysoka temperatura obrad (pomijając już duszne pomieszczenia pałacu Czarotorskich) wynikała w równej mierze z ich problematyki, ciągle jeszcze żywej, budzącej emocje, z przesycenia debaty tematyką polityczną, zarówno tą z przeszłości, jak aktualną, a także ze zróżnicowanego podejścia, czy raczej postawy poszczególnych dyskutantów. Próbowano chłodniej, z dystansem, wyważonej refleksji nad skomplikowanymi relacjami wzajemnymi czterech narodów dawnej Rzeczypospolitej towarzyszyły postawy emocjonalne, rozrachunkowe, jednostronne.

W tej dyskusji, podobnie jak w wielu poprzednich, pojawił się wątek wzajemnych win, swoistego „rachunku krzywd”, jak gdyby licytacji oskarżeń, ale i samooskarżeń, by nie użyć znanego skądinąd terminu „samokrytyka”. Ta ostatnia nuta pobrzmiwała w części wystąpień polskich historyków, wynikając z przyjęcia dyskusyjnego, oględnie mówiąc dowolnego założenia: można było

wzajemne stosunki, chociażby polsko-ukraińskie w ostatnim stuleciu, ułożyć lepiej, uniknąć wielu konfliktów, ale strona polska nie chciała (nie umiała) porozumieć się z drugą. Nasza wina! I w ten sposób mamy dwudziestowieczny polski mesjanizm à rebours: w dziewiętnastym wieku cierpieliśmy za miliony, a w dwudziestym jesteśmy (jako naród) winni cierpień milionów (także po własnej stronie). Być może z moralnego, zwłaszcza chrześcijańskiego punktu widzenia jest to postawa owocna, budująca, ale ze stanowiska historii jako nauki — całkowicie bezpłodna, bo oparta na dowolnym, niemożliwym do udowodnienia założeniu.

Czy to oznacza, że należy spuścić kurtynę milczenia nad całym tym piekłem, jakie sobie zgotowały narody tej części Europy w XX w.? Nic bardziej błędnego. Spróbujmy jednakże spojrzeć na sprawy polsko-ukraińskie w szerszym nieco kontekście.

Na przełomie XIX i XX w. mamy do czynienia w Europie Środkowo-Wschodniej z kilkoma procesami: unarodowianiem mas ludowych, rozwojem politycznych ruchów narodowych, przybierających coraz częściej nacjonalistyczny charakter, i z narastaniem konfliktów, zarówno między poszczególnymi narodami tej części Europy, jak też między tymi narodami, a państwami — Rosją i Austro-Węgrami.

Na drodze do urzeczywistnienia idei własnego państwa narodowego stały bowiem zarówno dotychczasowe organizmy państwowe — wielonarodowościowe

„więzienia narodów” — jak i „współwięźniowie”: sąsiednie narody, których roszczenia terytorialne wzajemnie się przenikały. Polacy chcieli Lwowa i Wołynia, zaś Ukraińcy Chełma i Przemyśla. I nie ma w tym niczego dziwnego, bo jedni i drudzy mieli na uzasadnienie swych roszczeń zarówno racje historyczne, jak współczesne — w każdym z tych miast mniejsza lub większa grupa ludności posługiwała się bądź jednym, bądź drugim językiem jako macierzystym. I żadna z tych grup nie chciała być upośledzoną mniejszością we własnej ojczyźnie, ale w obcym państwie. Sytuację komplikował fakt, że Polacy i Ukraińcy nie byli jedynymi mieszkańcami tych terenów.

W czasie I wojny światowej i Polacy, i Ukraińcy dawali niejednokrotnie wyraz swym dążeniom do budowy własnej państwowości — ostatecznego celu wszelkich ruchów narodowych i niezbędnego warunku swobodnego rozwoju narodowego. A kiedy w 1918 r. powstały warunki sprzyjające realizacji tych dążeń, konflikt był nieuchronny. Przedmiotem konfliktu stały się zamieszkałe przez Polaków i Ukraińców tereny od Wieprza i Sanu po Zbrucz. Rozpoczęta w listopadzie 1918 r. regularna wojna polsko-ukraińska była nie tylko walką o granice, ale także, a może przede wszystkim o to, kto na spornym terenie będzie, mniej czy bardziej, upośledzoną mniejszością — Polacy, czy Ukraińcy?

W takim ujęciu dotyczyła ona już nieomalże każdego i trudno się dziwić, że konflikt dzielił wsie, sąsiadów, czy rodziny. Bezradne okazywały się instytucje i idee, które, dostrzegając zagrożenia, jakie niesie rozwijający się ruch narodowy, usiłowały im zapobiec, odwołując się do zasady chrześcijańskiej miłości bliźniego, braterstwa narodów słowiańskich, czy też wspólnoty interesów klasowych, przekraczającej granice państwowe i narodowe...

W tej części Europy konflikt polsko-ukraiński nie był jedynym tego typu zatargiem, nie był zatem czymś wyjątkowym. Wydaje się, że między Bałkana-

mi i Bałtykiem trudno byłoby znaleźć „wzorcowy” przykład dobrosąsiedzkich stosunków.

W pewnej fazie rozwoju ruchu narodowego polskiego i ukraińskiego konflikt był nieuchronny. Takie postawienie sprawy stawia pod znakiem zapytania sens rozpatrywania stosunków polsko-ukraińskich w kategoriach wzajemnych krzywd i win, swoistych „rachunków”, wystawianych współczesnym za działania, w których nie brali udziału, lub na które nie mieli wpływu.

Nie oznacza to „odwrócenia się” od przeszłości, od badania właśnie sytuacji konfliktowych — przeciwnie, wyjaśnienie ich genezy, ujawnienie ich przebiegu i mechanizmów, może służyć zarówno lepszemu porozumieniu się obu narodów, jak też rozwiązywaniu obecnych i przyszłych sytuacji konfliktowych, które nieuchronnie towarzyszą sąsiadującym ze sobą narodom w różnych fazach ich rozwoju.

Okazuje się wszakże, że zarówno ten, jak i inne tego typu konflikty można wyjaśnić znacznie prościej. Obrady lubelskie ujawniły żywotność innej jeszcze wersji historii — spiskowej. W oparciu o nią można sobie budować znakomite samopoczucie, a przy tym zdecydowanie i bardzo prosto wyjaśniać najbardziej złożone problemy wzajemnych stosunków. Oto próbka takich wyjaśnień: kto spowodował konflikt polsko-ukraiński w Galicji Wschodniej? Austriacy. A „czerwone noce” na Wołyniu? Niemcy (mogą być też Rosjanie, albo jedni i drudzy). Kto przeprowadził „akcję «W»” w 1947 r.? Komuniści. „A nas przy tym wcale nie było” — jak śpiewano w kabarecie Olgi Lipińskiej.

P.S. Przez szacunek dla Czytelników i obu narodów nie napiszę, co myślę o społeczeństwach, które dawałyby się wodzić za nos jak nie Austriakom, to NKWD, jak nie gestapo, to cyklistom...

Jan Lewandowski

Ukraina w oczach Polaków

Władysław A. Serczyk

Pragnę na wstępie poinformować, że hipotezy, o których będzie mowa, nie wynikają z badań specjalistycznych nad odbiorem dziejów Ukrainy przez Polaków, lecz z refleksji wynikającej z moich studiów ukraiноznawczych oraz poczynionych przy tej okazji spostrzeżeń. Zazwyczaj przy podejmowaniu tematów podobnych zawartemu w tytule na wstępie mówi się o składzie liczebnym, wiekowym, zawodowym czy jeszcze innym przebadanej grupy respondentów. Są to wielkości od kilkuset do kilku tysięcy jednostek. W moim przypadku mogę powiedzieć wyłącznie o trzydziestu pięciu latach własnych poszukiwań oraz przeprowadzanych w tym czasie rozmowach z wieloma tysiącami ludzi, których wszakże nigdy nie starałem się klasyfikować, szeregować, porządkować, przyporządkowywać, a nawet — wstyd się przyznać — policzyć. Wypada więc zapytać na wstępie: czy indywidualne doświadczenie badacza-historyka może być dla niego samego źródłem? Dla mnie odpowiedź jest oczywista, skoro zaproponowałem taki, a nie inny temat swego referatu i zamierzam go państwu zaprezentować. Niestety. Wewnętrzne przekonanie o własnej słuszności wystarczyło niegdyś Franciszkowi Fiszerowi i jego interlokutorom, dzisiaj należy znaleźć inną podstawę, chociaż — być może — nie lepszą i nie bardziej przekonującą. Sprawa polega na tym, że prawdę powiedziawszy, przeciętnego Polaka nie tylko nie interesują dzieje Ukrainy, ale i dzieje Rzeczypospolitej, poza najlepiej znanymi (z różnych zresztą względów) ich fragmentami, takimi jak: chrzest Polski, bitwa pod Grunwaldem, odsiecz Wiednia, rozbiory, bitwa pod Racławicami, powstania (z jakich rozróżnieniem jest już pewien kłopot) oraz paroma faktami z historii najnowszej, wśród których bitwa pod Lenino bywa w niektórych regionach Polski wydarzeniem bardziej znanym, niż boje o Monte Cassino. W swej ignorancji nie jest odosobniony i ze swoimi mizernymi wiadomościami prezentuje się nie gorzej, niż przeciętny obywatel Stanów Zjednoczonych, których historia jest o kilka stuleci krótsza, niż dzieje państwa polskiego.

Pogląd Polaków na historię Ukrainy ukształtował się przez nawarstwianie się przez stulecia pewnych stereotypów i, co paradoksalne, im bliżej współczesności, tym były one dalsze od rzeczywistości. Wśród różnych prób udzielenia odpowiedzi na pytanie zasadnicze: dlaczego tak się działo?, zapomniano o jednej z możliwych, wcale zresztą nie najnowszej, a mianowicie o dawnej wielonarodowości Rzeczypospolitej. Przed rozbiorem nie ulegała wątpliwości oczywistość współistnienia Polaków, Litwinów, Ukraińców, Białorusinów i Żydów, a także Niemców, Tatarów czy Słowaków w jednym mieście. Nie byli to wyłącznie sąsiedzi zza granicy, z którymi trzeba było prowadzić nieustanne walki, lecz przede wszystkim sąsiedzi z tego samego województwa, tego samego miasta, tej samej wsi. Kłócono się często, to prawda, nie częściej przecież, niż z ludźmi tej samej narodowości zamieszkującymi przy tej samej ulicy, drodze względnie nawet w tym samym domu. Spory religijne przybierały niekiedy bardzo ostre formy. Tumulty i bójki na tle religijnym, prowadzące czasem do zabójstw, nie były w Rzeczypospolitej tak rzadkim zjawiskiem, jakim chcieliby je widzieć idealizujący przeszłość autorzy. Spory te toczyły się wszakże przede wszystkim o niedostatek przywilejów, o rzeczywistą równość praw, o uznaną pozycję dla własnego wyznania, nie zaś o dyskryminację innych religii czy obrządków.

W dawnej Rzeczypospolitej ogromną rolę w jej życiu politycznym odgrywała szlachta raska (tzn. ukraińska) i litewska. Porozbiorowe pozostawienie ich poza granicami państwa polskiego spowodowało, że nagle dawni „polscy” Ukraińcy schłopili, zostali bowiem niemal całkowicie pozbawieni własnych elit intelektualnych, majątkowych,

szlachty rodowej, z czego wzięło się zrodzone rychło przekonanie o „lepszości” lub „wyższości” Polaków, którzy z tej racji winni byli, jako lepiej wiedzący, stać się wyrazicielami prawdziwej woli ludu ukraińskiego. Była to tragedia dla obydwu stron, gdyż to, co niegdyś było całkiem naturalne, a więc ludzkie, osobiste i zwyczajne sąsiedztwo stało się czynnikiem prowadzącym do konfliktów przez to, co najbardziej w naszym świecie sztuczne — przez granicę państwową.

Bo, jak pięknie i z żalnością serdeczną pisał niezapomniany Melchior Wańkowicz: „Każda granica ma w sobie coś niesamowitego i mistycznego. Bo to taka sama ziemia z drugiej strony, a tak ludziom życie inne. Zdawałoby się, że na naszym wschodzie, na którym nie ma naturalnych granic, poczucie tej niesamowitości się zmniejsza. Tymczasem jest odwrotnie. (...) Ma się poczucie, że się stoi nad istotną granicą.” [M. Wańkowicz, *Anoda — katoda. Było to dawno*, Wydawnictwo Literackie 1986, s. 8, 9.]

Jedna i druga strona chciała odtąd zawsze widzieć, i widziała, sąsiada o głównie tych złych cechach charakterystycznych, których nie dostrzegała u siebie. Polacy byli więc chytliwi, łasi na pieniądze i czuli na pochlebstwa; Ukraińców wyróżniały zamiłowanie do swawoli, nie znające miary okrucieństwo i wrodzona niejako niechęć do „Lachów”. Odpowiednio do tego kształtowały się poglądy na dzieje sąsiedniego narodu. Nawet słynna polska szkoła romantyczna, nazwana już współcześnie ukraińską ze względu na tematykę wierszy i poematów Malczewskiego czy Goszczyńskiego, pełna sympatii i zauroczenia egzotyką byłych ziem kresowych Rzeczypospolitej, nie wyszła poza stereotypowe sądy i sposób postrzegania zjawisk na ziemiach naddnieprzańskich. Wyglądało tak, jakby w przeszłości narodu ukraińskiego nie było niczego innego poza Kozaczyzną i hajdamakami. Romantyczni poeci tym się tylko różnili od współczesnych sobie rodaków nie zarażonych „chorobą ukraińską”, że w obu tych zjawiskach dostrzegali nie krwawe bunt i powstania przeciw prawowitej władzy, lecz dążenie do wolności nie ograniczanej przez nikogo, mogącej się swobodnie rozwinąć na bezkresnych stepach Dzikich Pól oraz w głębokich jarach i puszczańskich macecznikach Prawobrzeża. Niewiele umiało złączyć dzieje Rusi Kijowskiej z dziejami Ukrainy po Berestecku, Hadziaczku, rozejmie andruszowskim i pokoju wiecznym Grzymułtowskiego. Prawie nikt nie zdołał ułożyć ich w historię jednej ziemi i jednego narodu.

Stereotyp utrwalił się w latach walki o niepodległość, w których zbiegła się polska szansa odzyskania utraconej przed laty suwerenności państwowości z ukraińską szansą niepodległościową. Na nieszczęście dla obu stron, okazały się one przeciwnostawne. Podłożem konfliktu stały się spory terytorialne, jakie doprowadziły do wojny polsko-ukraińskiej, obrosłej w legendę i płodnej w tak liczne zastępy męczenników z obu stron, że wystarczyłoby ich na niejeden ołtarz Ojczyzny. Znowu stronie polskiej przypominały się spalone i zrabowane dwory, zwłaszcza gdy patrzyła na zniszczenia dokonane całkiem współcześnie; a nie tyle historyczne, ile anachroniczne nazwy ukraińskich formacji wojskowych (Siczowi Strzelcy, ugrupowania hajdamackie) współdziałały w tworzeniu tego jednostronnego obrazu. Każde nowe starcie wzmacniało tę myślową konstrukcję, zaś w latach międzywojnia okazji do tego nie brakowało.

Kłęska wrześniowa spowodowała kolejne nasilenie się starego, „niepodległościowego” konfliktu z tą wszakże odmianą, że tym razem strona ukraińska uzyskała przewagę i że skorzystała z pomocy hitlerowskich Niemiec. Potem to już była prosta kontynuacja nie kończącej się wendety. O spokojnym spojrzeniu na wspólną przeszłość nie było nawet mowy. Groziło to posądzeniem, nawet o zdradę interesów ojczystych.

Z tym właśnie obciążeniem stanęliśmy współcześnie wobec naszego sąsiada, również nie grzeszącego obiektywnością w swoim widzeniu Polaków i ich narodowej historii. Niestety, do dzisiaj nie wyszliśmy w większości poza stereotypy, tradycyjne obawy i niewiarę w możliwość zmiany na lepsze. Wprawdzie zmieniła się w sposób zasadniczy sytuacja polityczna w kraju; wprawdzie żadne z ugrupowań nie twierdzi już, że w Polsce mieszkają tylko Polacy i jesteśmy państwem jednonarodowym; wprawdzie w wielonakładowej prasie dominują artykuły i reportaże ukazujące obecną rzeczywistość i przeszłość ukraińską w sposób prawdziwy, a politycy wyciągają rękę do porozumienia, rzetelnej współpracy i zgody, ale wystarczy jeden krok uczyniony fałszywie, jedna nierzeczność którejkolwiek ze stron, by odezwały się dawne animozje i uprzedzenia. Dodać wypada otwarcie, że nie tylko Polacy są winni takiemu stanowi rzeczy. Tak na przykład strona ukraińska domaga się słusznie nie tylko oświadczeń, lecz i aktów prawnych związanych z konsekwencjami osławionej akcji „Wisła”. Pragnie także jej oficjalnego potępienia. Taki krok został już dokonany przez Senat Rzeczypospolitej Polskiej, natomiast nie uczynił tego jeszcze Sejm. Przy każdej więc okazji, nawet na naukowych sympozjach, powraca się do tej kwestii, jakby zapominając o konieczności podjęcia podobnych decyzji i oświadczeń przez odpowiednie władze Ukrainy. I nie chodzi tutaj rzecz jasna o ważenie krzywd wyrządzonych jednym przez drugich, lecz o posunięcie dające, jakże ważną dla opinii społecznej, równoległość i równowagę działań.

Nie sposób przy tej okazji pominąć innej strony owego szczególnego dla Polaków problemu ukraińskiego, związanego nie tylko ze stosunkami sąsiedzkimi, ale również z bytowaniem w Rzeczypospolitej prawdopodobnie około trzystutysięcznej rzeszy Ukraińców z ich problemami, nie wynagrodzonymi krzywdami i kompleksami. Kwestią tą jest problem religijny. Minione półrocze doprowadziło do uwewnętrznienia się wciąż jeszcze — jak się okazało — żywych niechęci. Jak wiadomo, większość Ukraińców mieszkających w granicach Polski to grekokatolicy. Gdy wyrzucano ich z ojcowizny w ramach akcji „Wisła”, pozbawiono ich jednocześnie świątyń, rozproszono na ziemiach północnych i zachodnich, odcinając w ten sposób również od dotychczasowych duszpasterzy. Cerkwie zniszczono, rozgrabiono, lub niszczyły same, pozbawione codziennej, troskliwej opieki. To samo stało się z cmentarzami. Do niektórych wprowadzili się parafie rzymskokatolickie. Bardziej skomplikowana sytuacja panuje na terenach Ukrainy radzieckiej, gdzie obok siebie istnieją: Cerkiew prawosławna podporządkowana patriarche moskiewskiemu, odrębna Cerkiew ukraińska uznająca władzę tego patriarchy, samodzielna autokefaliczna Cerkiew ukraińska oraz Kościół grekokatolicki.

15 lutego 1991 roku podpisano umowę hierarchów rzymsko- i grekokatolickich w Polsce o przekazaniu na pięć lat kościoła św. Teresy w Przemyślu na katedrę odnawianej diecezji grekokatolickiej, nazajutrz powstał Społeczny Komitet Obrony tegoż kościoła i rozpoczął swój strajk okupacyjny w jego wnętrzu, 2 marca konsekrowano we Lwowie biskupów pomocniczych archidiecezji lwowskiej (rzymskokatolickiej) Markiana Trofimiaka i Władysława Kiernickiego, 28 marca rada miejska Lwowa zaproponowała odłożenie przewidzianego ingresu arcybiskupa Mariana Jaworskiego, który otrzymał już w styczniu nominację papieską na archidiecezję lwowską, 13 kwietnia odbył się w Przemyślu ingres grekokatolickiego biskupa Martyniaka, a 2 czerwca na mocy decyzji Jana Pawła II grekokatolikom przekazano „na wieczne czasy” dotychczasowy kościół garnizonowy w Przemyślu, który od tam ma być ich katedrą. Przypomnienie głównego wątku wydarzeń dotyczących sytuacji Kościoła i Cerkwi na pograniczu polsko-ukraińskim jest o tyle istotne, że niejako na marginesie odbywały się demonstracje ludności ukraińskiej i polskiej, świadczące o ich postawach, jakie ujawniły się w pewnym układzie ekstremalnym. Nasze zainteresowanie wzbudziły postawy strony polskiej, tej zwłaszcza jej części, która w sposób zdecydowany wystąpiła przeciw decyzji władz kościelnych. Jakże prezentowała ona opinie, wiemy z obszernych relacji prasowych (i nie tylko, bo również z reportaży telewizyjnych i radiowych). Charakterystyczne jest natychmiastowe zwrócenie się sfanatyzowanej części społeczeństwa przemyskiego przeciw Ukraińcom. W zamieszczonej



Teatr Wielki we Lwowie, wzniesiony w latach 1897–1900 wg projektu Zygmunta Gorgolewskiego. Obecnie Teatr Opery i Baletu im. I. Franko

w *Gazecie Wyborczej* relacji Andrzeja Łomanowskiego czytamy m. in.: „W Przemyślu na murach pojawiają się hasła: *Zabij Ukraińca!* oraz ukraiński herb, trójząb, na szubienicy.” a, także: „Od 47 lat mieszkam w Przemyślu — twierdzi rzeczniczka protestujących pani Anna Heyder, jedyna znajdująca się na zewnątrz kościoła (św. Teresy — uw. W.A.S.) — i nie wiedziałam, że są tu jacyś Ukraińcy”. [*Gazeta Wyborcza*, nr 94 z 22 kwietnia 1991]. Tak więc obserwujemy ujawnienie się opinii, że uprzednio nie słyszało się w Przemyślu o Ukraińcach w ogóle, bo — jak można sądzić, perfidnie ukrywali swoją egzystencję przed Polakami. Pojawienie się jakichkolwiek, nawet najbardziej uzasadnionych postulatów ukraińskich przyjmuje się nie tylko ze zdziwieniem, lecz wręcz z oburzeniem, jako chęci usunięcia ludności polskiej z zajmowanych przez nią terenów, przypuszczając, że chodzi o powrót dawniej prezentowanych postaw nacjonalistycznych. Tak więc, w tym wypadku na prawdopodobny nacjonalizm odpowiada się nacjonalizmem rzeczywistym. „Tryzub”, herb państwa ukraińskiego jawi się wyłącznie jako herb tych oddziałów, które brały udział w krwawych akcjach eksterminacyjnych skierowanych przeciw ludności polskiej. Nie ma w tej sytuacji mowy o jakichkolwiek argumentach. Przemawiają wyłącznie emocje. Po drugiej stronie sytuacja jest podobna względnie nawet identyczna, lecz nie stanowi to przedmiotu niniejszych rozważań.

Wiele refleksji, różnego zresztą rodzaju, budzą w społeczeństwie polskim ukraińskie procesy emancypacyjne. Z grubsza rzecz biorąc, można powiedzieć, że w kwestii tej wyodrębniły się dwie główne grupy stanowisk.

Pierwsza z nich, reprezentowana zwłaszcza przez środowiska inteligencji katolickiej oraz ugrupowania wywodzące się z „Solidarności”, przyjmuje z uznaniem przemiany zachodzące na Ukrainie, dając temu wyraz w oficjalnych wystąpieniach parlamentarzystów, publikacjach prasowych i odpowiednich oświadczeniach. Jest to stanowisko szczere, nie powodowane żadnymi względami koniunkturalnymi, akcją przedwyborczą itp., wyrażane zarówno w kraju, jak i poza jego granicami, zarówno na Ukrainie, jak i w polskich czy ukraińskich środowiskach emigracyjnych. Wypowiedzi tych jest wiele i stały się one obecnie ważnym nurtem polskiej rzeczywistości politycznej. Jak jednak można sądzić ze stale powtarzających się nazwisk, liczebność tej grupy nie jest zbyt duża i nie ma ona skłonności do szybkiego powiększania się. Co więcej, jej członkowie zaczynają odczuwać pewne zniechęcenie, widząc niewielkie w zasadzie skutki swej działalności i — jak się często słyszy

—nie widzą dalszej potrzeby przekonywania samych siebie o prawdach, co do których już dawno zostali przekonani. Jak się wszakże wydaje, obecnie sprawą najważniejszą jest zapewnienie poglądom tej grupy trwałego istnienia w polskim życiu publicznym i środkach masowego przekazu oraz zapewnienia jej dzięki temu stałego oddziaływania na poglądy reszty społeczeństwa. Warto dodać, że świadectwem dokonującego się już w tej mierze przełomu jest zaprzestanie napaści prasowych, często bardzo osobistych, na osoby, które do tej grupy należą i przyjęcie faktu ich egzystencji (wraz z ich poglądami) jako rzeczy całkowicie normalnej i nie godzącej w niczyje osobiste interesy.

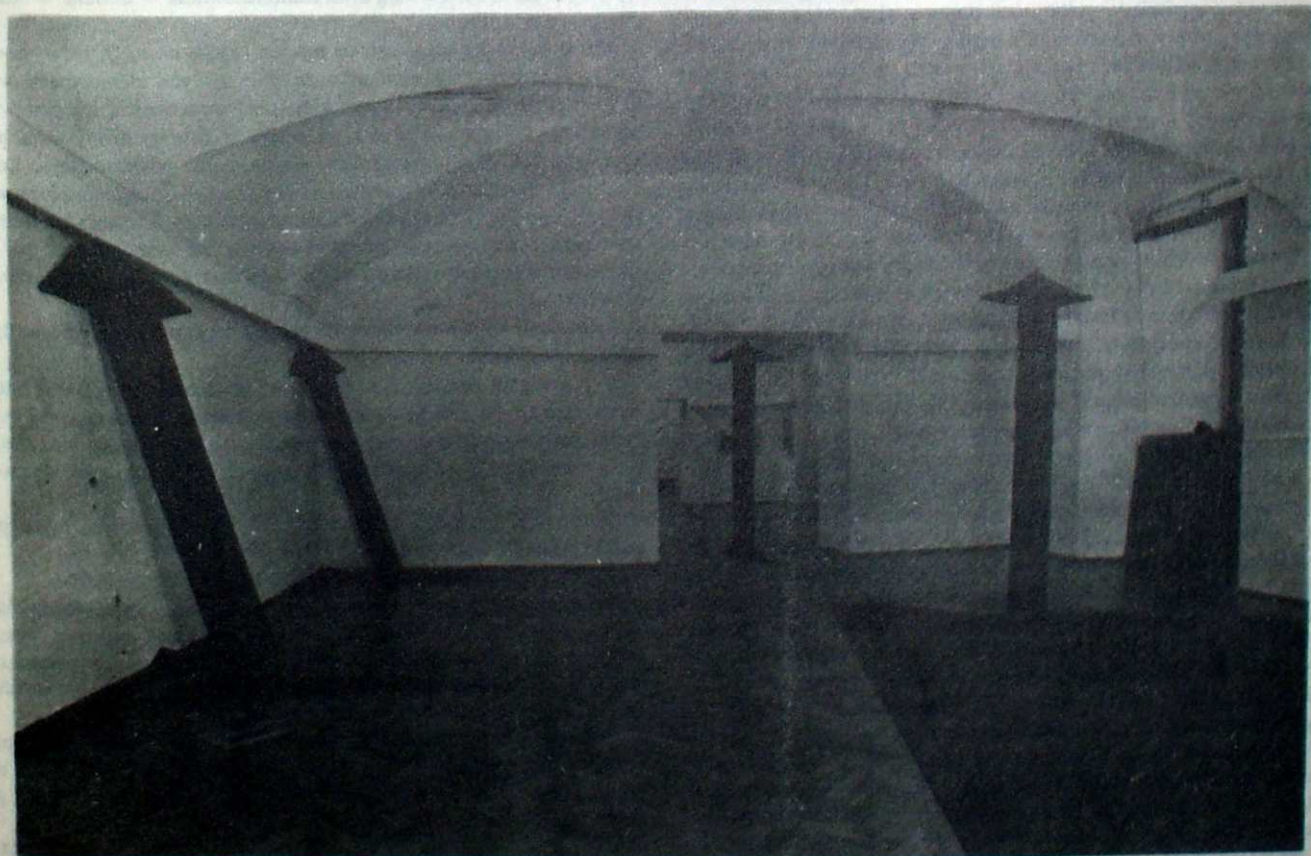
Dawne tzw. środowiska kombatanckie, niemal całkowicie złączyły się z niewielkimi grupami (nazwijmy je elegancko) tradycjonalistów demonstrujących postawy rewindykacyjne (Lwów był i będzie polski!), zawsze otwarcie antykomunistycznych. Ten dziwny sojusz, nie mający żadnego formalnego charakteru, złączył w ten sposób ludzi z przeciwnych obozów politycznych: obecnych malkontentów z dawną opozycją, a jedyną wspólną platformą jest ich stosunek do sprawy ukraińskiej. Mimo to jednak obydwie części tego swoistego ugrupowania należy traktować odrębnie, są bowiem od siebie zbyt daleko.

Grupa nazwana przeze mnie kombatancką to głównie ludzie biorący w latach czterdziestych udział w walkach z Ukraińską Powstańczą Armią, uczestnicy akcji represyjnych z urzędów bezpieczeństwa, Milicji Obywatelskiej itp. Bardzo ściśle związane są z nimi osoby z dawnego aparatu partyjnego i terenowych organów władzy, głównie z Polski południowo-wschodniej, a także ci, których objęła skutecznie odpowiednia akcja edukacyjna oparta na stereotypach zawartych w *Łunach w Bieszczadach*, *Ogniomistrzu Kaleniu*, *Atamanii UPA* i *Herosach spod znaku Tryzuba*. Liczba ich, co oczywiste, zmniejsza się stale, a i hasła, pod którymi występują, nie mają już dzisiaj tego znaczenia, jakie posiadały niegdyś. Ich anachroniczność stała się oczywista m. in. dzięki przemianom, które dokonały się w Polsce w ostatnich latach, a również dzięki stałej obecności stanowiska przeciwnego w mass-mediach i życiu publicznym. Na przykład nikt już dzisiaj nie będzie

z pełną odpowiedzialnością i w nadziei na pozyskanie zwolenników głosił przekonania o zasadności, ba! konieczności przeprowadzenia akcji „Wisła”, czy też wręcz o oczywistości zastosowania wówczas, w 1947 r., zasady zbiorowej odpowiedzialności. Podobnie trudno byłoby zaprzeczyć udziału polskich ugrupowań partyzanckich w akcjach pacyfikacyjnych i odwetowych skierowanych przeciw ukraińskiej ludności cywilnej.

Inaczej sprawę tę traktują polscy przesiedleńcy ze wschodu i ludzie bliscy im poglądami. Tutaj też istnieją podziały wewnętrzne, chociaż nie zawsze wynikające z różnicy wieku, czy też miejsca urodzenia. Raczej rzadko mówi się wprost o konieczności przywrócenia granicy z 1939 roku, sprzed 17 września, natomiast dość często powraca sprawa polskości Lwowa, jego charakteru czy nadanego mu za to, że był „zawsze wierny”, krzyża *Virtuti Militari*. Hasła rewindykacyjne, zwłaszcza po wspólnej polsko-ukraińskiej deklaracji o nienaruszalności granicy między obu państwami i po ostatnich nominacjach papieskich brzmią po prostu równie anachronicznie, jak wymienione poprzednio. Pozostają wszakże mocno podkreślane i niejednokrotnie przy różnych okazjach akcentowane sentymenty. Dla ludności ukraińskiej, jak się wydaje, brzmią one niekiedy niepokojąco, ale wynika to ze szczególnego sposobu traktowania granicy państwowej nie tyle między Polską a Ukrainą, ile między Polską a Związkiem Radzieckim. Ta granica funkcjonuje jeszcze według starych zasad, broniąc ZSRR przed wpływem nowych idei i skutecznie utrudniając swobodny przepływ ludzi i towarów. Co więcej, nie tylko obecne rządy radzieckie, ukraiński i federalny, lecz również różne ugrupowania polityczne traktują ją jako pewien element prowadzonej walki politycznej, wykorzystywany w odpowiednich sytuacjach.

Tak zarysowany obraz współczesności wygląda niezbyt pocieszająco. Wydaje mi się jednak, że zawiera on i tak sporo elementów optymistycznych, których nie było jeszcze przed dwoma laty. Chodzi zwłaszcza o trwałość nurtu zmierzającego do zrozumienia nie przeciwnika, lecz partnera, i do porozumienia się z nim, oraz o stopniowo



Maciej Berdyszak: instalacja „Adoracja Ziemi” w chełmskiej Galerii 72 (patrz: „Kronika”)

zanikającą wrogość czy nawet tylko — uprzedzenia do sąsiadów ze Wschodu. Warto jednak dodać raz jeszcze, że trudności w przebywaniu tej drogi nie wynikają wyłącznie z winy strony polskiej, lecz że i strona ukraińska stwarza czasami przeszkody, niekiedy bardzo poważne, a w każdym razie rzadko tę drogę ułatwia.

Nad współczesnością wciąż ciąży przeszłość, a gdy mowa o ułożeniu stosunków polsko-ukraińskich w przyszłości, więcej się na ten temat mówi, niż robi.

Od przeszłości jednak oderwać się nie da, chodzi wszakże o to, by jej obraz w świadomości społecznej był obrazem przynajmniej zbliżonym do rzeczywistości historycznej. Niestety, wyzwolenie się od tradycyjnego widzenia sienkiewiczowskiego *Ogniem i mieczem* przychodzi z ogromnym trudem. Nadal przeważa pogląd, że Sienkiewicz utrwalił wśród współrodaków tradycję traktowania Kozaczyzny z pogardą, uznając w niej jednego ze sprawców osłabienia Rzeczypospolitej w połowie XVII wieku. Uważni czytelnicy dzieła wiedzą, jak bardzo niesłuszny jest ten pogląd oraz ile zrozumienia dla tzw. kwestii kozackiej zawarł autor na kartach pierwszej części trylogii. Wydaje mi się, że w pewnej mierze na ten stan rzeczy wpłynęły nie tyle prawie już zapomniane publikacje krytyczne Olgierda Górki, ile atmosfera panująca w kraju przez długie lata po drugiej wojnie światowej. Ukrainę traktowano wyłącznie jako jedną z ziem, nie zaś sfederalizowanych państw, Związku Radzieckiego. Przesadna ochrona interesów ZSRR w Polsce doprowadziła nie tylko do licznych „zapisów” cenzorskich, lecz również do wyznaczenia fundamentalnych zasad całej polityki kulturalnej minionego czterdziestopięciolecia, z różnym zresztą stopniem ich oddziaływania na polską rzeczywistość. Wiadomo jednak powszechnie, że na przykład przez długie lata *Ogniem i mieczem* wydawano wyłącznie jako część składową *Dzieli wszystkich* lub *Dzieli wybranych* Sienkiewicza, natomiast oddzielnie publikowana trylogia zawsze (do końca lat sześćdziesiątych i nawet nieco później) pozbawiona była swej części pierwszej. Krążyła nawet anegdota, że na ten cykl powieściowy składają się: *Potop*, *Pan Wołodyjowski* i *Rada perejesławska* Natana Rybaka.

Swoją cegiełkę dołożyli też niektórzy historycy, a zwłaszcza ci autorzy podręczników szkolnych, którzy powstanie Chmielnickiego traktowali wyłącznie w kategoriach rosyjskiej racji stanu, a więc „wossojedinienija” zamykającego „wojnę wyzwolenczą”, czyli — powtórnego zjednoczenia, całkowicie bez uwzględnienia siedemnastowiecznych realiów. Taki punkt widzenia na ważny fragment dziejów Polski przyjmowany był po prostu z niechęcią, wręcz z obrzydzeniem, zwłaszcza że w tradycji rodzinnej przeważał Wołodysowski, Skrzetuski i Zagłoby funkcjonowały jako jedyne dotychczas źródło wiedzy o tamtych czasach. Coraz powszechniejsze i coraz odważniejsze odrzucanie panującego systemu ustrojowego we wszystkich jego przejawach prowadziło również do całkowitego odrzucenia narzuconych przez historiografię radziecką nowych marksistowskich stereotypów, nawet tam, gdzie pozwalały one spojrzeć bardziej obiektywnie na fragmenty historii stosunków polsko-ukraińskich. Spowodowało to utrwalenie się poglądów tradycyjnych, które teraz zaczęto łączyć z przyjęciem opozycyjnej postawy politycznej. Stało się to wyraźnie widoczne w wypadku historii najnowszej, ale także rzutowało i nadal rzutuje na sposób widzenia odleglejszej przeszłości.

Podobnie rzecz się ma z hajdamacką oraz nader luźnymi wiadomościami o narodowym ruchu ukraińskim, z reguły nazywanym nacjonalistycznym, które to pojęcie ma pejoratywne zabarwienie. Klinicznym wręcz przykładem wpływu wydarzeń współczesnych na ocenę przeszłości jest sprawa Cmentarza Obrońców Lwowa, bestialsko zniszczonego, głównie na początku lat siedemdziesiątych przez radzieckie władze miasta, zapewne na rozkaz idący z góry. Wprawdzie jednocześnie i to w sposób bezpowrotny ci sami ludzie zniszczyli kwatery Strzelców Siczowych na cmentarzu Janowskim we Lwowie, ale wiadomość o tym nie dotarła prawie zupełnie do świadomości polskiej opinii publicznej. Zwrócenie się przeciw Polakom biorącym przed laty udział w walkach o Lwów i tam poległym przyczyniło się do powstania naturalnej, moim zdaniem, reakcji wyrażającej się w licznych publikacjach podkreślających nie tylko wielowiekową polskość miasta, lecz również nadzieje na jego powrót do granic Rzeczypospolitej. Zniesienie cenzury w Polsce otworzyło możliwość wypowiedzenia publicznie tego, co przez wiele lat nie znajdowało ujścia, bo było objęte różnego rodzaju zakazami.

Stan obecny, zdaje sobie z tego doskonale sprawę, daleki jest od normalności. Tradycja, resentymenty i wciąż jeszcze mało znana historia Ukrainy są tego przyczyną. Przeciwny Polak nie wie o kulturze dziewiętnastowiecznej Ukrainy niczego poza, być może, znikomymi informacjami o postaci Tarasa Szewczenki. Nie wie też niczego o tym, co działo się na ziemiach ukraińskich w okresie międzywojennym. Nie wie nic o ukraińskich partiach politycznych i ich ideowym rodowodzie. I gdyby nie wynikały z tego jego obecne postawy wobec kwestii ukraińskiej, pełne uprzedzeń i niedowierzania, można by na fakt ten w ogóle nie zwracać uwagi. Gorzej, że — jak to zwykle bywa — wiadomości o zjawiskach właściwych procesom odrodzenia narodowego, które nie zawsze mogą budzić aprobatę, dotarły do społeczeństwa polskiego w relacjach znacznie obszerniejszych, a zwłaszcza — barwniejszych, niż relacje o elementach budowanego na nowych już fundamentach porozumienia polsko-ukraińskiego. Powstanie ukraińskiego Ruchu Ludowego odnotowane zostało wprawdzie przez całą prasę polską, ale na plan pierwszy wysunięto nieszczytną kwestię herbów Chelma i Przemyśla, które pojawiły się na sali obrad. Doprowadziło to nie tylko do umniejszenia znaczenia powstania Ruchu, ale również do pojawienia się nieufności wobec niego już w chwili jego narodzin. Polak nie wie nic o programach współczesnych partii ukraińskich, o zasięgu ich oddziaływania, o bazie społecznej i przedstawicielstwie parlamentarnym. Informacje dziennikarskie robione są bowiem podobnie, jak w Londynie, Paryżu lub Nowym Jorku — zgodnie ze światową hierarchią ważności wydarzeń politycznych, gdy rozsądek nakazywałby mówić więcej o tym, co dzieje się u sąsiadów — tak, jak uczyniono to z Litwą. Coraz liczniejsze fundacje działające na rzecz rozszerzenia kontaktów polsko-ukraińskich gotowe są finansować jednorazowe akcje, które dzisiaj są już tak liczne, że można mówić o pewnych, występujących w tej mierze procesach inflacyjnych. Znacznie gorzej jest natomiast z akcjami o ciągłym charakterze. Brak zdecydowanej polityki wschodniej, a raczej brak wielu wariantów jej prowadzenia przy nieprzewidywalności wydarzeń w ZSRR jako państwie federalnym i na samej Ukrainie, również powoduje ów brak zainteresowania społeczeństwa polskiego dla historii i współczesności ukraińskiej, brak zainteresowania — dodam — budzący mój poważny niepokój.

Próba podsumowania całości nie jest rzeczą łatwą. Z jednej bowiem strony mamy do czynienia albo ze stale żywymi stereotypami w postrzeganiu rzeczywistości ukraińskiej, albo też łatwością ich ponownego pojawiania się w świadomości społecznej. Z drugiej strony wszakże nie sposób nie dostrzegać coraz liczniejszych, coraz odważniejszych i coraz bardziej przemyślanych wypowiedzi świadczących o dokonanej już rewolucji poglądów polskich elit intelektualnych oraz o zrozumieniu konieczności szybkiego i stanowczego przeciwstawiania się wszystkiemu, co trąci anachronizmem i prowadzi do odżycia dawnych sporów, urazów, niechęci i konfliktów.

Utrwalenie owych pozytywnych zjawisk nastąpić może głównie dzięki trzem czynnikom:

- 1) pojawieniu się nowych programów i podręczników, głównie historii, zmierzających do oswojenia młodego pokolenia z szokującymi jeszcze dzisiaj realiami w dziejach i współczesności stosunków polsko-ukraińskich (np. „wzajemność” wyrządzonych krzywd, polskość i ukraińskość Lwowa etc.);

- 2) stabilizacji sytuacji na Ukrainie i określeniu trwałych pryncypiów polskiej polityki wschodniej;

- 3) równoczesności podobnych działań ze strony ukraińskiej.

Trudno przy tej okazji nie wspomnieć o położeniu mniejszości polskiej na Ukrainie, która ze względu na swoją strukturę wiekową wymaga szczególnego jej traktowania. Również „zaległe” sprawy prawne związane z sytuacją Ukraińców zamieszkujących Polskę winny zostać możliwie szybko załatwione zdecydowanie do końca.

Jestem optymistą, a mój optymizm opiera się na stwierdzeniu jednego tylko faktu, a mianowicie, że przed laty głosy podobne mojemu były głosami jednostek, dzisiaj to głos elit, jutro — być może — to głos społeczeństwa.

Władysław A. Serczyk

Publikowany tekst autor wygłosił na VII kolokwium „Między Wschodem i Zachodem”, zorganizowanym przez Lubelskie Towarzystwo Naukowe w czerwcu br. (red.)

Władysław Kuchta

Złudzenie minionych lat

*Dziś młodość moja
jest tylko echem —
które co dzień witam
pieśnią i śmiechem...
Goniłem białe motyle
rwałem kwiatki na łące
tyle było uciechy —
w dłonie brałem słońce
Gdzieś to wszystko umknęło
za dalekie rubieże —
dziś jestem sam w sobie
zda się do nikogo nie należe*

Poecie z Mołodutyna, autorowi pięknych i licznych wierszy, ogłoszonych m. in. w kilku tomikach, nadto współzałożycielowi Stowarzyszenia Twórców Ludowych i laureatowi wielu nagród literackich, w tym im. Jana Pocka — w 80 rocznicę Jego urodzin (7.X.) redakcja „Kamieny” kłania się w pas, życząc Mu takiej dobrej kondycji na przyszłość, jaką posiada On obecnie. Ośmielamy się przy tym zauważyć, że ostatnie cztery wersety publikowanego wiersza barwi licentia poetica, bo jeśli nie Poeta do nas, to my na pewno do Pana Kuchty należymy — uczuciem przyjaźni i szacunku, co w imieniu redakcji oznajmia

Ireneusz J. Kamiński

Spokojnie o spiskowej teorii dziejów

Lech Zdybel

„Czy zjawisko nacjonalizmu w Polsce współczesnej istnieje w takim wymiarze, by w ogóle warto o tym mówić? Ja uważam, że tak, chociaż doprawdy nie wiem, czy stało się w tym względzie coś istotnie nowego, czy po prostu nagle otworzyło się pole dla tego, co było zawsze, ale uwięzione. (Demony czasami wypuszczano z uwięzi, ale potem te same ręce wkładały je z powrotem pod skórę). Jeżeli mamy mówić o nacjonalizmie, to musimy mówić również o jego/przyległościach, bo nacjonalizm to nie tylko wywyższanie własnego narodu nad inne, to z reguły również cały bagaż uprzedzeń, różne formy nietolerancji.” (Tomasz Jastrun)

„Sprawa narodowa wraca dziś przedziwną czkawką. Powraca chorowaniem na polskość, polegającą na nieustannej potrzebie potwierdzania swojej przynależności narodowej, jakby ktoś mógł ją komuś odebrać, jakby fakt, że ktoś urodził się w kulturze polskiej, że używa tego języka, że współtworzy kulturę polską był nie dość wystarczającym kryterium przynależności do narodu polskiego. Wraca problem polskości w tym okropnym wyszukiwaniu sobie niewłaściwych przodków, wraca często jeszcze brzydziej i gorzej: spiskowymi wizjami historii lansowanymi przez kilka dość krzykliwych ośrodków i ugrupowań (ruch «samoobrony katolickiej», «Grunwald», «Odpowiedzialność i Czyn», jeden z kościołów warszawskich), od których można się dowiedzieć, że Polska przez wieki była nieustannie gwałcona przez żydo-masonów, a ekspozytariuszami wrogich narodowi sił byli i są Komensky, Stanisław August Poniatowski, Piłsudski, Cyrankiewicz, Berman, Minc, Michnik, a czasem Stomma, Micewski i Turowicz. Oto dowiadujemy się, że tę wrogą narodowi politykę uprawiali lub uprawiają «Solidarność», «Tygodnik Powszechny», «Więź». Są to oczywiście stanowiska ekstremalne. W każdym społeczeństwie znaleźć można szaleńców. Jest jednak pewne ale... Ta postawa obłąkanej twierdzy narodowej, obłąkanej przez bliżej niezidentyfikowane siły jest publicznie wzmacniana rosnącymi wpływami środowisk endeckich, jest lansowana w artykułach, przykro powiedzieć — czasem w kazaniach...” (Paweł Śpiewak).

„Nie wiem, jakie miałbym zdanie na temat polityki Romana Dmowskiego i Narodowej Demokracji w roku 1905, w trakcie I wojny światowej, czy w latach dwudziestych. Dostrzegam, że Dmowski był wybitnym graczem, że poszukiwał sposobów na unowocześnienie polskiej umysłowości, ale wiem, że w pogoni za sukcesem gotów był sięgnąć po propagandę antysemicką. Wiem też, jakie jest moje zdanie na temat dopasowania poglądów Dmowskiego do współczesności. Uważam to za niebezpieczny anachronizm. Niebezpieczny nawet nie dlatego, że endecja głosiła otwarty antysemityzm, ani nie dlatego, że obawiam się wzrostu uczuć nacjonalizmu w Polsce — czego kiedyś obawiał się z kolei Jacek Kuron — lecz dlatego, że powrót Dmowskiego nie nie wyjaśnia, nie pomaga zrozumieć, ani

nie pomaga działać, we wszystkim zaś przeszkadza. Podobnie zresztą jak powrót do Abramowskiego czy Piłsudskiego (...). I ostrzegam z całą stanowczością — nie da się wyodrębnić dobrego Dmowskiego, tak jak nie da się ożywić tylko dobrego Maurrasa. Kto otwiera ten worek musi liczyć się z tym, że wyjdą z niego także ksenofobia, narodowy egoizm, antyinteligentka postawa i antylewicowa frazeologia.” (Marcin Król)

Takie i podobne im opinie towarzyszyły, i towarzyszą nadal, odradzaniu się oraz wkraczaniu na polską scenę polityczną ruchu narodowego, w przeważającej mierze o proveniencji endeckiej. Skąd biorą się tak skrajne i jednoznaczne oceny tego zjawiska oraz obawa przed artykułowaniem przez narodowców ideologicznych „przypadłości” własnego obozu? Trafnie — jak sądzę — na psychologiczne źródła postaw, których egemplifikację stanowią powyższe redakcyjne wypowiedzi na temat „powrotu polskiego nacjonalizmu” zamieszczone w czasopiśmie „Res Publica” (1987, nr 2), wskazywał kilka lat temu Wiesław Władyka, pisząc o fenomenie „benefisu” w latach osiemdziesiątych myśli Romana Dmowskiego oraz „zachowań i demonstracji narodowych”. „Myśleniu o historycznej spuściźnie obozu Dmowskiego — tej praktycznej zwłaszcza (z bojówkami i programami, z faszyzmem «po polsku») — towarzyszą urazy. Są one tak wielkie, że często paraliżują myślenie. Czynią je emocjonalnym i nieracjonalnym. Można to zrozumieć, ale przecież z tego zrozumienia nic jeszcze samo przez się nie wynika. Ruch narodowo-demokratyczny cieszył się do 1939 roku największym poparciem społecznym, wywarł olbrzymi wpływ na polityczną wyobraźnię polskich studentów, miał tysiące zwolenników i swoich wybitnych polityków oraz ideologów. Wytworzył ogromną masę słów i treści, wcale nie tak jednoznaczną”. (*Trudniej i łatwiej*, „Polityka” 1989, nr 2). Zdaniem autora tej uwagi przede wszystkim więc „zaczniemy myśleć spokojnie”.

Jednym z owych niejednoznacznych — ściślej: bardziej skomplikowanych niż się powszechnie uważa i najczęściej prezentuje — wątków ideologii narodowej jest niewątpliwie specyficzne widzenie procesu historycznego, określane mianem spiskowej bądź agenturalnej, rzadziej policyjnej lub „detektywistycznej”, teorii dziejów. Koncepcja ta stanowi trwały element zaplecza myśli narodowej. Wystarczy prześledzić twórczość takich czołowych teoretyków obozu narodowo-demokratycznego i narodowego oraz osób z nim związanych, jak: Dmowski, Józef Weyssenhoff, Adolf Nowaczyński, Karol Hubert Rostworowski, Zygmunt Wasilewski, Zygmunt Balicki, Tadeusz Gluziński (pseud. H. Rolicki), Bohdan Wasiutyński, Walery Gostomski, Adam Doboszyński, Jan Mosdorf, Wojciech Wasiutyński, Jędrzej Giertych i wielu innych.

Postulat poszukiwania działań międzynarodowych tajnych stowarzyszeń, jako sprawczych czynników głównie

w dziejach Europy, stał się bowiem w endeckiej literaturze przedmiotu niemal wymogiem metodologicznym, przynajmniej w odniesieniu do badań nad XVIII, XIX i XX wiekiem. Nie chodziło w nim bynajmniej o wykazywanie mechanicznego, doraźnego kierowania procesem historycznym przez „niewidzialną międzynarodową zmoję”, lecz głównie o uchwycenie permanentnego, wszechstronnego i głęboko utajonego charakteru owych działań. Często podkreślana, w kontekście tych rozważań, aryjskość i chrześcijańskość Europy — zagrożonej degeneracją w sferze społeczno-ekonomiczno-moralnej — wskazywała na twórcę i propagatora „rozkładowych idei”. Według koncepcji narodowo-demokratycznej jest nim przede wszystkim „międzynaród żydowski”, którego życie w diasporze uczyniło naturalnym zwolennikiem międzynarodowych prądów (np. komunizmu) niszczących podstawy narodowej siły, tj. narodowego solidaryzmu i narodowej tożsamości (tradycji).

Ideę powyższą rozwijano w powojennej literaturze narodowej. Zdaniem J. Giertycha upływ czasu nie tylko nie podważył zasadniczych cech spiskowej teorii dziejów lecz nawet uczynił je jeszcze bardziej wiarygodnymi. Jak bowiem pisał w jednej ze swych prac, „zwycięstwo komunizmu wszeregu krajów z Rosją na czele w wieku XX pokazało nam co potrafi osiągnąć organizacja podziemna. Nauczeni doświadczeniem naszych czasów możemy łatwiej niż historycy wcześniejszych epok zrozumieć wpływ dziejotwórczych organizacji podziemnych także i w wiekach poprzednich, a więc karbonariuszy w wieku XIX-tym i masonerii w wieku XVIII i XIX-tym”. (*U źródeł katastrofy dziejowej: Jan Amos Komensky, Londyn 1964*)

Gwoli ścisłości trzeba jednak przyznać, że nie wszyscy wywodzący się ze „szkoły Dmowskiego” skłonni byli np. podtrzymywać wizję historii Polski jako pasma ciągłych przeciw niej intryg i spisków. W *Kulisach powstania stycz-*

niowego (Kurytyba 1965) Giertych opisuje m. in. polemikę między nim a Tadeuszem Bieleckim, który „uważa się za prezesa emigracyjnego SN (Stronnictwa Narodowego — L. Z.) i dlatego powinien by wykazywać nieco więcej zrozumienia dla stanowiska wyraźnie się ze szkoły Dmowskiego wywodzącego”. Wyłożone bowiem przez Giertycha poglądy na przyczyny upadku Polski i kulisy powstań stanowią też, jego zdaniem, kwintesencję zasad, z których Dmowski w znacznym stopniu uczynił podstawy programu i polityki obozu narodowo-demokratycznego.

Do chwili obecnej spiskowa teoria dziejów stanowi więc jeden z istotnych punktów wyjścia przy formułowaniu deklaracji programowych i enuncjacji politycznych szeregu ugrupowań i stowarzyszeń kontynuujących tradycję Narodowej Demokracji lub poczuwających się do związku z myślą narodową. Z tych też względów jest ona częstym przedmiotem krytyki przeciwników „narodowych zachowań”. W latach osiemdziesiątych np. wspomniana już „Res Publica” (1987, nr 3) tropiła publikacje drugiego obiegu rozwijające wątek spisku w historii. Za szczególnie niebezpiecznych „przybyszów z innego świata” uznano wówczas nie tylko J. Giertycha i kolporterów *Protokołów mędrców Syjonu*, ale także młodych ludzi czytających m. in. *Nowe Horyzonty, Przegląd Wiadomości Politycznych, Jestem Polakiem, Marksizm i Szatanizm* wyd. Unii Nowoczesnego Humanizmu czy Światową sieć konspiracji prof. Quigley’a, twierdzącego, iż „dziś są dowody na to, że to co nazywa się komunizmem nie biegnie z Moskwy albo Pekinu, ale jest ramieniem wyższej konspiracji wyciągniętym z Nowego Yorku, Londynu i Paryża.” Jedną z takich publikacji (K. Topiłowski, *Nowy „Przegląd Katolicki” a masonizacja Kościoła katolickiego w Polsce*) informowała np. swych czytelników o masonskich powiązaniach m. in. Czesława Miłosza, Andrzeja Szczypiorskiego, Jerzego Turowicza, Andrzeja



Jan Wojciech Malik: „Dobrze jest — na niby”, 1985, olej, akryl, płótno, 73 × 147 cm



Paweł Łubowski: „Zmiana powierzchni XXIX”, 1985, olej, płótno, 89 × 113 cm

Micewskiego, Henryka Samsonowicza, Stanisława Stommy, Aleksandra Gieysztora — by wymienić tylko niektóre ze wskazanych tam nazwisk.

Dziś spiskowa teoria dziejów, szczególnie zaś analiza „żydo-masońskiego spisku” zmierzającego do zniszczenia polskiej gospodarki, maksymalnego osłabienia obronności kraju oraz „judaizacji” Kościoła, gości stale na łamach czasopism ugrupowań narodowych, jak chociażby „Tygodnika Narodowego — Ojczyzna” (Stronnictwo Narodowe) czy „Myśli Narodowej Polskiej” (Polskie Stronnictwo Narodowe, Polskie Stowarzyszenie Narodowe), głównie też w drukach ulotnych kolportowanych np. przez Polską Wspólnotę Narodową i Polskie Stronnictwo Narodowe. Wszystkich zainteresowanych zawartą tam diagnozą polskiej — i nie tylko — rzeczywistości społecznej można jedynie odesłać do lektury tych publikacji. Dla naszych czysto analitycznych, nie zaś wartościujących, rozważań, istotne jest spostrzeżenie, że zawarty w nich opis polskiego status quo i grożącego mu niebezpieczeństwa jest niemal tożsamy z obawami wyrażanymi w literaturze endeckiej, zwłaszcza po roku 1918, tj. od momentu kiedy to kultura żydowska uznana została za „głównego destruktora duszy polskiej”. W jednej z takich wypowiedzi J. Mosdorf stwierdzał: „Niebezpieczeństwo żydowskie grozi nam nie tylko w dziedzinie gospodarczej i politycznej, ale również, i to

w stopniu nawet silniejszym, w dziedzinie duchowej (...). Grozi nam niebezpieczeństwo skażenia kultury polskiej i naszej asymilacji duchowej na rzecz pierwiastków żydowskich. (...) Już obecnie widzimy cały szereg ludzi, których nazwać można „gente Poloni nationae Judaei”, ludzi czujących i myślących po żydowsku skutkiem bliskiego pożycia z rasą semicką.” (*Akademik i polityka*, wyd. drugie, Warszawa 1929). Ten typ kulturowy człowieka, niepożądanego z punktu widzenia „spoistości narodowej”, Z. Wasilewski określał mianem „człowieka-nomada” nie związanego z określonym miejscem, tradycją i przyrodą.

Według endeckiej spiskowej teorii dziejów — tej sprzed 1939 roku, jak i dzisiejszej — złożoność obrony narodowej kultury przed „żydo-masońskim spiskiem” wynika z faktu, iż tworzy on, czy raczej steruje tworzeniem, tzw. kultury wewnętrznej wobec kultury polskiej. W przypadku bowiem „kultur zewnętrznych”, np. niemieckiej i rosyjskiej, nie ma praktycznie trudności z ich rozpoznaniem. Obiektywizują się one mianowicie w wytworach własnych cywilizacji. Zetknięcie się dwóch obcych społeczeństw-narodów odbywa się tutaj na poziomie ich zmaterializowanych wartości, pozostawiając względnie nienaruszoną duszę narodu. Według opinii zwolenników spiskowej teorii dziejów, naród żydowski natomiast swoje aspiracje cywilizacyjne (gospodarka, prawo, sztuka itp.) realizuje także „od wewnątrz”

innych narodów, w tym także i polskiego systemu społecznego. Działanie spiskowe ma polegać głównie na stwarzaniu pozorów polskości oferowanych ideałów i proponowanych form życia zbiorowego, a tym samym na bezpośrednim „deformowaniu” i opanowywaniu polskiego narodu. Tak wytwarza się typ kulturowy „pól-Polaka” i w konsekwencji: a) prawodawstwo feruje zasadę obywatelskości opartą na abstrakcyjnie pojętej sprawiedliwości — wbrew interesowi narodowemu, b) narasta fala konfliktów społecznych jako efekt intuicyjnego odczucia sprzeczności między polskim interesem narodowym a „niepolską” rzeczywistością społeczną, c) w sztuce pojawiają się „beznarodowe” i „antynarodowe” trendy. Ostatecznym zaś celem spiskowych poczyniń ma być polityczne i gospodarcze „zniewolenie” naszego narodu.

Byłoby zatem rzeczywiście dziwne, gdyby spiskowa teoria dziejów nie budziła najwyższych reakcji — od pełnej akceptacji jej tez lub stwierdzeń, iż „coś w tym jest”, poprzez określanie jej zwolenników mianem „szaleńców” aż do kategorięczych żądań stosowania prawnych restrykcji wobec autorów i kolporterów „spiskowej” literatury.

Spiskowa wizja historii liczy sobie jednak już kilkaset lat i nie jest jedynie „specjalnością” endecką ani tym bardziej wyłącznie polską, choć jej rodzimy rys jest niezwykle interesujący. Część bowiem historyków, szczególnie przeciwników tej koncepcji, twierdzi mianowicie, iż autorami dwóch „kamieni węgielnych na których zbudowano spiskową teorię dziejów” (wg określenia Janusza Tazbira) byli Polacy. Chodzi tu o wydane w 1614 r. *Monita privata Societatis Iesu* (*Skryte rady Towarzystwa Jezusowego*), prawdopodobnie autorstwa eks-jezuity Hieronima Zahorowskiego, oraz o *Protokoły mędrców Syjonu* (1903 r.), nad których autentycznością trwają do dzisiaj spory, choć zdaniem niektórych historyków ich autorem mógł być literat M. Głowiński. „Wszystko wskazuje (...) na to — pisze J. Tazbir — iż *Protokoły* zostały sporządzone na polecenie carskiej policji, która z ich pomocą chciała zwalczać ruch rewolucyjny. Z falsyfikatu wynikało, że sprawcami wszystkich przewrotów społecznych są Żydzi, spodziewający się przy ich pomocy zawładnąć światem”. Tenże autor przypomina jednocześnie, że tak znakomity historyk jak Feliks Koneczny (nie związany z Narodową Demokracją) twierdził jednak, iż *Protokoły* są najprawdopodobniej autentycznym tekstem, tj. wykładami przeznaczonymi dla tajnego rządu żydowskiego czy też organizacji masonskiej, opartymi na materiałach z I-go (1897 r.) Kongresu Syjonistycznego w Bazylei. Według Konecznego wykazują one bowiem „uderzającą harmonię co do myśli i celów żydostwa z wynurzeniami wybitnych autorów i działaczy żydowskich.” W obronie autentyczności *Protokołów* występuje dziś m. in. rosyjskie Zjednoczenie Patriotyczne „Pamjat”. J. Tazbir podkreśla także, iż zdecydowanie antymasonski i antyżydowski kierunek spiskowa teoria dziejów przyjęła u progu XIX w. dzięki trzeciej najbardziej znaczącej dla niej publikacji, czterotomowej pracy księdza Augustyna Barruela *Memoires pour servir à l'histoire du Jacobinisme* (J. Tazbir, *Polityczna teoria dziejów*, „Polityka” 1988, nr 24; *Od Haura do Isaury. Szkice o literaturze*, Warszawa 1989).

Dodajmy tu jeszcze, iż narodowo-demokratyczni zwolennicy spiskowej teorii dziejów odwoływali się również do największej polskiej literatury. W. Gostomski wskazywał np.

na Zygmunta Krasińskiego rozwijającego w *Nie-boskiej komedii* i *Niedokończonym poemacie* ideę prahistorycznego rodowodu ruchów masonskich, ideę podtrzymywaną przez niektórych znanych historyków (R. F. Gould, W. Bege-mann). Również przekonania Krasińskiego o rytualno-obrzędowym charakterze Rewolucji Francuskiej czy „ogólnoświatowym spisku Żydów przeciwko ludzkości” — których echa można także dostrzec w *Nie-boskiej komedii* — czyniły z jego twórczości częsty przedmiot analiz endeckiej krytyki literackiej.

Merytorycznie wartościowe publikacje dotyczące dziejów Narodowej Demokracji, warunkujące również zrozumienie jej obecnego kształtu, nie pojawiają się niestety zbyt często. Jeszcze mniej jest prac zmierzających do rzetelnego przeanalizowania zaplecza teoretycznego — w tym również spiskowej teorii dziejów — ideologii obozu narodowego. Większość z takich publikacji przyczynia się do ugruntowania nowych nieporozumień.

Najpoważniejszym błędem jest traktowanie endeckiej spiskowej wizji dziejów jako koncepcji „samej w sobie”, nie dostrzeganie jej uwikłania w szerszy kontekst „narodowych przekonań”. Tymczasem analiza endeckiej myśli społecznej wyraźnie wykazuje, iż spiskowa historiozofia — bo taki jest wymiar tej teorii — funkcjonuje tu na przecięciu dwóch innych koncepcji: filozofii dziejów powszechnych oraz teorii mówiącej o „konieczności dziejowej” polskiego nacjonalizmu. W pierwszej z nich mamy do czynienia z założeniem o weryfikowalności tezy głoszącej, iż ostatecznym podmiotem historiotwórczym są narody, a historia jest polem ścierania się interesów narodowych. Tak więc kluczem prowadzącym do właściwego odczytania sensu dziejów jest hasło „pożytku narodowego”, rzutujące na wszelkie przejawy ludzkiej aktywności politycznej, ekonomicznej, a nawet religijnej. W ujęciu tym bowiem: naród jest faktem pierwotnym, potrzeby narodowe są właściwościami tego faktu, ustrój ekonomiczny jest zjawiskiem, a potrzeby ekonomiczne dopiero właściwościami zjawiska. W odróżnieniu od wrodzonych potrzeb narodowych potrzeby ekonomiczne są popędami charakterystycznymi dla konkretnej epoki i konkretnego pokolenia. Naród jest więc naturalnym związkiem ludzi, koniecznym dla urzeczywistniania ich życiowych celów.

Najpełniejszą wizję tego procesu odnajdujemy w historiozoficznej pracy Z. Wasilewskiego *O życiu i katastrofach cywilizacji narodowej* (1921), którą sam autor traktował jako przyczynek do budowy programu narodowo-demokratycznego. Książka ta, inspirowana najwyraźniej ideami O. Spenglera, operuje trójczłonowym schematem: dusza narodu — kultura — cywilizacja. Dusza narodu ma swój byt realny w jednostkach, jest „motorem życia narodowego”. Zorganizowana dusza narodu tworzy narodową jaźń (kulturę), podstawę bytu narodowego. „Dzięki duszy narodowej — twierdził Wasilewski, powołując się na słowa Mickiewicza — naród może płynąć pod wiatr jak i w czasie burzy dziejowej.” Katastrofa następuje w momencie zniszczenia duszy narodu, co w praktyce polega na niemożności odtworzenia kultury narodowej w jej pierwotnym kształcie, z właściwym dla danego narodu systemem wartości. Zdaniem Wasilewskiego, do stanu tego naród rosyjski doprowadziła rewolucja październikowa, a Polsce podobne niebezpieczeństwo zagraża ze strony komunistów, Żydów

i pilsudczyków spod znaku PPS. Cele polityczne tych trzech grup, widziane z perspektywy spiskowej teorii dziejów, mają zresztą wspólne podłoże i wzajemnie się dopełniają.

Żadna, nawet najbardziej zorganizowana lecz jednorazowa akcja wymierzona przeciw narodom Europy nie miałaby szans powodzenia, gdyby — według koncepcji endeckiej — nie towarzyszyła jej zakrojona na szeroką skalę metoda presji intelektualnej, wywieranej na umysłowość europejską przez żydowski system wartości. Tak np. według Gluzińskiego idea komunizmu, której ostatnim wyrazem jest powstanie materializmu historycznego, Międzynarodówki proletariackiej, bolszewizmu i zwycięstwo Rewolucji Październikowej, postrzegana bywa przez Żydów jako teoria głosząca tezę, że wraz z załamaniem się naturalnego porządku społeczno-narodowego zostanie automatycznie rozwiązana kwestia „żydowskiego międzynarodu”.

Według historiozofii narodowo-demokratycznej pojawienie się narodów jest zatem wewnętrzną koniecznością dziejową, a zjawisko kształtowania się kolejnych świadomości narodowych jest procesem niezwykle gwałtownym. Jak twierdził m. in. Z. Balicki — nawiązując do poglądów J. K. Bluntschlego i S. Sighelego — po wieku XIX-tym, który był wiekiem gwałtownego budzenia się uczuć narodowych (co doprowadziło do niespotykanego wcześniej wzrostu uczuć patriotycznych), wiek XX będzie epoką nacjonalizmu a właściwie epoką nacjonalizmów. „Nacjonalizm — pisał Balicki — nie jest prądem międzynarodowym a raczej powszechnym. Dwa nacjonalizmy w zetknięciu się ze sobą nie mówią nigdy «my», ale zawsze «ja» i «ty», gdyż nacjonalizm wzmagając indywidualność narodów jest zawsze siłą przeciwdziałającą się drugiemu nacjonalizmowi, choćby wychodził z takich samych założeń zasadniczych”. Stąd konieczność dziejowa polskiego nacjonalizmu, jako warunku przetrwania i rozwoju polskiego narodu w jego walce z nacjonalizmem żydowskim, niemieckim i rosyjskim.

Tak, w wielkim uproszczeniu, spiskowa teoria dziejów spleta się w koncepcji endeckiej z innymi wątkami historiozoficznymi. Bez zrozumienia tego oczywistego, a niezauważanego faktu, zawsze będziemy otrzymywali fałszywy obraz „spiskowej literatury” Dmowskiego, Wasiutyńskiego, Giertycha i ich ideowych spadkobierców, jako jedynie przedłużenia takiej samej twórczości Dumasa, E. Sue, Antoniego Wieniarskiego, Karola Surowieckiego czy Hermann Goedsche.

Innym nieporozumieniem, najczęściej powtarzanym przez krytyków endeckiej spiskowej teorii dziejów, jest prezentowanie sylwetki wybitnego historyka Władysława Konopczyńskiego, związanego z obozem narodowym, jako zdecydowanego przeciwnika agenturalnej wizji historii. Konopczyński recenzując bowiem pracę *Źródło rozbiorów Polski*, autorstwa najaktywniejszego w okresie międzywojennym propagatora spiskowej teorii dziejów Kazimierza Mariana Morawskiego, stwierdzał, iż jest ona „aktem oskarżenia” nie zastępującym obiektywnego traktatu historycznego („sugestie oraz insynuacje nie mogą być dowodami”), a także dostrzegał w pracy Morawskiego więcej publicystyki niż rzetelnych badań naukowych.

Jako przedstawiciel historiografii akademickiej czuł się Konopczyński zobligowany do określenia metodologii spiskowej teorii mianem magii, zdając sobie jednocześnie sprawę, iż jakkolwiek zewnętrzna krytyka nie podważa jej

naczelnego założenia, gdyż musiałaby polegać na wykazaniu, że nie jest tak, jak twierdzą np. Gluziński, Mosdorf, Morawski i inni — co oczywiście nie jest możliwe. Spiskowa teoria historii nie jest bowiem właściwie historią zdarzeń, lecz historią myśli, przekonań, usposobień itp., wywołujących dopiero dane zdarzenia (rozbiór, wojna, rewolucja, pojawienie się jakiejś doktryny). Zdaniem Konopczyńskiego, obraz rzeczywistości historycznej, proponowany przez spiskową teorię dziejów, przypomina kantowski problem fenomenu (zjawiska) i jego rzeczywistego podłoża tj. noumenu. Podstawowa i właściwie jedyna trudność na jaką napotyka historyk, pragnący wykręcić „gesta Sathanae per muratores”, polega na skonstruowaniu logicznego przejścia między zjawiskiem (zdarzeniem historycznym) a jego właściwą przyczyną — działaniem związku masonskiego, organizacji wolnomularskiej itp. Koncepcji tej można jedynie przeciwstawić zdroworozsądkowe przekonanie o „niekonieczności” istnienia „podziemia masonerii”, skoro i tak mamy do czynienia z „podziemiem dyplomacji”. W efekcie tych analiz Konopczyński złagodził jedynie skrajne założenia teorii spiskowej, zgadzając się ostatecznie na tezę, iż tajne działania masonskie mogą spełniać tylko rolę „oliwy smarującej” gotowy już i „uruchomiony mechanizm dziejów”, ale nie są one motorem wszelkich nieprzewidzianych i niechcianych zdarzeń.

W badaniach prowadzonych nad tak kontrowersyjną i delikatną materią jak spiskowa teoria dziejów powinna obowiązywać szczególna odpowiedzialność za ostateczne sformułowania i końcowe wnioski. Niedopuszczalna jest tutaj jakakolwiek manipulacja materiałem źródłowym — niedostrzeganie np. zasadniczych prac czołowych teoretyków myśli endeckiej, a eksponowanie tych mniej istotnych, lecz stanowiących doskonały materiał ilustrujący niestety tylko osobiste przeświadczenia badacza.

Cóż bowiem stanie się z powszechnie lansowanym obrazem Dmowskiego, ogarniętego „manią” tropienia „żydo-masonskich” spisków wymierzonych przeciwko Europie i Polsce, gdy wizję tę zestawimy z jego wypowiedzią pochodzącą z tak fundamentalnej pracy jak dwutomowa *Polityka polska i odbudowanie państwa*. „Nie mam tu miejsca na tak szerokie traktowanie spraw żydowskich, zresztą nie czuję się do tego powołany. Nigdy nie miałem czasu zająć się specjalnie ich badaniem, jakkolwiek interesowały mnie one bardzo ze względu na ich stosunek do sprawy polskiej, jak na rolę, którą odgrywają w rozwoju cywilizacji europejskiej. O tyle, o ile sprawy żydowskie poznałem, doszedłem do przekonania, że przede wszystkim powierzchowność, z jaką się je traktuje, jest wielkim niebezpieczeństwem; następnie zaś, że ci, co w kwestii żydowskiej głos zabierają, popełniają na ogół jeden z dwóch błędów: albo nie doceniają znaczenia Żydów w dzisiejszej chwili dziejowej i charakter ich udziału w życiu narodów przedstawiają w fałszywym świetle, bądź mimo woli, bądź świadomie usypiając czujność opinii w tej ważnej sprawie; albo je przeceniają przedstawiając Żydów jako wszechwładną, demoniczną potęgę, kierującą losami ludzkości, działającą z niesłychaną konsekwencją według jakiegoś bardzo mądrze obmyślanego planu i poruszającą, jak pionkami, wszystkimi innymi siłami w świecie.”

Aby jednak dostrzec złożoność problemu, o którym tu mowa, trzeba rzeczywiście „myśleć spokojniej”.

„Jakby”

Jednego jestem pewien: że jak włączę telewizor lub radio, to wkrótce usłyszę „jakby”. Tym wyrazem dekorowane są gawędy, interpelacje, przemówienia i wystąpienia prezydenta, premiera, ministrów, senatorów, wielu posłów, wszystkich kanclistów, ważniejszych związkowców i dziennikarzy oraz wyższych urzędników. Szczególnie często swawoli „jakby” w tekstach poświęconych sprawom politycznym i ekonomicznym, choć i o wysłużonej piosence warszawskiej też ktoś zechciał bąknąć, że śpiewa cienko jakby słowik opolski.

Kariere „jakby” można by zbagatelizować przypomnieniem, że jak niedługo „pluralizm”, „samorządność”, „wolność”, „demokracja” czy „tolerancja”, tak i ten wyraz doczekał się obecnie swoich piętnastu minut, stał się modny, lecz tylko patrzeć, kiedy zostanie zdmuchnięty z polskiego forum np. przez „prowokację”, „spisek”, „sabotaż”, „bankructwo” (ewentualnie „dobrobyt”).

Owszem, można by. W końcu można nawet udowodnić, że w zasadzie białe jest równorządne z czarnym — we wspólnocie kolorów ułożonych w rejestrze totalnym, szerszym od widma słonecznego.

Kłopot jednak w tym, że „jakby” w języku jest tyle obecne i poręczne, co pod względem wagi semantycznej zupełnie marne wobec takiej np. „tolerancji”. Wyciągnięte z kontekstu, „jakby” traci sens, natomiast „tolerancja” broni swej integralności i tożsamości w każdej sytuacji, jeśli oczywiście nie dopadną jej jacyś dziarscy egzegeci z nowego zaciągu językoznawców. Ponadto „tolerancja” to rzeczownik jak się patrzy, rodzaju męskiego, bo żeńskiego, podczas gdy „jakby” stanowi bezpłciowy związek dwóch części, z których np. „jak” występuje w tylu różnych rolach, że ich egzemplifikacja zajmuje prawie 60 wierszy druku w „Małym słowniku języka polskiego”, wydanym po raz szósty jesienią 1989 roku, a więc wiarygodnym. Co prawda samo „jakby” pełni tylko trzy funkcje, ale ciut niejasne jakby nasza polityka wschodnia. Jedną z nich występuje w przydzwiku „partykuły osłabiającej dosłowność znaczenia wyrazu, któremu towarzyszy”.

Ta „partykuła” brzmi jednak poważnie, przypomina fatalne doświadczenia z lat szkolnych, a i teraz nie pozwala się lekceważyć, zwłaszcza kiedy występuje w takim na przykład zdaniu: „Polska jakby nie dorosła do demokracji, wymaga scentralizowanej władzy”. Podobne przykłady z użyciem „jakby” mnożą się jak dzieci w akuratnie skrojonej rodzinie (co rok prorok), zatem przywykliśmy już do tego, że „nasza kultura jakby osłabła”, a „jakby nie było, jest lepiej”.

Partykuła „jakby” nie tylko więc przycina kanty i brzydkie szpikulce gwałtownej ekspresji językowej, ale w identycznym celu dobiera się do samej rzeczywistości społecznej, jeśli nie chce ona, niewdzięczna, siedzieć sobie cicho w klatce wymarzonego, idealnego wzorca Lechistanu. Nagminnie stosowane, „jakby” wyraża jednocześnie niepokój i nerwową konfuzję użytkowników.

Ta partykuła jest właściwie dobra na wszystko. Przy jej pomocy można też puszczać w obieg tzw. cienkie aluzje: „Gazeta Wyborcza zajmuje często takie stanowisko, jakby była czerwona”. I o co tu można mieć pretensje do człowieka, skoro nie powiedział on, że „Gazeta” jest czerwona?!

„Jakby” bywa więc też smrodotwórcze.

Ten smród kojarzy się (?) z kolejną ważną funkcją naszego popularnego wyrazu: porównawczą.

Porównywanie należy do rutynowych operacji języka potocznego, ale już wyjątkowo ochotnie posługują się tą figurą stylistyczną dzieci i poeci, a więc zbiory (w sensie socjologicznym) jakby spokrewnione w sferze wrażliwości. Humor z zeszytów szkolnych bywa poezją, bo obfituje w zaskakujące porównania (i metonimie), a chcąc pogłaskać twórcze ego poety mówimy nierzadko, że pod rubaszną powłoką mistrza kwili czysta i czuła duszyczka dzieciaczka, który nie zdążył poznać smaku wyborów parlamentarnych. Poza tym myślenie abstrakcyjne u dzieci jest niedorozwinięte, u licznych poetów z tzw. bożej łaski onieśmiałe już w momencie pogoju, a u innych jeszcze — dokładnie zneutralizowane trywialnym imperatywem pogoni za znikającym punktem, w jaki na naszych oczach zamieniły się wydawnictwa literatury pięknej.

Pokolenia ludzi dorosłych i zwyczajnych także żonglują porównawczym „jakby”, ale intensywność owych ćwiczeń w czasie teraźniejszym nie znajduje analogii historycznych. Jak się już rzekło, celują w tym zwłaszcza osoby publiczne, które miast konstatacji klarownych, jednoznacznych, definiujących, ciągle podrzucają masowej widowni jakieś porównania. Dowiadujemy się zatem, że partia demokratyczna poczyniła sobie w Sejmie „jakby komuna”, że ordynacja wyborcza do parlamentu jest taka, jakby ją „wróg narodu wysmarował”, że niezależni dziennikarze zachowują się „jakby Judasze”. Bardzo rzadko natomiast mamy przyjemność usłyszeć coś w tym stylu: „Przestraszony jakby stracił robotę albo studia skończył”.

Natępna obecność „jakby” w leksykonie wielu różnych postaci naszego życia politycznego może sugerować, że elity władzy dzieciennieją albo ulegają poetyckiej mutacji. Cóż, piękna to wizja, o piękna, na miarę opisów gargantuicznego żarcia, jakie zgotował Hrabal w swej powieści „Obsługiwałem angielskiego króla”, gdzie jako narrator udawał małego kelnera, skłonnego zresztą do czynienia rozlicznych porównań.

Wydaje się jednak, że prawda przedstawionej sytuacji pokłada się ze śmiechu w innym, całkiem pospolitym miejscu. Otóż „jakby” jest wygodnym narzędziem kamuflażu, konspiracyjnego myślenia tropów, zacierania śladów i asekuracji, umożliwia stosowanie uników i kruczków w polemikach oraz protekcyjnalne pouczanie przeciwników politycznych, że błędnie zrozumieli wczorajszą wypowiedź admirałora „jakby”, że właściwie nie z niej nie pojęli, bo przecież w ogóle coś innego miał on na myśli.

Gry i podchody w polityce to normalny sposób bycia — do pewnych granic stylistycznych i etycznych, poza którymi jest już tylko miejsce na knajackie zwalczanie wszystkich przez wszystkich.

Sprawę „jakby” (oraz krewniaków: „swojego rodzaju”, „w pewnym sensie”, „w pewnym sposób”) można wszakże wyjaśnić jeszcze inaczej: brakiem takich umiejętności i predyspozycji, które pozwalają na pojęciowe opanowanie rzeczywistości, na uświadomienie sobie jej struktury i dynamiki.

Był taki filozof i logik, który nazywał się Ludwig Wittgenstein. Przeżył dwie wojny światowe, podczas pierwszej z nich służył w artylerii austriackiej, stacjonującej m. in. w Sanoku. Po takiej rekomendacji dacie chyba wiarę temu, co niedługo powiedział: „granice mojego języka wyznaczają granice mojego świata”.

„musimy być wybitnym narodem”

Leszek Gawor

Okres PRI cechowała niezbyt często spotykana w kulturze europejskiej tendencja do eliminowania ze świadomości potocznej poglądów i teorii — zwłaszcza rodzimych i powstałych w naszym wieku — nie będących w zgodzie z ogólnie lub jak kto woli — odbocznie narzuconym schematem świata, procesów społecznych czy nawet dziejów ojczystych. Rezultatem tak przemyślanych zabiegów jest m. in. prawie zupełny brak w wiedzy przeciętnie wykształconego współczesnego Polaka pobieżnych chociażby informacji o sporej liczbie oryginalnych, bez marksistowskiego schematu, myślących rodaków, którzy swą działalnością w naszym stuleciu na polu nauk, zwłaszcza społecznych, uzyskali uznanie a nawet rozgłos poza granicami swej ojczyzny.

Do pierwszorzędnych — co brzmi gorzko — w tym względzie uczonych należy Feliks Koneczny (1862–1949), historyk i filozof, profesor Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie, twórca nowej nauki historycznej, sytuującej się na pograniczu historii i historiozofii (filozofii historii) — nauki o cywilizacji.

Świadome skazanie jego twórczości na zapomnienie było symptomatyczne. Posłużyło ono Pawłowi Jasienicy do wysnucia niepochlebnej konstatacji: „krajowe losy dorobku profesora stanowią wcale niezłą ilustrację o umiejętności będącej specjalnością de la maison Polaków. Mówię o nieprawdopodobnym zamiłowaniu do marnotrawstwa, o namiętnym lekceważeniu własnego dorobku kulturalnego”¹. Waga tego sądu dobitnie uwidacznia się w kontekście znaczenia, jakie Konecznemu w zakresie rozważań historiozoficznych przypisują zachodnioeuropejscy koryfeusze badań globalnych procesów historycznych. Dla przykładu, Arnold Toynbee, bezsprzecznie najwybitniejszy współczesny historiozof, o książce Konecznego *O wielości cywilizacji*, przetłumaczonej na angielski i wydanej w Londynie w 1962 roku, napisał, że: „stanowi ją kilka wzajemnych studiów nad strukturą życia społecznego w największej skali, jakie pojawiły się w obrębie dwóch ostatnich generacji”². Taka ocena i oryginalność myśli Konecznego zadecydowały, że w różnorodnej prasie naukowej zachodniej Europy na przełomie lat 50. i 60. ukazało się ponad 20 artykułów jej poświęconych³. Wyrazem zaś niejako zinstytucjonalizowanego uznania dla jego nauki o cywilizacji było stworzenie w latach 50. przez profesora Antona Hilckmana na Uniwersytecie w Moguncji Instytutu Badań Porównawczych Cywilizacji, dla którego Koneczny był duchowym patronem. Mówiąc o docenianiu myśli polskiego historyka przez Europę, warto nadmienić i o tym, że włoska *Encyklopedia Filozoficzna*, jedna z lepszych w świecie, zawiera spory objętościowo artykuł poświęcony Konecznemu, który jako jeden z nielicznych reprezentuje tam naukę polską⁴.

W kraju, poza wąską grupą ludzi zawodowo interesującą się dziejami dwudziestowiecznej polskiej myśli historycznej i filozoficznej, Koneczny nie jest znany. Oprócz przyczyny tego stanu rzeczy wzmiankowanej na początku (silnie werbalizowany we wszelkich jego pracach historiozoficznych antybolshewizm) poniekąd zrozumiałe, drugim powodem „nieobecności” Konecznego w szerszej świadomości społecznej jest czas, w którym tworzył swą naukę o cywilizacji, czas tuż przed II wojną

światową i w trakcie jej trwania. Wojna ta uniemożliwiła znacznie recepcję treści książek, wydanych w późnych latach trzydziestych, jak i publikowanie prac powstałych w przededniu wybuchu wojny i w latach okupacji. Na powojennym polskim rynku księgarskim oficjalnie Koneczny zaistniał dopiero w roku 1985, kiedy to ukazała się jego hagiograficzna rozprawa, marginalna wobec nauki o cywilizacji, zatytułowana *Święci w dziejach narodu polskiego*.

Nie oznacza to wszakże zaprzepaszczenia dorobku profesora Konecznego, szczególnie zawartego w rękopisach z lat wojennych. Nieocenioną w tym zakresie rolę spełniła inicjatywa, kierowanego przez profesora Jędrzeja Giertycha, emigracyjnego Wydawnictwa Towarzystwa im. Romana Dmowskiego z siedzibą w Londynie. Od początku lat 70. Wydawnictwo to opracowało i wydało wszystkie rękopisy polskiego uczonego: *Cywilizacja bizantyńska*, 1973; *Cywilizacja żydowska*, 1974; *O ład w historii*, 1977; *Państwo w cywilizacji łacińskiej. Zasady prawa w cywilizacji łacińskiej*, 1981; *Prawa dziejowe*, 1982. Pozycje te, w połączeniu z trzema pracami opublikowanymi w dwudziestolecu międzywojennym (*Polskie Logos a Ethos. Roztrząsania o celu i znaczeniu Polski*, Poznań 1921; *O wielości cywilizacji*, Kraków 1935; *Rozwój moralności*, Lublin 1938), tworzą w sumie kompletny zbiór materiałów dotyczących konieczniańskiej refleksji nad cywilizacjami.

Życie i twórczość Feliksa Konecznego związane były przede wszystkim z Krakowem. Tam się urodził (1.02.1862), ukończył Uniwersytet Jagielloński, uzyskał tytuł *doctor philosophiae* (1888) i podjął pracę, początkowo w Akademii Umiejętności, a następnie (aż do 1919) w Bibliotece UJ. W roku 1920 po obronie rozprawy habilitacyjnej nt. *Dzieje Europy Wschodniej*, został mianowany profesorem nadzwyczajnym i objął Katedrę Historii Europy Wschodniej na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, którą kierował do 1929 r. W tymże roku, zresztą wbrew stanowisku Senatu USB, minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego przeniósł Konecznego na „przymusową” emeryturę, albowiem uczony krytykował dyktatorskie, skażone — jego zdaniem — turzańską, azjatycką mentalnością rządu Piłsudskiego. Po powrocie do Krakowa poświęcił się bez reszty opracowaniu nowej, jak twierdził, nauki historycznej — nauki o cywilizacji. W 1944 roku przeżył osobistą tragedię: hitlerowcy zamordowali dwóch jego synów. Po wojnie, 83-letni Koneczny zgłosił jeszcze swe usługi na Uniwersytecie Jagiellońskim, wszakże z powodu braku odpowiedniego dla jego naukowego zainteresowań zajęcia, pracy dydaktycznej już nie podjął. Umarł w Krakowie 10.02.1949 r.

Cale życie Konecznego związane było z uprawianiem i popularyzowaniem nauki. Skupiało się ono na czterech zasadniczych obszarach. Pierwszy z nich dotyczył badań historycznych nader specyficznej dziedziny; zajmował się bowiem historiografią wzajemnych stosunków między Polską, Litwą, Państwem Krzyżackim, Rosją i imperium turecko-

-tatarskim na przestrzeni XIV-XVI w. W tym też zakresie badań opracował szereg monografii historycznych, wykazujących polskie prawa do Ziemi: Śląskiej, Cieszyńskiej, Oświęcimskiej i Chełmskiej, będących przedmiotem roszczeń ze strony państw ościennych po I wojnie światowej. Działalność popularyzująca wiedzę i oświatę ludową stanowiła drugi obszar aktywności Konecznego. Był on propagatorem podnoszenia poziomu kultury i wiedzy społeczeństwa polskiego poprzez zwiększanie liczby szkół ludowych, zakładanie bibliotek i wydawanie popularnonaukowych w formie czasopism i książek. Trzeci rejon jego twórczości to publicystyka inspirowana religijno-społecznymi poglądami, ukształtowanymi przez katolicyzm społeczny i neotomizm J. Maritain'a. Artykuły Konecznego, akcentujące niezbędność religii chrześcijańskiej w wychowaniu narodowym, moralnym, a także w życiu gospodarczym i społecznym, ukazywały się w czołowych narodowochrześcijańskich i chrześcijańskich periodykach Polski podrozbirowej, międzywojennej i powojennej, np. w: *Ateneum*, *Ateneum Kapłańskie*, *Świecie Słowińskim*, *Przeglądzie Społecznym*, *Mysli Narodowej*, *Tygodniku Warszawskim* czy *Niedzieli*. Wreszcie czwartym obszarem naukowej aktywności krakowskiego uczonego była nauka o cywilizacji. Właśnie ta dziedzina stanowi najważniejszy i najciekawszy naukowo dorobek profesora Konecznego.

Gdy w 1921 roku, w pracy *Polskie Logos a Ethos...* Koneczny przedstawił zarys nauki o cywilizacji, był już historykiem dojrzałym. Doświadczenie naukowe wykształciło w nim świadomość niedostatków panującej na przełomie wieków metody uprawiania badań historycznych — historiografii erudycyjnej, polegającej na prostym kolekcjonowaniu, łączonych w związki przyczynowe, faktów historycznych. Zdawał sobie sprawę, że metoda taka uniemożliwiała wykraczanie poza faktografię i tworzenie konstrukcji uogólniających materiał historyczny.

Nauka o cywilizacji pomyślana została jako właśnie synteza historyczna, „jako wynik wszelkiej rozmaitości dociekań historycznych, jako najwyższy szczebel historii”⁵, w której fakty historyczne pozbawiono autonomii i osadzono w szerszym kontekście utworzonym przez inne, chronologicznie równoległe, świadectwa epoki: prawo, moralność, obyczajowość, politykę, ekonomię itd. Miała więc ona za zadanie stworzenie ogólnego obrazu historii powszechnej, w ramach którego wszelkie fakty historyczne byłyby interpretowane przez nadrzędny wobec nich kontekst — czynnik określający płaszczyznę jednoczącą ludzkie dzieje. Czynnikiem tym, według Konecznego, jest cywilizacja.

Przez cywilizację rozumie on społeczny sposób organizacji życia zbiorowości polegający na identycznym, w obrębie danej społeczności, pojmowaniu fundamentalnych wartości ludzkiego życia: dobra, piękna, prawdy, zdrowia, dobrobytu (to tzw. quincunx — pięciomian) oraz systemu prawa. Owe wartości kulturowe wraz z prawem tworzą aksjologiczno-normatywną strukturę wewnętrzną każdej bez wyjątku społeczności ludzkiej. Struktura ta ma transcendentalny, pozaczasowy charakter — twierdzeniem tym Koneczny wpisuje się w ramy antypozytywistycznego nurtu, zainicjowanego przez Diltheya i Rickerta, poszukującego wbrew naturalistycznemu redukcjonizmowi pozytywizmu, autonomicznego statusu nauk humanistycznych w idei „Geisteswissenschaften” — jednakże jej stałe składowe w perspektywie społeczno-historycznej każdorazowo obiektywizują się na wiele odmiennych sposobów; przybierają one zawsze postacie konkretnych historycznie: moralności, nauk, religii, sztuk, ekonomii czy praw. Wynikający stąd relatywizm kulturowy jest podstawą dla fundamentalnej tezy nauki o cywilizacji: rzeczywistość społeczna, ujmowana tak diachronicznie, jak i synchronicznie, składa się z wielości cywilizacji. W tym z kolei znaczeniu koncepcja Konecznego usiłuje za pomocą kategorii cywilizacji wyjaśnić kłopotliwą nie tylko dla historii, ale przede wszystkim dla antropologii i socjologii, kwestię kulturowej „rozmaitości ludzkiej”.

POLONICA SERIES No 2
edited by Jędrzej Giertych

ON THE PLURALITY OF CIVILISATIONS

by

FELIKS KONECZNY

Translated from the Polish

Introduction

by

ANTON HILCKMAN

Professor at the University of Mainz (Germany)

Preface

by

ARNOLD TOYNBEE

LONDON 1962

POLONICA PUBLICATIONS

Cywilizacja, jako konkretna całość, jednolity i wzajemnie powiązany system kulturowy pełni w wizji historii powszechnej Konecznego rolę ostatecznego podmiotu procesu historycznego. Poza bowiem cywilizacjami inne większe całości społeczne nie występują. Narody, poszczególne kręgi kulturowe, państwa są składowymi określonych cywilizacji, zaś pojęcie ludzkości jest dla polskiego historyka jedynie hipostazą.

We współczesnym sobie świecie Koneczny wyróżniał siedem wielkich cywilizacji: żydowską, żyjącą w diasporze; bramińską, lokującą się na obszarze Półwyspu Indyjskiego; turańską, w skład której wchodziły ludy Niziny Turańskiej, Azji centralnej i północnej, utożsamianej z Rosją; chińską; arabską; bizantyńską, która nie upadła wraz z Cesarstwem Wschodniorzymskim, gdyż całkowicie została zasymilowana w X wieku przez Cesarstwo Niemieckie i na jego ziemiach trwa obecnie; oraz łacińską (zachodnioeuropejską), powstałą na skutek połączenia cywilizacji rzymskiej z katolicyzmem. Cywilizacje te różnią się metodami organizacji życia społecznego z powodu odmiennego pojmowania wartości pięciomianu i przez to innymi w praktyce społecznej ich obiektywizacjami. Stąd bierze się na świecie wielość religii, koncepcji dobra, sposobów gospodarowania czy pojęć piękna.

W opisie poszczególnych cywilizacji, dokonanym przez Konecznego, wyraźnie widoczna jest tendencja do preferowania cywilizacji łacińskiej. Przejawia się to głównie w negatywnym przyrównywaniu elementów składowych innych cywilizacji (wartości quincunxu i prawa) do cywilizacji zachodnioeuropejskiej, wynikiem czego jest górowanie cywilizacji łacińskiej pod każdym bez wyjątku względem nad cywilizacjami pozostałymi. Tym samym cywilizacje pozaeuropejskie są nie tylko, że niedoceniane, ale wprost deprecjonowane. Natomiast cywilizacja ła-

cińska staje się miarą postępu i rozwoju; pełni ona w rozważaniach polskiego uczonego rolę przewodnika ludzkości w drodze przez Historię. W takim europocentrycznym nastawieniu autora koncepcji cywilizacyjnego pluralizmu, konstytuujące cywilizację łacińską wartości, wywodzące się z Cesarstwa Rzymskiego i nauki moralno-społecznej Kościoła katolickiego, stają się kryterium ocen innych cywilizacji, nie mających tym samym możliwości obiektywnego zaprezentowania swych niepowtarzalności.

Optyka cywilizacyjnie zróżnicowanej ludzkości przesądziła o tematyce konieczniańskiej refleksji nad historią powszechną — jest ona historią cywilizacji i celem badań jest odkrywanie prawidłowości rządzących tą historią. Według polskiego uczonego, o jej obrazie decyduje sześć najogólniejszych praw dziejowych: prawo wspólności, mówi o konieczności zestrojenia wartości pięciomianu i prawa w jednolity system kulturowy, co zapewnia cywilizacjom historyczną trwałość i stabilność; prawo nierówności akcentuje rolę zróżnicowania społecznego (ekonomicznego i intelektualnego) jako siły motorycznej rozwoju cywilizacji; prawo ekspansyjności dowodzi, że cechą każdej cywilizacji jest agresja (militarna i kulturowa), celem której jest ogarnięcie swymi wpływami jak największego terytorium; prawo niemożliwości syntez cywilizacji wskazuje na niepowodzenie wszelkich prób łączenia w nową całość dwóch lub więcej cywilizacji; prawo szkodliwości konglomeratu cywilizacyjnego zwraca uwagę na negatywne skutki, jakie mają jednocześnie wpływy różnych cywilizacji na ludzi im poddanych; wreszcie szóste prawo podkreśla, że w międzycywilizacyjnych starciach klęskę ponosi zazwyczaj cywilizacja o silniejszej integracji kulturowej.

W perspektywie wyróżnionych praw dziejowych uwidacznia się niezwykle dynamiczny obraz rzeczywistości, przedstawiający wysiłki poszczególnych cywilizacji o utrzymanie stanu wewnętrznej równowagi, jak i podporządkowania sobie najbliższych sąsiadów. Dopiero w takim świetle, zdaniem Konecznego, wszelkie zdarzenia historyczne nabierają głębszego sensu. W tym ujęciu, zjawiska w rodzaju: handlu, odkryć geograficznych, polityki, wojen, walk narodowowyzwoleńczych, powstawania i upadków imperiów, konfliktów międzynarodowych lub etnicznych, kolonializmu i tym podobne, dopiero na tle praw dziejowych obnażają swą istotę — wszystkie one są zewnętrzną powłoką mechanizmów rozstrzygania wewnętrznych problemów poszczególnych cywilizacji lub efektów międzycywilizacyjnych konfrontacji. Tylko dzięki takiej interpretacji zdarzeń historycznych, w myśl Konecznego, możliwe jest tworzenie faktycznej historii powszechnej.

Jeden z bardziej interesujących wątków nauki o cywilizacji dotyczy ogólnonarodowej debaty nad Polską, toczoną w pierwszych dziesięcioleciach XX w., szczególnie po odzyskaniu przez kraj niepodległości. Przedmiotem dyskusji i polemik było przede wszystkim rozliczenie się z latami zaborów oraz wytyczenie dróg dla na nowo powstałego państwa. W tym względzie szereg twierdzeń Konecznego dotyczących „sprawy polskiej”, wskutek umieszczenia ich w perspektywie cywilizacyjnych praw dziejowych, zyskiwało mocniejszą i oryginalniejszą wymowę. Sięga się też do nich i dzisiaj, kiedy problemy znaczenia i miejsca Polski w Europie, roli katolicyzmu w cywilizacji łacińskiej, tak zajmujące krakowskiego historyka, są znowu aktualne i dla przyszłego kształtu Polski ważne.

O niebagatelnej roli Polski w dziejach powszechnych, zdaniem Konecznego, przesądza jej geopolityczne położenie, które stawia Polaków „wobec historycznego dylematu, że musimy być wybitnym narodem historycznym albo zupełnym zerem”. Alternatywa ta spowodowana jest: 1. przynależnością Polski do cywilizacji łacińskiej i usytuowaniem na jej rubieżach; 2. na terenie Polski, wskutek otoczenia przez inne cywilizacje, znajdują, krzyżują i zwalczają się wpływy turańskie, bizantyńskie i żydowskie; 3. Polska jest swoistym

„poletkiem doświadczalnym Historii”, gdzie można obserwować wręcz klinicznie międzycywilizacyjne konfrontacje. Starcia takie na gruncie polskim sprowadzają się w istocie, jak uważa Koneczny, do podstawowego w historii konfliktu między cywilizacją zachodnio-europejską a cywilizacjami prącymi ze Wschodu (bizantyzm niemiecki to pokłosie zorientalizowanego Cesarstwa Wschodniorzymskiego). Tak więc wojny Polski z Niemcami, Krzyżakami, Tatarami, Turkami i Rosjanami to w planie dziejowym wojny cywilizacji łacińskiej z Orientem.

Sąsiedztwo dwóch różnych cywilizacji zawsze może zrodzić pokusę połączenia się, utworzenia swoistej cywilizacyjnej syntezy. Pokusa taka nie była obca i Polsce. Po udanej unii z Litwą, w polskiej myśli politycznej XVI w. wykluła się myśl o połączeniu się także unią z państwem moskiewskim, należącym do cywilizacji turańskiej. Orientacja taka przyniosła Polsce klęskę. Z jednej bowiem strony zamierzenia te spełzły na niczym — łączyć mogą się tylko kultury tej samej cywilizacji. Z drugiej strony natomiast, nakierowanie się Rzeczypospolitej na Wschód przyniosło w rezultacie to, co Koneczny określa mianem cywilizacyjnego przemierzania. „Odsiecz wiedeńska, to jakby ostatni na długie czasy poryw ducha narodowego, po czym nastąpiła bezmyślna apatia czasów wybitnie kontuszowych. Nie zachodnie, lecz wschodnie cechy wypływają na powierzchnię polskiego życia wraz ze wschodnim strojem: lenistwo, obojętność na jutro, swarliwość, prywatność... ta orientalna bierność doprowadziła nas aż do rozbiorów”.⁶

Zdaniem Konecznego, los taki lub zbliżony spotka każde społeczeństwo podejmujące próby cywilizacyjnej syntezy lub życia w różnocywilizacyjnych konglomeratach. Syntezy cywilizacyjne są niemożliwe, zaś mieszanki cywilizacyjne niezmiennie szkodliwe dla społecznej organizacji ludzkich zbiorowości — to przecież główne prawa historiozoficzne Konecznego.

Dopiero plan dziejowy, ukazujący oblicze historii jako procesu cywilizacyjnych konfrontacji, w pełni wyjaśnia, zdaniem krakowskiego historyka, losy narodu polskiego. Wszelkie meandry dziejów narodowych spowodowane były odchodzeniem od rodzimej cywilizacji. Mimo wszakże skomplikowanych losów, Polacy, zdaniem Konecznego, wykonali zadanie, jakie przed nimi postawiła Historia. Stali się oni narodem historycznym. Nie tylko, że wytrwali przy cywilizacji łacińskiej, ale i stanowili i stanowią jej wschodnią flankę; Polska to nie wyłącznie przedmurze katolicyzmu, ale głównie nadbudowującej się na nim zachodnioeuropejskiej cywilizacji.

Z takiej historiozoficznej perspektywy Koneczny udziela Polakom wiele rad i przestróg. Ich przesłanie jest jedno: „historia est magistra vitae”, więc znajomość praw dziejowych nie powinna dopuścić do powtórzenia błędów, jakie były udziałem przeszłości. Tylko bowiem przestrzeganie praw dziejowych gwarantuje Polsce poczesne miejsce w Europie i realizowanie historycznej misji, jaką ma do spełnienia w dziejach powszechnych. Misja ta ma dwa wymiary.

Pierwszy z nich to zachowanie cywilizacyjnej tożsamości. Jest to zadanie trudne. Koneczny nieustannie podkreśla zagrożenia Polski wynikające z ekspansji sąsiednich cywilizacji. U schyłku swego życia był zresztą świadkiem przejmowania władzy przez komunistów od 1946 roku, co interpretował jako zasiedlanie się na ternie Polski cywilizacji turańskiej. (W tym sensie ostatnie lata, to walka Polaków o powrót do cywilizacji łacińskiej). Taka perspektywa przesądza zatem powinna o kierunkach działalności społeczeństwa polskiego.

Polska więc musi stać się społeczeństwem cywilizacyjnie jednolitym — nie można być cywilizowanym na dwa sposoby jednocześnie. Z uwagi na tradycję narodu polskiego, jednolitość owa staje się możliwa jedynie na gruncie cywilizacji zachodnioeuropejskiej. A że jednym z filarów tej cywilizacji jest chrześcijaństwo, stąd też konieczność oparcia polskiego życia społecznego, kulturalnego

i państwowego, na zasadach religii chrześcijańskiej. Wtedy też tylko, zdaniem polskiego historyka, Polacy zdolni będą zachować swą narodowość, cywilizacyjną tożsamość i nie ulegną wpływom innych cywilizacji, np. turańszczyźnie w komunistycznej formie.

Drugi wymiar dziejowej roli Polski, uwypuklający specyficzny neomesjanizm Konecznego, dotyczy mentorskiej pozycji Polski względem Europy. Polska utrzymując pod latami zaborów cywilizacyjną tożsamość dzięki religii katolickiej, zachowała w swych mentalnych pokładach istotę wiary chrześcijańskiej, czasami gubionej na Zachodzie. Stąd Polska stanowi dla Europy wzór do naśladowania nie tylko w aspekcie walki o zachowanie cywilizacyjnej przynależności, ale również jako prawdziwego katolicyzmu. Można tu dodać, że współcześnie takiej opcji niezwykle sprzyja konserwatywna acz charyzmatyczna polityka aktualnego papieża, w końcu przecież Polaka.

Zatem w interesie Europy leży uczynienie z Polski wschodniej placówki wiary chrześcijańskiej i opartej na niej cywilizacji łacińskiej. To nie Polska musi dobijać się do Europy, ale Europa w imię swego bezpieczeństwa winna czynić wszelkie starania o pozyskanie Polski jako swej istotnej części.

Przed wszystkim jednak znaczenie Polski na arenie dziejowej polega, zdaniem polskiego historyka, na uświadomieniu Europie istnienia najogólniejszego historiozoficznego prawa, od którego zależy cała przyszłość cywilizacji łacińskiej. „Wołajmy na całą Europę: nie można być cywilizowanym na dwa sposoby! Jeżeli powiedzie się nam przekonać o tym opinię publiczną zachodniej Europy, pozyszczemy zasługę europejskiej miary, nie mniejszą od dawnych, od bitwy legnickiej, od odsieczy wiedeńskiej: ocalimy jeszcze raz cywilizację zachodnioeuropejską”.⁷

W toczących się aktualnie w Polsce sporach politycznych o kształt III Rzeczypospolitej, wśród przytaczanych przez różne strony argumentów znajdują się także reminiscencje z lektury prac Konecznego. Celują w nich zwłaszcza wszelkie ugrupowania spod znaku Boga i Ojczyzny, co nie dziwi, zważywszy na niektóre twierdzenia krakowskiego uczonego, przykładowo: o niemożliwości porozumienia ze wschodnim sąsiadem z powodu cywilizacyjnej odmienności, o konieczności walki o tożsamość narodową wobec pokus płynących z bizantyńskich Niemiec, o katolickich podstawach cywilizacji łacińskiej i wynikającej stąd identyfikacji Polaka jako wyłączonego katolika, czy też o mesjanistycznej roli narodu polskiego w świecie pełnym międzycywilizacyjnych starć (współcześnie: w procesie zrzucania obcego cywilizacji zachodnioeuropejskiej komunizmu). Należy wszakże stwierdzić, że wyrwanie z kontekstu całości teorii częściowych jej fragmentów i posługiwanie się nimi w ideologicznym porządku nie jest zabiegiem zbyt szczęśliwym. Przemawiają za tym co najmniej dwa powody. Pierwszy niesie za sobą niebezpieczeństwo zniekształcenia myśli autora — naciąganie lub niedopowiadanie jej z przyczyn koniunkturalnych. Drugi wiąże się z możliwą teoretyczną niedoskonałością kontekstu, z którego wybiera się poszczególne tezy, które z kolei tym samym bywają pozbawiane należytej prawomocności. Ten drugi powód dotyczy się właśnie poglądów Konecznego.

Nauka o cywilizacji Feliksa Konecznego oceniana według współczesnego kanonu naukowości w historii, przy zachowaniu znaczenia historycznego, nie dysponuje nadmiernie dużym walorem poznawczym. Na jej gruncie występuje zbyt wiele kontrowersyjnych kwestii, by przyjmować bezkrytycznie wynikający z niej obraz świata.

I tak kategoria cywilizacji, rozumianej jako autarkiczna całość, nie jest dobrym narzędziem opisu rzeczywistości społecznej. Za dużo faktów przemawia za przepływem między cywilizacjami (kultuarami) idei i wartości, by pozostawać na stanowisku głoszącym nieprzeni-

kliwość cywilizacji. Już bardziej w tym kontekście trafniejsza jest teoria dyfuzjonistyczna.

Sporo wątpliwości rodzi również sposób interpretacji przez Konecznego problematyki historiozoficznej, szczególnie zaś praw dziejowych, które decydują o obrazie historii powszechnej. Aczkolwiek należy przyznać, że rozpatrywanie szeregu współczesnych konfliktów międzynarodowych i na tle narodowościowym (wojna w zatoce Perskiej — USA to przedłużenie cywilizacji zachodniej, lub też konflikty w ZSRR i w Jugosławii) okazuje się niezwykle zajmujące. Niemniej jednak wątpliwości te istnieją i dość mocno podważają wymowę konieczniańskiego neomesjanizmu.

Najwięcej kłopotów sprawia empiryczna weryfikacja poszczególnych tez polskiego historyka oraz wiążąca się z nią niekonsekwencja metodologiczna. Tezy Konecznego nie są bowiem wynikiem procesu indukcyjnego, jak deklaruje, uogólniania historycznych zdarzeń, a apriorycznie przyjętej wizji rzeczywistości. Wybiórcze fakty historyczne są używane do egzemplifikowania poszczególnych twierdzeń, nie są zaś dla nich oparciem. W sumie, taka metoda badań uniemożliwia przeprowadzenia obiektywnego opisu społecznego świata.

Wiarygodność uzyskiwanych przez naukę o cywilizacji rezultatów podważana jest ponadto przez łacińskocentryczny charakter jej filozoficznych i aksjologicznych założeń. Model cywilizacji zachodnioeuropejskiej, będący zresztą wyidealizowaną idealizacją, przyjęty przez Konecznego za miarę rozwoju wszystkich cywilizacji i za podstawę ich oceny, uniemożliwia wychwycenie szczególnie oryginalnych i specyficznych właściwości poszczególnych cywilizacji.

Z tych to głównie względów myśl Konecznego w ideologicznych dyskusjach nie odgrywa eksponowanej roli. Ponadto, jej cechy, takie jak: nietolerancja, zasklepianie się we własnym kręgu kulturowym, europocentryzm, preferowanie podporządkowania wszystkich przejawów życia społecznego religii chrześcijańskiej, pojmowanie jej jako uniwersalne remedium na wszelkie zło — we współczesnym świecie pełnym problemów natury globalnej, poszukującym w duchu ekumenizmu zasad łączących a nie dzielących, otwartym na wszystkie wartości wnoszone przez poszczególne kultury, są anachronizmem.

Ale i też, mimo zastrzeżeń, które wzbudza nauka o cywilizacji, należy mieć na uwadze, że ujmowanie historii za pomocą badań cywilizacji — największych kręgów kulturowych, także i współcześnie nie jest czymś odosobnionym. Zdaniem francuskiego historyka F. Braudela jest to nawet najpłodniejszy sposób badań historycznych.⁸ W takiej perspektywie warto pamiętać o regule komplementarności wszelkich teorii, zwłaszcza zaś teorii społeczeństw. Jak powiada S. Kuhn: „Filozofowie nauk wielokrotnie wykazali, że określony zbiór danych może być podciągnięty pod więcej niż jedną konstrukcję teoretyczną”.⁹ Chociażby więc z tych względów, porządkująca i wyjaśniająca świat ludzki propozycja Feliksa Konecznego, przedstawiona w nauce o cywilizacji, jest godna poznania i zapamiętania.

Leszek Gawor

¹ Jasienica P.: *Strzępy wspomnień*, w: *Przegląd Katolicki*, nr 31/32, 1986.

² Toynbee A.: *Preface*, w: F. Koneczny: *On the Plurality of Civilisation*, London 1962.

³ Dokładne ich wyszczególnienie znajduje się w: *In Memoriam*: A. Hilckman, Bevergen 1975.

⁴ Schleiermacher W.: *Koneczny Feliks*, w: *Enciclopedia Filosofica*, t. 3, Firenze 1967.

⁵ Koneczny F.: *Polskie Logos a Ethos...* t. 1, Poznań 1921, s. 28.

⁶ *ibid.*, t. 2, s. 28.

⁷ *ibid.*, s. 294.

⁸ Braudel F.: *Historia i trwanie*, Warszawa 1971, ss. 252-315.

⁹ Cyt. za J. H. Turner: *Struktura teorii socjologicznej*, Warszawa 1985, s. 27.

Rozumieć czy krzepić strachem?

Józef Krakowiak

Wypowiadam się z pozycji laika czytającego prace historyków przez pryzmat niepokojów i zagrożeń aktualnej rzeczywistości. Jeśli słuszna jest maksyma o historii jako nauczycielce życia, to dwakroć prawdziwsze powinny być nauki płynące z przełomowych dziejów własnego narodu. Poszukując dziś wzorów kulturowych, organizacyjnych, prawnych i obyczajowych nie sposób uciec od pytań najistotniejszych w XIII i XVII wieku, a więc o stosunek wpływów niemieckich i ofensywy moralno-politycznej Kościoła w Polsce.

Stąd zainteresowały mnie prace Benedykta Zientary oraz Wiesława Müllera*. Pierwsza z nich, najznakomitsza w ogóle, ukazała mi raczej nieznane oblicze narodowej historii. Po pierwsze, zmusza do uznania, iż jest coś ważniejszego od sfery politycznych dziejów dynastii, od przebiegu wojen (co udowadniają wszyscy autorzy tych tomów) oraz od stosunków między państwem a kościołem. Jest też coś ważniejszego także od historii języka, literatury i sztuki — o czym nauczają poloniści.

Ważniejsze są powolne, ale ciągłe dzieje osadnictwa, rozwoju miast, handlu, rzemiosła i samego mieszczaństwa. Równie ważne jest przeobrażanie się metod uprawy rolnej oraz chłopskich powinności wobec panów i w ogóle dzieje tworzących się wówczas stanów. Zientara akcentuje kształtowanie się kultury pojętej jako kanon wzorców kulturowych, organizacyjnych, prawnych oraz obyczajowych, czyli świadomie poznawanej i kultywowanej tradycji historycznej, która staje się rzeczywistą potęgą, jeśli jest wystarczająco powszechnie znana i propagowana. W XIII wieku w Polsce było to przeważnie świadome dążenie do zmiany przeżytych form organizacji społecznej i gospodarki oraz wyraźne parcie do zjednoczenia narodu i państwa; stąd skuteczność tych zamierzeń. Szkoda, że teoretycznych kryteriów tego szkicu nie wytrzymują teksty opisujące dzieje narodu polskiego pod zaborami, a właśnie one powinny.

Czytałem ten tekst w kontekście współczesnych fobii, a być może uzasadnionych jakoś obaw o skutki pełnego (?) otwarcia się na obcy kapitał i technologię, ale zarazem i na obce wzory kulturowe i obyczajowe. Czy my, współcześni, przejmując zdobycze kapitalistycznej, co nie znaczy już tylko europejskiej, cywilizacji i kultury, znów tak jak w XIII wieku przede wszystkim od naszych zachodnich sąsiadów — Niemców, potrafimy obronić własną tożsamość narodową i swoistość wzorców kultury i obyczajów? Czy przyjmując wzory świata zachodniego, jego standardy cywilizacji, prawa i kultury, potrafimy wykrzesać z siebie siłę oporu przed ich zwykłą, dosłowną reprodukcją? Czy przyjmujemy to, co najlepsze, czy też tylko to, co najłatwiejsze? Nie mówiąc już o pytaniu: czy nasza

zewnątrzna sytuacja jest aby równie — jak wówczas — pomyślna, bo bezpieczna?

A faworyzować znów musimy. Co prawda, już nie cudzoziemskich rycerzy i możnych, lecz cudzoziemski kapitał, cudzoziemskich bankierów i przemysłowców. Nie musimy już „na prawie niemieckim” dokonywać osadnictwa mieszczan a także plebejów, ale bronić się przed emigracją, wyjazdem z Polski najlepiej wykształconej i najbardziej przedsiębiorczej grupy społecznej — głównie młodzieży. Znów być może przyjdzie nam bronić czystości i godności ojczystego języka oraz własnej niekiedy wysokiej (tak! tak!) kultury przed zalewem szmiry, kiczu, sensacji i horroru, bandytyzmu i dewiacji, pornografii i jawnej prostytucji.

A już teraz stanęliśmy wobec zjawisk mających także swe miejscowe, swojskie źródło w narastającej nędzy, lęku, bezradności i samotności jednostek. Bowiem niekontrolowalny jest i będzie proces zastępowania tzw. starej nomenklatury przez „nową”, służebną a nawet czysto najemniczą wobec obcego kapitału kadrę. Nieuchronne jest przy tym pęknięcie cienkiej niekiedy warstwy oglady, społecznego opanowania i powściągliwości pod wpływem przebojowej siły nowego typu cwaniactwa oraz pozbawionego nadmiaru skrupułów oraz humanistycznego wykształcenia i społeczno-prawnej kultury — biznesmena. Tenże zazwyczaj programowo darzy pogardą wszystko to, co polskie, bo niezachodnie.

Równie nieretoryczne jest przeciwstawne pytanie: czy polski kościół będzie miał dość umiarkowania i chrześcijańskiej pokory, aby nie starać się o pozycję średniowiecznego hegemonu? Ówże nie ograniczał się do sprawowania władzy duchowej, ale świadomie i za pomocą wszelkich środków dążył do pełni władzy obyczajowej, zarówno w życiu prywatnym, jak i na forum publicznym, urzędowym. Nie gardził przy tym politycznymi i ekonomicznymi przywilejami nie tylko dla swych wyznawców — ograniczając już tym samym wolność wyborów politycznych — ale i dla samej instytucji. Współcześnie nie idzie przecież o „emancypację” kościoła od państwa, od władzy świeckiej — to się dokonało wcześniej — lecz o problem niezależności państwa od kościoła (religii). Nie byłby to bowiem postęp, gdyby obecna zmiana ograniczyła się jedynie do zamiany ideologii państwowej.

Tekst Wiesława Müllera dotyczy w podobnym stopniu przełomowej, bo kryzysowej fazy naszych dziejów. Czasy środka XVII wieku, a przede wszystkim „potop szwedzki” są porównywalne pod względem procentowego zakresu strat materialnych i ludzkich z II wojną światową.

Omawiany szkic jest jednostronny i tylko polemiczny, skoro jego prawdziwość ogranicza się do korekty innych jednostronnych ujęć. Przy tym tuszuje niebezpieczeństwa zawarte w ówczesnych procesach, które do dziś mają swą instytucjonalno-ideologiczną kontynuację. Jeżeli coś zrodziło się z konieczności, to czy jest to zarazem wystarczający powód, aby czynić z tych konieczności i ich skutków — cnotę i to także ze współczesnej perspektywy? A idzie o pojmowanie nie samej tylko religijności, lecz o inspirowaną przez nią sferę postaw obyczajowych i światopoglądowych, a nawet politycznych. Stąd moja wypowiedź musi być polemiczna.

Oczywiście barok był wówczas aspektem uniwersalizującym, ale czy także dziś może być za taki uznany? Czy rzeczywiście wpływ kościoła ma zawsze sens uniwersalistyczny? Czy także wtedy, gdy najpierw jego potrydencka tendencja, a także późniejsze jaskrawo antyreformacyjne oblicze odcięły nas, Polaków, nie tylko od bujnie się wówczas rozwijającej nauki europejskiej, ale nawet od czytania Pisma Świętego... po polsku? Wszystko to odwiodło nas od poszanowania odmienności i pluralizmu w łonie samego chrześcijaństwa, ba! samego katolicyzmu. Więcej, bardzo wyraźnie nadważyło, jeśli nie zniweczyło, własne swoiste zdobycze w dziedzinie tolerancji nie tylko religijnej, ale i społecznej. Proszę zwrócić uwagę, iż nie mówię w ogóle o sarmatyzmie mającym swe pozareligijne (stanowo-nacyjne?) źródła, mówię tylko o religijno-nacjonalistycznym okopaniu się na pozycji przedmurza... katolicyzmu potrydenckiego i kontrreformacyjnego.

Nie zamierzam prześcigać się w wyliczaniu bogatych wówczas przejawów nietolerancji politycznej wobec wyznawców i instytucji niekatolickich wyznań. Ale nie sposób nie wspomnieć o wypędzeniu arian, zamykaniu uczelni i szkół innowierczych, o spalaniu największej biblioteki naukowej w Lesznie (bo innowiercza: gdy się pali materialne przenośniki idei, to walczy się z ideami, a nie... z osobami zdrajców (?), by skończyć na fackie niezasiadania biskupów niekatolickich, w tym także unickich, w Senacie wtedy, gdy ilość parafii unickich była większa niż katolickich.

Właśnie nie tylko religijna, ale także obyczajowa i prawno-polityczna ofensywa kościoła katolickiego w Polsce jest tą drugą analogią z tamtą epoką. Obecnie nie grozi nam kontrreformacja czy rekatolizacja — terminy odpowiedniejsze wobec przeszłości — lecz świadoma i uporczywa kontrateizacja („ateizm najgorszą z religii”, „pustoszy umysły i serca” — ośmiela się mówić w imieniu ministra sprawiedliwości przed Trybunałem Konstytucyjnym... prokurator). Oznacza to nie tyle realizację idei państwa neutralnego światopoglądowo (religijnie), czy nawet idei państwa światopoglądowo (religijnie) pluralistycznego (mniejsza o rzeczowy błąd zawarty w tendencyjnym zawężeniu pojęcia światopogląd do zakresu religii). Może to owocować państwem katolickim opartym na sojuszu tronu (szkoły, sklepu, kultury itp. itd.) z ołtarzem, co nie tylko wydaje się, ale jest groźne...

Dlatego, iż Müller pisze o tamtej epoce tak, jakby była ona nieodwracalnym domknięciem przestrzeni duchowej naszego narodu, to jego krytyka ówczesnej rzeczywistości, a także jej ewentualne odniesienie do aktualnych trendów jest nazbyt „miłąjące”. Autor paradoksalnie umożliwia interpretację każdego wręcz zamknięcia się w „Okopach Świętej Trójcy” jako kolejnego etapu stawania się naszej kultury uniwersalistyczną. A w ogóle, jak możliwe jest wkroczenie na europejski poziom ducha bez osiągnięcia choćby ćwierćeuropejskiego poziomu



Edward Dwurnik: „Dwa” z cyklu „Sportowcy”, 1972 olej, płótno, 146 x 114 cm

cywilizacyjnego? Ciasny i jednostronny opis tej jednostronnej epoki, teoretyczne przecenianie uniwersalizmu — jakim był ówczesny proces rekatolizacji — w połączeniu z nadmierną uległością wobec owej ciasnej, anomalnej swoistości nazbyt bezkrytycznie zbiega się z ideologiczną, wielce sugestywną, bo artystyczną wizją Sienkiewiczowskiej „Trylogii”. Tej jednostronności — tak dobitnie wykazywanej przez wielkie kampanie krytyczne Stanisława Brzozowskiego, Józefa Chałasińskiego, Witolda Gombrowicza czy „Prywatne obowiązki” Czesława Miłosza — W. Müller jakby nie chciał widzieć.

Dobitnym wyrazem świadomości tej jednostronności jest encyklika Jana Pawła II „Laborem exercens”, która daje się odczytać także jako odpowiedź na Hegłowską krytykę katolicyzmu jako gorszej od poreformacyjnej podstawy pomyślności i trwałości państwa. W tym przypadku chodzi o religijną motywację do pracy, religijną i moralną motywację aktywnego ustosunkowania się nie tylko do świata przyrody i techniki, ale także do świata stosunków społecznych. O pozytywnym wpływie etyki protestanckiej na tworzące się stosunki kapitalistyczne pisał Max Weber 86 lat temu.

Chcę przeto jeszcze raz powtórzyć tezę, iż kraje, w których zwyciężyła reformacja, dawno już uporały się z biedą. Sukces rekatolizacji natomiast związał nas z nią niemal małżeńskim węzłem nie tylko do dzisiaj, ale zdaje się mamy jeszcze sporo czasu na jej doznawanie (jako społeczeństwo), co oczywiście nie dotyczyło i nie dotyczy duchowieństwa.

Jeśli już teoria i praktyka kontrateizacji — z jakichś tam fatalistyczno-idealnych względów — znów musi uchodzić nie tylko za konieczność, ale ponadto także za cnotę, to niechaj nie dzieje się to, na Boga! w imię jakiegokolwiek marnego katolicyz-

mu. Nie może tak działać się w imię katolicyzmu stanowo-feudalnego, instytucjonalno-obrzędowego i niepersonalistycznego, a mimo to interpretowanego jako jedyne źródło, wzorzec i miara wszelkich wartości. Obawiam się, iż ten mimo że jest zdolny wpoić reguły legalizmu, choć niestety tylko wobec własnej instytucji, to nie odniósł nadmiernych sukcesów w krzewieniu subtelnej moralności, ani też w sferze praktycznych stosunków międzyludzkich. Czy rzeczywiście cała wina za „spustoszenie umysłów i serc” leży po stronie dogmatycznego ateizmu (choćby ustawicznie i namiętnie toczącego spór z nie istniejącym w jego mniemaniu — bytem; jakby nie było innych bardziej materialnych problemów?!).

Stanowczo wolę spór o to, jaką melodię, a przede wszystkim, z jaką muzyczną kulturą będziemy grali na narodowym fortepianie ducha, niż spór o to, kto będzie na nim grał, mniejsza o to, co. Choć w tym drugim przypadku, często chodzi także o to, żeby mieć prawo opłacać za państwowe pieniądze oficjalnego prelegenta wmawiającego słuchaczom, że wszystkie klawisze prawdziwie polsko-narodowego, jak przedtem międzynarodowego, ducha są białe (lub czarne). Więcej, że wszystkie powinny być tej samej barwy, a jeśli z jakichś ubocznych względów nie są, to powinny się tego wstydzić i jeśli nie przemałować, to pochować w mysie dziury. I w ogóle, cnotą jest utrzymywać, że tak jest najlepiej. A przecież wszyscy wiedzą, że między barwą klawiszy a wydawanymi przez nie dźwiękami po prostu żaden związek nie zachodzi. Spór o barwę klawiszy jest

tylko sporem o pozamuzyczny monopol, a nie sporem o piękno, o głębię i urodę życia, o osobniczą kulturę.

Słepa wiara w magiczną moc dawnej jedności (tożsamości) pomaga stawiać skuteczny opór innemu systemowi wartości, gdy ten dosłownie zagraża naszej egzystencji. Krzepić w obliczu zagrożenia istnienia czy choćby zagrożenia tożsamości — to był i jest obowiązek. Ale z byleż konieczności czynić cnotę na dziś i na jutro, to dawać dowód słabości i samozastraszenia. To raczej skamielina duchowa, która z lęku przed nieznanym, przed nowym, przed obowiązkiem twórczości chowa się w wygodny schemat, sprawdzony ongiś szablon; to przedwczesne i bezowocne zamknięcie się przed nową uniwersalnością. Śmiem bowiem wątpić, czy duchowe zamknięcie się należy nazywać otwarciem się na Europę. Raczej u podłoża mianowania zaścianka kosmiczną awangardą szukać należałoby nieczystego sumienia.

Powie ktoś, iż jest to dyskusja nie tyle z przeszłością, co z tym, co jest lub być może dopiero dziś się staje. A przecież, „Przeszłość — jest to dziś, tylko cokolwiek dalej” — pisał Kamil Cyprian Norwid.

Józef Krakowiak

* Benedykt Zientara: „Wiek XIII — wielkie przemiany, obce wpływy i świadomość narodowa”; Wiesław Müller: „Epoka baroku i sarmatyzmu”, (w:) „Uniwersalizm i swoistość kultury polskiej”, t. 1, praca zbior. pod red. J. Kłoczowskiego, Redakcja Wydawnictw KUL, Lublin 1989.



Edward Dwurnik: „Ignac” z cyklu „Chwila”, olej, akryl, płótno, 114 × 146 cm

Wrubel w Chetmie?

Ireneusz J. Kamiński

Do kogo artysta należy?

Ot, pytanie! Przecież artysta to człowiek wolny, pisze na przykład opowiadanie o kotach, jak Hrabal napisał, i oznajmia, że wtedy właśnie zyskuje wolność, bo robi co chce z fabułą, słowem i aksjologią, aczkolwiek pod czujnym okiem dachowca Etana.

Powiedzmy jednak ostrożnie, że artysta troszkę należy: choćby do stereotypu, który pojawia się niczym deus ex machina, choć raczej z łaski boskiej i socjologii. Nic bowiem nie istnieje bez przyzwolenia Opatrzności i społeczeństwa, a zwłaszcza reprezentującego go księdza.

Jeden z licznych stereotypów artysty ma podłoże sentymentalno-patriotyczne. Otóż chętnie i pilnie poszukujemy wątków polskich w biografii lub twórczości mistrzów związanych w istocie z kulturą innych krajów. A jak znajdziemy, to czujemy się lepiej, choć bywa, że to polepszone samopoczucie nie pozabawione jest smutku.

Kilkanaście lat temu Antoni Michalak, pierwszorzędnny malarz i rysownik, powiedział mi z goryczą, że własnowolnie „oddaliśmy Wrubla Rosjanom”. Powstaje przecież pytanie, czy bracia Rosjanie zabrali nam tego artystę, korzystając np. z nocy ciemnej i taczanki, czy też los sprawił, że on po prostu był malarzem rosyjskim?

Otóż Michalak miał za złe naszym historykom i krytykom sztuki, iż nigdy żywiej nie interesowali się Michaiłem Wrublem (1856–1910) i nie wyciągnęli właściwych, genetycznych wniosków z faktu, że jego ojciec był Polakiem...

Prawda, ojciec Michaiła był Polakiem, człowiekiem wykształconym, ceniącym sobie sztukę, literaturę i muzykę, zwłaszcza Chopina. Ale może przede wszystkim był ten ojciec oficerem w służbie carskiej.

Zresztą, na takim rodzicielu wyczerpuje się w zasadzie motyw polski w biografii Wrubla, który urodził się w Omsku, z matki Rosjanki, dalekiej krewnej dekabrysty Basargina. Z kolei jej matka pochodziła z duńskiej rodziny Krabbe.

Nie jest więc łatwe ustalenie „czystego programu etnicznego” Michaiła. Wstyd powiedzieć, ale pod tym względem był on mieszańcem — np. jak wielu z nas żyjących w kraju, przez który uporczywie przewalały się obce wojska, światowe festiwale młodzieży laickiej i chrześcijańskiej, pociągi przyjaźni, a teraz swawolą zachodni biznesmeni i cwaniacy. Jako konwencjonalny ukłon w naszą stronę należy potraktować wzmiankę jednego z rosyjskich biografów Wrubla, który zauważył, że „dzieła tego wielkiego artysty związane były ściśle z muzyką i poezją oraz miały piętno buntowniczego patosu jego polskiej krwi”. Wiado-

mo, Polak to buntownik z natury — co przecież brzmi nieźle, na pewno lepiej niż „anarchista”.

Prawda, podczas studiów w petersburskiej Akademii Sztuk, których zresztą nie zakończył dyplomem, Wrubel podobno odziewał się z polską. Tak o tym pisał Leon Kowalski w „Sztukach Pięknych” z 1934 roku: „Ubiera się elegancko, elegancję swoją posuwa do pewnej ekscentryczności. Razu pewnego zjawił się w Akademii w ubraniu według swojego projektu, przypominającym swoim wyglądem polski kontusz, miał wysokie buty”. (Wysokie buty nosi też malarz Maciej Falkiewicz z Podlasia, kiedy jeździ konno).

Nie wiem też, czy do cech polskich można zaliczyć upodobanie Wrubla do „szampana i innych win”. Prawdziwi artyści polscy gustują przecież w wódce, co zamożniejsi żłopia whisky. Poza tym Wrubel, chcąc osłabić nękające go z czasem silne bóle głowy, zażywał „stołowymi łyżkami aspirynę albo fenacetynę”, co naszym współczesnym nie mieści się chyba w głowach. A czy któryś z polskich artystów przełomu XIX i XX w. miał takiego hojnego i szalonego mecenasa, jak kupiec Sawa Mamontow, opiekujący się okresowo Wrublem?! Niebawem Sawa we wsi Abramcewo (!) pod Moskwą założył teatr i fabrykę ceramiki artystycznej, w blasku jego pieniędzy rozkwitały talenty Sierowa, Wasniecowa, Rimskiego-Korsakowa, Szalapina i właśnie Wrubla, który projektował tam scenografie do oper, tworzył rzeźby o złotej polewie i stamtąd jeździł, dokąd chciał: do Paryża, Rzymu, Wenecji... Kupiec Sawa działał chyba z większym rozmachem niż hrabia Milewski i w związku z tym nie tylko w końcu popadł w ruinę, jak nasz wielki kolekcjoner i mecenas sztuki, ale i trafił do więzienia za długi. A do Wrubla znów dobrała się bieda, czyli siła kreacyjna innego już stereotypu artysty.

Sprawa pochodzenia i tożsamości narodowej Wrubla błędnie przecież wobec jego twórczości. Za Dmitrijem Sarabjanowem („Wrubel”, Moskwa – Warszawa 1983), przypomnijmy, że artysta „zajmował się malarstwem sztalugowym i monumentalnymi malowidłami ściennymi, projektował polichromie i witraże, pracował w dziedzinie ilustracji książkowej i znaku graficznego, interesował się scenografią, rzeźbą, architekturą, sztuką użytkową, opracowywał nawet projekty grzebieni i ornamentów na bałajkach (w majątku księżnej Tieniszewej w Tałaszkynie)”.

Był więc Wrubel twórcą uniwersalnym, co jednak pozostawało w zgodzie z duchem i praktyką okresu, który w Rosji zwano „stil modern” lub „nowy styl”, a w Polsce „secesją”.

Secesja i symbolizm, to są główne kwalifikatory stylistyczne

Wrublowego dzieła. Secesja: piękna, nerwowa, kapryśna, zmysłowa, ale i wyrachowana sztuka przełomu wieków, miała impet międzynarodowy, sięgała i Stanów Zjednoczonych — była ostatnim stylem kultury powszechnej, wróć — euroamerykańskiej. No i dlatego pisało się niegdyś, że Wrubel „malarzem rosyjskim nigdy nie był, tyle u niego było cech zachodnio-europejskich i specyficznie polskich, jak i w zewnętrznym wyglądzie i zachowaniu, tak i w jego technice i pojmowaniu sztuki” — co podaje na odpowiedzialność cytowanego już Kowalskiego, który tak streścił wspomnienia Benois po śmierci Wrubla (w szpitalu psychiatrycznym).

Okazuje się więc, że nie tylko w życiorysie, ale i w twórczości artysty szukano jego przynależności do Zachodu w ogóle, a do Polski w szczególności. Szukano w zapomnieniu, że podczas pięcioletniego pobytu w Kijowie (1884–1889) Wrubel odnowił XII-wieczne i namalował własne kompozycje na olbrzymich powierzchniach ścian i sklepień cerkwi św. Cyryla — w stylistyce bizantyjskiej, która pochłaniała wówczas jego uwagę. Inna sprawa, że w tymże Kijowie zaprojektował dla nowego soboru św. Włodzimierza polichromie zupełnie inne, właśnie secesyjne. Odrzucono je, ponieważ były zbyt nowoczesne; do realizacji przyjęto tylko szkice ornamentów ułożonych z twarzy kobiecych, ptaków, liści i kwiatów.

Na różne sposoby można sobie interpretować secesyjną grafologię malarstwa Wrubla, która czule oplatała symboliczne sensy jego najśłynniejszych dzieł. Nie ulega przecież wątpliwości, że powodem powstania różnych wersji obrazowego „Demon” była poezja Lermontowa, jego „Demon” — wyrażający niedosiężne marzenie człowieka o wolności (bez komentarza). Czy to ma coś wspólnego z ideą wolności, czy nie ma, przypomnę, że podczas petersburskich białych nocy Wrubel kilkakrotnie przemalowywał obraz „Demon strącony”, prezentowany na wystawie głośnego ugrupowania „Mir Iskusstwa”. Dzieło in statu nascendii, albo prefiguracja niektórych praktyk XX-wiecznej awangardy...

Do kogo więc Wrubel należy? Do nich, czy do nas?

Nie wiem, bo nie chcę wiedzieć, bo mnie to nie interesuje. Wystarczy mi twórczość tego artysty, twórczość wielka, a przez to uniwersalna, o wartości powszechnej.

Owszem, dobrze wpływa na moje samopoczucie fakt, że ojciec Michaiła Wrubla był Polakiem i lubił Chopina.

I te oto wszystkie racje spowodowały, że z przejęciem przeczytałem pewien dokument, spisany dłonią wytrenowaną w kaligrafii, której kiedyś nauczano w szkołach.

Tekst pokrywał jednostronnie dwie kartki papieru o formacie A4, a w nagłówku identyfikował się jako „Protokół zebrania Sekcji Techniczno-Artystycznej Komitetu Odbudowy Kościoła Mariackiego w Chełmie, odbytego dnia 20 listopada 1933 r.” Dalej odnotowano, że w posiedzeniu uczestniczyli: ks. proboszcz Julian Jakubiak, ks. dr Karol Konopka, artyści malarze: Zenon Waśniewski i Władysław Ukleja, inżynier Bronisław Plinkiewicz, architekci: Włodzimierz Fąfrowicz, Edmund Sawnor i Wack. Należy wiedzieć, że w tym właśnie czasie Waśniewski z Jaworskim powołali do życia „Kamień”.

Zebrani zastanawiali się „co należałoby z polichromii kościoła zostawić, co zupełnie usunąć, mając na uwadze przede wszystkim ducha katolickiego, jaki powinien panować w kościele tak w architekturze, jak i malaturze”.

Przypomnijmy, że wzniesiona w XVIII stuleciu według projektu Pawła Fontany, od początku i przez wiele lat świątynia była katedrą unicką, a w latach siedemdziesiątych XIX wieku,



Michail Wrubel: „Autoportret”, 1904, węgiel, sangwina, papier, 35,5 × 29,5 cm. W zbiorach Galerii Trietiańskiej w Moskwie

po kasacie unii, przekształcona została na modłę cerkwi prawosławnej — m. in. jej ściany wewnętrzne pokryto olejną polichromią „bizantyjską”.

I właśnie to malowidło stało się przedmiotem uwagi naszego zespołu, który okazał się być podzielony w opinii: usunąć czy pozostawić we fragmentach. Za tym drugim rozwiązaniem opowiedzieli się prawie wszyscy uczestnicy zebrania, przy czym architekt Sawnor radził zachować „tylko to, co jest zgodne z duchem sztuki zachodniej” (!). Zupełnie odmienne i radykalne stanowisko zajął natomiast jego kolega po fachu, Fąfrowicz, który głosował „za całkowitym usunięciem starej polichromii”. Propozycja ta została jednak oprotetowana przez inżyniera Plinkiewicza. Przeczytajcie uważnie i zapamiętajcie:

„P. inż. Plinkiewicz sprzeciwia się całkowitemu usunięciu polichromii, twierdzi bowiem, że malowidła znajdujące się w kościele są pędzla głośnego malarza Wróbla (pisownia oryginału — uw. aut.) i dlatego ze względu na swą wartość już zasługują na ocalenie, zwłaszcza sceny i fragmenty najlepiej zakonserwowane i mające największą wartość artystyczną.”

Wrubel w Chełmie?!

Co ciekawsze, w sukurs inżynierowi pospieszył ksiądz proboszcz, dodając, że „przy częściowej zmianie tła dekoracyjnego i motywów bizantyjskich oraz zmian aureol nad głowami świętych, całość zmieni się zasadniczo”.

W żadnej z wypowiedzi nie ma choćby aluzji do polskiego pochodzenia Wrubla; prawdopodobnie zebrani nie o tym nie wiedzieli. Sprzeciwiano się całkowitemu usunięciu malowideł ze względu na autorytet artysty i wartość jego dzieła.

Ta godna szacunku postawa nabiera ogólniejszego znaczenia po przypomnieniu, że w dwudziestolecie międzywojennym na Podlasiu i Chełmszczyźnie zniszczono 320 z 370 świątyni prawo-

Protokół

zebrania Diecej. Zeimowano. Artystyczny Komitet Odbudowy Kościoła Mariackiego w Chełmie odbył się dnia 20 listopada 1932. Obecni na zebraniu: Dr. Dobosz, malarz Jakubian, Dr. Karol Nowakowski, malarz, artysta malarz Antoni Karłowicz, malarz, malarz Władysław Ukleja, architekt Włodzimierz Fajrowski, malarz, architekt Plinkiewicz, architekt Edmund Sawon, architekt Wasił.

Zebranie zagaił Dr. Dobosz, Jakubian wyjaśniając zebraniom cel dzisiejszego zebrania, a mianowicie co należałoby z polichromii kościoła zostawić co zupełnie usunąć mając na uwadze przesłanki ducha katolickiego, jaki powinien panować w kościele tak w architekturze jak i malowankach.

W celu srogowania się w sytuacji zebrania udano się do kościoła, po szczegółowym obejrzeniu wnętrza tegoż, w którym ciążą podobnie wypowiedzieli swoje zdania i wyrażenia. Dr. Karol Nowakowski jest zdania, że cała polichromia do zniszczenia w kościele należy, zresztą też wyjątkiem obwaroło przedstawiającą sceny z Nowego Testamentu, znajdujących się w nawie głównej, jako jedno z ważniejszych elementów, ponieważ by uwzględnić malaturę, t. zw. nową, co oczywiście byłoby szkodliwym. Kadłubowa myślała, że malowanie na oleju u nas nie praktykuje się, zaś malowanie, ale fresco, jest w kościele z powodu, że należałoby dać w całym kościele nową farbę. Stawia więc wniosek, aby rozstrząsać konkurs, bo tylko tą drogą można tę tak ważną sprawę rozstrzygnąć.

Wniosek powyższy myślała z poprawką p. arch. Sawona, aby w konkursie wzięli udział i architekti, gdyż zauważył w kościele pewne niedokładności architektoniczne, jest jednak zdania, że zadowolono należy zmienić polichromię, a pozostawić tylko to, co jest zgodne z duchem sztuki zachodniej.

P. arch. Fajrowski wyraża, że utrzymuje, że polichromia technika olejna nie da się pogodzić z nową techniką, jaką sławnych, jakie wystawiono tam do czasów I wojny światowej.

Jeszcze rok przed wybuchem kolejnej wojny wysadzono w powietrze lub rozebrano niemal 100 tamtejszych cerkwi. Kwalifikacja moralna tego postępowania nie jest jednak wcale taka prosta, albowiem wiele z tych obiektów wzniesiono w ramach planowej akcji rusyfikacyjnej. W tej też intencji na pl. Litewskim w Lublinie zbudowano (1873-1876) potężny sobór prawosławny, który rozebrano na progu II Rzeczypospolitej...

A oto wnioski, jakie sekcja komitetu odbudowy kościoła na Górze Chełmskiej skierowała pod adresem miejskiej Rady Artystycznej:

„I. Rozstrzygnąć sprawę polichromii kościoła drogą konkursu.

II. Jako wytyczne przedstawić: zatarcie znacznej części polichromii z wyjątkiem przede wszystkim fryzu w nawie głównej, odtwarzającego sceny z Nowego Testamentu, oraz te obrazy, które Rada Artystyczna ze względu na ich dobre zakonserwowanie się i największą wartość artystyczną zdecydować pozostawić. [Przed „pozostawić” wpisano potem ołówkiem słowo „może” — uw. aut.].

III. Na miejsce usuniętych malowideł dać umiarkowaną polichromię, by tym lepiej uwydatnić architekturę barokową, a tym samym nie narażać Komitetu Odbudowy na niepokonane przeszkody w gromadzeniu funduszy, a społeczeństwo na zbytne obciążenie” [podkr. aut.].

Co tu dużo mówić: praktyczni i roztropni okazali się być

duchowni i świeccy chełmianie w latach wielkiego kryzysu międzywojnia.

Obecnie jednak polichromii w kościele Mariackim nie ma. Nie ma tam żadnej polichromii. Przebudowano lub poddano restauracji wieże frontowe, attykę fasady, szczyty transeptu i prezbiterium, usunięto cebulkowate kopułki na wieżach i nad transeptem. Ogłoszono i rozstrzygnięto ogólnopolski konkurs na dekorację wnętrza świątyni: I nagrodę przyznano Felicianowi Szczęsnemu Kowarskiemu (po wojnie malował „Pstro-wskiego” i „Proletariatczyków”) i Janowi Sokołowskiemu. Ogółem przyznano pięć nagród i sześć wyróżnień; jedno z nich przypadło Antoniemu Michalakowi i Stanisławowi Teisseyre'owi. Konkurs wzbudził wielkie zainteresowanie, wpłynęły nań 43 projekty! Wyniki ogłoszono 29 stycznia 1935 roku w Warszawie.

Ten cały wysiłek poszedł jednak na marne. Mimo zatwierdzenia do realizacji, projektu Kowarskiego i Sokołowskiego nie wykonano; podobno kilka kartonów spoczywa w archiwum kościoła. Niezłego kaca może wywołać dziś lektura „Kroniki konserwatorskiej” Ksawerego Piwockiego, zamieszczonej w tomie II „Pamiętnika Lubelskiego” (1935). Ówczesny okręgowy konserwator zabytków informuje tam o stanie robót przy byłej katedrze unickiej i z radością napomyka o wiadomym konkursie: „Jest to bodaj pierwszy dotąd w Polsce konkurs na tak wielkie prace z dziedziny sztuki kościelnej i dla rozwoju jej — w skali ogólnopolskiej — może mieć olbrzymie znaczenie”.

Ale co się stało z „bizantyjską” polichromią?

Odpowiada na to Piwocki, kiedy wspomina o wnętrzu świątyni: „Zostało ono pokryte olejnymi malowidłami pseudo-bizantyjskimi, małej wartości. W r. p.[rzyszłym] zostaną one usunięte, a na ich miejsce projektowana jest nowa polichromia”.

Jak widać, jakoś malatury szybko została sprowadzona do poziomu byle jakiej, pretensjonalnej malowanki, a nazwisko Wrubla w ogóle uległo anihilacji.

Był zatem Wrubel w Chełmie, czy nie był?!

Mylił się inżynier Plinkiewicz?

Wytrwale idąc tropem tej sprawy, przeczytałem właściwie wszystko, co po polsku napisano o Wrublu. Nie namęczyłem się zresztą zbytnio, bo napisano niewiele. W końcu zasięgnąłem informacji u źródła, czyli u Aleksandra Fedoruka, znanego historyka sztuki z ukraińskiej Akademii Nauk w Kijowie (i współpracownika „Kamieny”). Na moje listowne pytanie w tej kwestii odpowiedział: liczącą 21 pozycji, rosyjską i ukraińską bibliografią „o Wrublu” i stwierdzeniem: „Wiadomości o pobycie Wrubla w Chełmie nie ma”.

Szkoda. Szkoda, że to nie Wrubel malował w Chełmie. Ale i bardzo dobrze, że nie pozostawił tutaj swego dzieła! Jak bowiem przekonaliśmy dzisiaj EWG i świat cały, że zniszczenie polichromii wielkiego artysty było oczywiście uzasadnione, stanowiąc tylko fragment większej całości pod tytułem „akt sprawiedliwości dziejowej i narodowej”?

Z czystym sumieniem możemy podkreślać, że ojciec Wrubla był Polakiem.

Ireneusz J. Kamiński

P.S. W cytowanych fragmentach protokołu zmodernizowano pisownię, pozostawiając bez zmian chropawą miejscami stylistykę i syntaksę tekstu. Dokument znajduje się w Chełmie, w posiadaniu prywatnym. Za jego udostępnienie serdecznie dziękuję właścicielowi.

Odkrywanie Daniela Andriejewa

Jan Orlowski

ДАНИИЛ
АНДРЕЕВ

РОЗА
МИРА

Метафилософия
истории

Москва
«Прометей»
1991

Rozszerzanie w ostatnich latach zakresu wolności słowa w ZSRR umożliwiło udostępnienie czytelnikom — niekiedy po raz pierwszy — dzieł wielu pisarzy, których nazwiska nie mogłyby wcześniej przebić się przez bardzo czujne igielne ucho oficjalnej cenzury. Jednym z takich poetów i myślicieli jest odkrywany dopiero w ostatnich latach Daniel Andriejew, którego już dzisiaj można uznać za postać wyjątkową w kulturze rosyjskiej wieku XX.

Kim był i czego dokonał ten człowiek, którego nazwisko — jak należy oczekiwać — wkrótce będzie wymieniane obok takich koryfeuszów kultury i myśli rosyjskiej jak Fiodor Dostojewski i Włodzimierz Sołowiew?

Daniel Andriejew był drugim z kolei synem znanego i głośniego na początku naszego stulecia pisarza i dramaturga Leonida Andriejewa. Urodził się 2 listopada 1906 w Berlinie. Osierocił już w niemowlęctwie, gdyż jego matka Aleksandra Michajłowna z Wielhorskich zmarła wskutek choroby porodowej. Wychowaniem sieroty zajęła się siostra zmarłej — Elżbieta, żona moskiewskiego lekarza Filipa Dobrowa. Rodzina Dobrowów zastąpiła przysłemu poecie dom rodzinny i wychowała go w duchu tradycyjnej prawosławnej religijności.

Młody Daniel Andriejew otrzymał wykształcenie gimnazjalne już w okresie porowolucyjnym. Jako syn „nieproletariackiego” pisarza nie mógł być przyjęty na uniwersytet. Naukę kontynuował więc na Wyższych Kursach Literackich, dostrzegając już wtedy całkowitą rozbieżność pomiędzy swoim talentem poetyckim a wymaganiami, jakie w dziedzinie kultury stawiała ówczesna władza przed pisarzem. Tworzył więc Andriejew wiersze do przysłowiowej szuflady, a na życie zarabiał pisząc ozdobne ogłoszenia i reklamy jako tzw. chudożnik-szriftołwik.

Początek wojny niemiecko-radzieckiej w roku 1941 przerwał pracę Andriejewa nad wielką powieścią *Wędrowcy nocy* (Stranniki noci), która przedstawiała tragiczne losy inteligencji rosyjskiej w czasach bezwzględnej stalinowskiego terroru, jaki rozpętano w końcu lat trzydziestych. Metaforyczny tytuł powieści określał ten okres mianem „nocy” i „ciemności”, przez którą musiał przejść inteligent rosyjski, tradycyjny poszukiwacz utraconego sensu życia i wzniosłych ideałów, tak brutalnie zdeptanych przez ówczesną rzeczywistość.

W roku 1942 Daniel Andriejew został zmobilizowany do służby w Armii Czerwonej. Z powodu złego stanu zdrowia nie skierowano go jednak na front, lecz na tyły, gdzie uczestniczył m. in. w niebezpiecznych przeprawach „lodo-wym traktem” przez jezioro Ładoga do oblężonego Leningradu, w którym brał udział w grzebaniu masowych ofiar głodu w zbiorowych mogiłach.

Po zakończeniu wojny Andriejew wrócił do Moskwy, aby kontynuować pracę nad powieścią *Wędrowcy nocy*, wierszami i poematem *Niemcy* (Giermany), którym nie było sędzone pojawić się w druku. Życie pisarza na wolności przerwało aresztowanie w kwietniu roku 1947, kiedy to nastąpiła nowa fala stalinowskiego terroru. Funkcjonariusze NKWD zabrali wówczas Andriejewa wraz z żoną Alją Aleksandrowną, która żyje do dziś i wytrwale szerzy pamięć o literackiej i filozoficznej spuściźnie swego męża. Podczas aresztowania przejęło i następnie zniszczono wszystkie pisma Andriejewa, w tym m. in. wspomnianą już powieść *Wędrowcy nocy*, poemat *Niemcy*, a nawet prywatną korespondencję z lat wojny. Śledztwo w sprawie Andriejewa prowadzono przez półtora roku na Łubiance i w Lefortowskim więzieniu w Moskwie. Jego „nieprawomysłne” twory literackie stały się materiałem obciążającym, a ich autor uznany został za bardzo niebezpiecznego „wroga ludu”, skoro skazano go aż na dwadzieścia pięć lat więzienia, a żonę na tyle samo lat łagru w miejscowości Mordowia na dalekiej północy.

Ten drakoński wyrok odsiadywał Andriejew w więzieniu we Włodzimierzu; we wspólnej celi przebywali z nim historyk Lew Rakow i biolog Wasyl Parin. Andriejewowi dopisało szczęście w nieszczęściu: miał towarzystwo intelektualistów i mógł pisać w więzieniu dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Ułatwiał mu to naczelnik więzienia Dawid Iwanowicz Krott, sam wcześniej represjonowany za zbyt łagodny i humanitarny stosunek do więźniów. Takiej możliwości nie miały inne niezliczone ofiary stalinowskich łagrów i więzień. Naczelnik Krott dostarczał Andriejewowi papier i ołówki, zabezpieczał jego pisma przed dostaniem się w ręce innych funkcjonariuszy służby więziennej, wreszcie wydał mu — ryzykując swoją wolność — wszystkie rękopisy w momencie zwolnienia z więzienia. W innych okolicznościach nie byłoby to możliwe i żadne ówczesne dzieło Andriejewa ani nie mogłoby powstać, ani

wydostać się poza mury więzienia. Sam poeta tak o tym pisał na początku pierwszego rozdziału swej książki *Róża Świata* (Roza Mira):

„Rozpoczynałem tę książkę w najgorszych latach tyranii przygniatającej dwadzieście milionów ludzi. Rozpoczynałem ją w więzieniu, które nazywało się izolatką polityczną. Pisałem ją potajemnie. Chowałem rękopis, a dobre siły — ludzie i nie ludzie — ukrywali ją podczas rewizji. I każdego dnia oczekiwałem, że rękopis zostanie odebrany i zniszczony, jak została zniszczona moja poprzednia praca, która odjęła mi dziesięć lat życia i doprowadziła mnie do izolacji politycznej”¹.

Rok 1956 nie przyniósł automatycznie odmiany losu Andriejewa. Powołana z inicjatywy Nikity Chruszczowa komisja do spraw rehabilitacji więźniów politycznych zmniejszyła pisarzowi wyrok z dwudziestu pięciu na dziesięć lat więzienia. Zaliczono mu areszt przed skazaniem i ostatecznie zwolniono w kwietniu roku 1957. Wyszedł z więzienia w bardzo ciężkim stanie, przeszedł tam bowiem zawał serca w roku 1954. „Na wolności” przeżył w Moskwie już tylko niecałe dwa lata jako bezdomny tułacz, z trudem znajdujący dach nad głową dzięki życzliwości przyjaciół i znajomych. Ostatnie miesiące życia — poza leczeniem szpitalnym — wypełniła mu praca nad uporządkowaniem rękopisów i ukończeniem dzieł rozpoczętych w więzieniu. Zmarł 30 marca roku 1959. Pochowany został obok swej matki na cmentarzu Nowodziewiczym w Moskwie.

Spuścizna literacka Daniela Andriejewa jest niezbyt bogata, gdyż powstawała w niesprzyjających warunkach i w znacznej części została zniszczona w barbarzyński sposób. Jednakże nie liczba utworów jest tu najważniejsza, lecz ich charakter i zawartość intelektualna.

Jak wspomniano, Andriejew był poetą i myślicielem. Pasjonowała go historia — zwłaszcza zaś dzieje Rosji, jej kultury i doświadczenia narodu rosyjskiego. Był człowiekiem głęboko religijnym, przywiązany do tradycyjnych duchowych wartości prawosławia.

Zachowane drobne utwory poetyckie Andriejewa, w znacznej części od-tworzone z pamięci po wyjściu z więzienia, to przede wszystkim liryka

więzienna, jak o tym świadczą tytuły: *Wieżenie na Łubiance*, *Przez mury więzienia* i inne. W więzieniu powstały główne zachowane utwory Andriejewa: poemat historyzoficzny *Bogowie rosyjscy* (Russkije bogi) oraz poemat dramatyczny o losach Rosji i świata *Żelazne misterium* (Żeleznaja misterija). Andriejew — podobnie jak jego znany poprzednik Włodzimierz Solowiew — był poetą w filozofii i filozofem w poezji. Sam autor *Róży Świata* odżegnywał się jednak od miana filozofa, uważał się przede wszystkim za poetę, poetom zaś — zgodnie z tradycją wielkiej literatury rosyjskiej — przypisywał szczególną misję i rolę — proroków, myślicieli, a nawet świętobliwych i prawych nauczycieli życia (czyli tzw. prawdziwych w terminologii rosyjskiej).

Wyniki swoich rozważań nad dziejami, teraźniejszością i przyszłością Rosji i świata zawarł Andriejew w poematach historyzoficzno-refleksyjnych *Bogowie rosyjscy* i *Żelazne misterium*, a najpełniej i najgłębiej w obszernym traktacie *Róża Świata. Metafilozofia historii*. Jest to dzieło jedyne w swoim rodzaju, unikalne w kulturze rosyjskiej, mogło ono pojawić się tylko w Rosji udręczonej przez stalinowską tyranię. O tym właśnie dziele tak pisał znawca spuścizny Andriejewa — Włodzimierz Gruszecki:

„Daniel Andriejew jest jednym z największych poetów naszego stulecia, prawdziwy kontynuator najlepszych tradycji duchowej kultury rosyjskiej, który wrażliwym sercem wchłonął całą bolesną historię Rusi, odzwierciedlił jej cierpienia w swojej drodze krzyżowej, był jak nikt inny przygotowany, aby w swej świadomości pomieścić wspaniałą wizję świata, jakiej nikt jeszcze nie stworzył [...]. Od dawna, od bardzo dawna nie pojawiła się w Rosji praca takiej miary jak *Róża Świata*”.

Myśl Daniela Andriejewa wyrosła z tragicznych doświadczeń ludzkości, jakie stały się jej udziałem w wieku XX. Złożyły się na nie dwie wojny światowe i dwa potworne systemy totalitarne: hitlerowski i stalinowski (Andriejew najchętniej posługuje się pojęciem tyranii, kiedy ma je na myśli). *Róża Świata* powstała w czasach, na które przypadło apogeum zimnej wojny, kiedy nad światem wisiała realna groźba nuklearnej zagłady. Andriejew twierdzi we wspomnianym traktacie, że wojny światowe stanowią zagrożenie fizycznego istnienia ludzkości, zaś systemy totalitarne prowadzą do jej całkowitej duchowej degradacji. Myśliciel obawiał się powstania ogólnoswiatowej tyranii, niebezpieczeństwo to dostrzegał w dążeniach potężnych państw do totalnego panowania nad światem. Aby temu zapobiec, postulował utworzenie ogólnoswiatowej instancji sprawującej etyczną kontrolę nad państwem (Ogólnoswiatowa Federacja Państw) i Ligi Przeobrażenia Istoty Państwa, działającej w każdym kraju.

Andriejew odrzucił istniejącą od wieków filozofię państwa, opartą na nacjonalizmie i dążeniu do zabezpieczenia egoistycznych interesów dominującej nacji lub grupy społecznej, sprawującej władzę w imieniu całego narodu. Jego wizja państwa miała się oprzeć na wartościach etycznych wypływających z religii. Stąd wynikał jego postulat konieczności zmiany samej istoty państwa, czemu właśnie miałyby służyć wspomniana Liga. Taka koncepcja państwa nie ma jednak nic wspólnego z oddaniem władzy w ręce hierarchów kościelnych.

W świadomości współczesnych społeczeństw, zdeformowanej przez tyranijskie systemy państwowe i dwudziestowieczną cywilizację, dostrzegł Andriejew gigantyczną próżnię duchową, którą należy wypełnić nowymi wartościami. Ale gdzie ich szukać i jak to uczynić? W poszukiwaniu owych wartości autor *Wędrowców nocy* zwracał się ku religii, ale nie jakiejś jednej, wybranej, uprzywilejowanej (to byłaby bowiem znów próba nawrotu do postawy fanatycznej i szowinistycznej), ale do „religii ogólnej” (*rieligija itoga*), którą określał jako panreligię lub interreligię. Poeta Andriejew wymyślił nawet dla niej poetycką nazwę — *Róża Świata*. Owa *Róża Świata* według jego określenia — to „ruch, który jako najbliższe cele stawia sobie przeobrażenie państwa w braterską wspólnotę, zjednoczenie Ziemi i wychowanie szlachetniejszego człowieka”.

O istocie owej panreligii, czyli *Róży Świata*, tak pisał Andriejew: „To nie jest zamknięte wyznanie religijne, prawdziwe lub fałszywe. To nie jest też międzynarodowe stowarzyszenie religijne, utworzone na podobieństwo bukietu z teozoficznych, antropozoficznych lub masonskich prawd religijnych — kwiatów eklektycznie zebranych na wszelkich możliwych łakach religijnych [...]. Jeśli stare religie są płatkami, to *Róża Świata* jest kwiatem z korzeniem, łodygą, kielichem i całą wspólnotą jego płatków”³.

Tradycyjne religie — zdaniem Andriejewa — dążą przede wszystkim do wewnętrznego doskonalenia jednostki, opierają się na przekonaniu o wyłącznej swej prawdziwości i słuszności, a tym samym deprecjonują w pewnym stopniu wyznawców odmiennej religii, co nie służy zbliżaniu ludzi różnych wyznań. Interreligia *Róża Świata* jest uniwersalna, tym się różni od znanych systemów religijnych, iż dąży do „przeobrażenia socjalnego ciała ludzkości”, takie zaś zadanie — zdaniem Andriejewa — stawiał sobie przedwcześnie jedynie średniowieczny katolicyzm. Rozważania na temat różnic dzielących wszystkie religie od *Róży Świata* tak rekapiuluje myśliciel:

„Tak więc: interreligijność, uniwersalność dążeń socjalnych i ich konkretność, dynamiczność zapatrywań i ciągłość ogólnohistorycznych zadań ludzko-

ści — oto cechy odróżniające *Różę Świata* od wszystkich religii i kościołów przeszłości. Bezkrawość jej dróg, bezbolesność jej reform, dobroć i miłość w stosunku do ludzi, fale duchowego ciepła rozciągane dookoła — oto cechy różniące ją od wszystkich ruchów polityczno-socjalnych przeszłości i teraźniejszości”⁴.

Na czele *Róży Świata* Andriejew pragnął widzieć ludzi o powszechnie uznanym autorytecie światowym, którzy „skupili w sobie trzy największe dary: dar posłannictwa religijnego, dar prawości i dar genialności artystycznej”. Tacy właśnie ludzie powinni tworzyć ogólnoswiatowe Zgromadzenie Najwyższe (*Wierchownyj Sobor*), które rozstrzygałoby konflikty międzynarodowe i kierowało losami świata w zgodnym interesie całej ludzkości.

Wizjoner Andriejew zdecydowanie rozprawiał się z zarzutami o nierealności i utopijności swojej idei przeobrażenia świata. Był zafascynowany filozofią Mahatmy Gandhiego, którego uznawano za marzyciela i fantastę, a który doprowadził przecież do wyzwolenia Indii bez rozlewu krwi.

Andriejew nie precyzował terminu, kiedy miałyby się rozpocząć błogosławione panowanie *Róży Świata*. Jej powstanie traktował bowiem jako proces i długą drogę, którą musi przebyć ludzkość, aby się uchronić przed samozagładą. Gdyby dożył czasów pokojowego zjednoczenia Niemiec, zburzenia muru berlińskiego, uniezależnienia się krajów Europy środkowej i wschodniej od radzieckiej dominacji, odradzenia się życia religijnego w imperium wojującego do niedawna ateizmu, ujrzałby w tym z pewnością potwierdzenie zbliżania się swej wizji posttotalitarnych dzieł ludzkości.

Jest rzeczą charakterystyczną, że w tworzeniu przyszłego porządku świata Andriejew zupełnie ignorował Organizację Narodów Zjednoczonych, która posługuje się instrumentami prawa międzynarodowego, zapewnia uprzywilejowaną pozycję wielkim mocarstwom, a w przypadku konieczności ucieka się nawet do użycia sił zbrojnych w konfliktach regionalnych. Jest to sprzeczne z ideą poety, który pragnął oprzeć przyszły kształt świata wyłącznie na zasadach etycznych, wynikających z wartości religijnych, zarówno objawionych, jak też i stworzonych przez ludzi obdarzonych duchem prawości i posłannictwa.

Andriejew oczywiście stawiał sobie pytanie, gdzie i kiedy powstanie *Róża Świata*. Tak na nie odpowiadał:

„Nikt oprócz Pana Boga nie wie, gdzie i kiedy zatli się pierwszy ogień *Róży Świata*. Rosja jest krainą do tego przeznaczoną, ale jeszcze możliwe są tragiczne wydarzenia, które skomplikują urzeczywistnienie tego mistycznego aktu i zmuszą do przeniesienia go do innego kraju. Epoka lat sześćdziesiątych naszego wieku jest tylko przewidywana; możliwe są zgubne kataklizmy, które odsuną tę datę na długie lata”⁵.

Myśliciel wierzył jednak i prorokował, że wcześniej czy później, w Rosji czy w innym kraju (wymienił też Indie lub Chiny), *Róża Świata*, „zjawi się, powstanie, wstąpi na szlak historii”. Idea Andriejewowskiej *Róży Świata* wyrosła z pnia rosyjskiej myśli chrześcijańskiej — z tradycji Chomiakowa, Dostojewskiego, Solowieja, Bierdiajewa. Nie jest jednak przesądzona pretendującym zawsze do roli zbawcy ludzkości mesjanizmem rosyjskim, który w skrajnej postaci propagował zwłaszcza Dostojewski. Andriejew nie przypisywał Rosji szczególnej misji zbawienia świata od zła, gdyż po bolesnych doświadczeniach bolszewizmu było to niemożliwe. Bardziej niż jego rosyjscy poprzednicy był otwarty na przyjęcie duchowych wartości innych narodów — zwłaszcza zaś narodów Wschodu. Do cywilizacji zachodniej — szczególnie zaś francuskiej i anglo-amerykańskiej odnosił się z dużym sceptycyzmem, nie znajdował w niej bowiem niezbędnego człowiekowi uduchowienia. Trudno już dzisiaj przewidywać, jakie miejsce zajmie Daniel Andriejew w dziejach rosyjskiej kultury duchowej. Odkrywamy go wszak i myśl jego poznajemy dopiero w ostatnich latach. Jest jednak pewne, że będzie to miejsce, jeśli nie na samym szczycie, to w pobliżu jej najwyższych szczytów. Wydarzenia w ojczyźnie pisarza i we współczesnym świecie, których jesteśmy obecnie świadkami, mogą bowiem nieoczekiwanie potwierdzić niektóre wizje poety, który przepowiadał m. in. bliskie już w Rosji, a realizujące się dopiero obecnie, odrodzenie życia religijnego, a w ślad za tym i nowy rozkwit kultury duchowej. Następstwem zaś tego procesu mogą być zasadnicze przeobrażenia społeczno-polityczne.

Jan Orlowski

¹ Daniel Andriejew, *Róża Świata. Metafilozofia historii*, „Promietiej”, Moskwa 1991, s. 7. Fragmenty książki cytuję w tłumaczeniu własnym — J. O.

² Tamże, s. 285-286 (z postawia Włodzimierza Gruszeckiego).

³ Tamże, s. 13.

⁴ Tamże, s. 14.

⁵ Tamże, s. 13.

Daniel Andriejew

Nawna

Poemat

*Mojej umiłowanej,
żonie i przyjacielowi, Alle Andriejewej,
poświęcam to dzieło.*

Daniel Andriejew
*Drugiego dzieła, jej poświęconego,
„Żeglowanie do Niebiańskiego Kremla”
nie zdążyłem napisać.*

28.II.59
Moskwa

Jeśli by nawet czarownik przemądry
Pograżył wtedy, rozmyślając o bycie i niebycie,
Przenikliwy wzrok w granatowo-kędzierzawym niebie —
Nie zauważyłby Jej.
Tak przenikliwa i świetlista
Była modra głębia Jej oczu
Że z błękitem zlewała się niebiańskim.

To — w wysokościach, dotąd nieznanych
Dla nas,
Ona, pochyliwszy się, oglądała
Przestrzenie ziemskie,
I myślała: gdzie by tu dotknąć po raz pierwszy ziemi.

W dole rozciągały się pustynne obszary
Eteryčných atmosfer.
Na południu i wschodzie wznosiły się
Kolosalne tworzących się wolno
Starych metakultur.

Chmurny
Był zachód burzliwy. I mgłą,
Jak szarą osłoną,
Spowila się błyszcząca budowla
O wieży z jasnego firnu.
A skrzydła popielate ciemno-eterycznych cyklonów
Gwałtownym ruchem wlatywały po zboczach;
Wzbijały się i płynęły, nie dosięgając,
Do białego raju.
Do prawdy Graala.
Gdzie rycerze w białych płaszczach błyskali
Mieczami ducha — wokół jądra
Wielkiego Świata.
Ponad ziemską noc.

Na południu —
Złotem, purpurą, czernią,
Przelewała się i trzepotała, jak wieczorne słońce
Wznosząc się nad horyzontem historii,
Świątynia Bizancjum.
Święty portal był otwarty,
I blask niewypowiedziany
Bił stąd. Daleką hosanną
Grzmiały głębiny,
Jak gdyby cały zastęp Złotoustych
Zginał kolana przed Nazarejczykiem.

Przestrzeń do Oceanu Lodowatego
Pusta.
Jeno przejrzyste smugi oparów
Tam szybowały, tworząc desenie.
I uciszały, bąbały, kołysały do snu
Cielesną sferę kosmosu —
Nad porożami, rzekami,
Nad rzecznyymi zakrętami,
Nad odgłosami tajgi...
Tak rozpoczęło się Jej lądowanie.

Głębiej i głębiej wnikała, wchodziła
W dzikie łono.
Dzikich jezior szare kadzidło
Miętko dymiło mgłami... Po zboczach
Duchy Wajity na skrzydłach ciężkich,
We mgle szybując, przelatowały...
Kłamstwa bąbały Jej żywiołowo
W łąkach i dolinach.

O północy otwierały się szczeliny w chmurach,
W obłokach nad cichą, świerkową gęstwiną...
Świerkowym gąszczem, pustynną spalenizną,
Pachniało na urwiskach
Nieuniknioną biedą.
Zapach piołunu... Na leśnych zakrętach
Stukanie dzięciołów... Wiatry kołysały
Tatarak na drzemających błotach.
Kłamstwa bąbały jej żywiołowo:
Duchy Wajity, co ciepłym oddechem
Ziemię całując, unoszą się w dali;
Duchy Faltory, — błogim aromatem
Kwitnącej łąki; duchy Liurny —
Cudownego świata, gdzie płyną cicho
Dusze rzek dzieciństwa.
Duchy Niwenny — w szaleńczym weselu
Zimami strojąc Jej nowe mieszkanie
W śnieg... w śnieg... w śnieg...

I, przenikając je własnym ciałem
I o zachodzie i o wczesnym ranku,
Nawna
zaklina duchy w szeleszczącą szatę
łaską swoją i miłością.

Tłumaczyła z rosyjskiego Aleksandra Kowal

Od redakcji: Nawna stanowi jeden z rozdziałów utworu *Bogowie rosyjscy* (D. Andriejew, *Russkije bogi*, „Sowriemiennik”, Moskwa 1989).

Walka z duchowością

Daniel Andriejew

[...] Rozwój techniki — oprócz zwiększenia niszczytel-
skiej siły wojny — miał dla ludzkości pierwszorzędne
znaczenie, ale zarazem nie pozbawione sprzeczności.

Od wszelkich innych zjawisk duchowego i intelektual-
nego charakteru, nawet od czystej nauki ogarniętej chęcią
poznania, technika odróżnia się jedną cechą: ona nie
może nie być na wskroś utylitarną. Psychika ludzi, którzy
na co dzień pracują w dziedzinie techniki, nad techniką
i z techniką, przyzwyczajają się podchodzić do wszystkiego
na świecie według kryterium użyteczności praktycznej.
Jeśli człowiek sam nie zdoła dostrzec tego niebezpieczeńs-
stwa, jeśli nie odgrodzi grubym murem tej sfery swego
życia i działalności, w której panuje technika, od pozos-
tałych sfer swego życia i duszy, zamienia się w duchowego
kalekę, duchowego impotentą, duchowego ślepcę. Jeśli
brak tego muru, to nie ma lepszego sposobu zgaszania
w sobie przeblysków wszystkiego co duchowe, nie ma
pewniejszej drogi pozbawienia psychiki możliwości rozu-
mienia sztuki, umiłowania przyrody, odczuwania potrze-
by religii, harmonii świata, pragnienia miłości. W naszym
okresie historii świata rozwój techniki jest nieunikniony,
nieodwracalny i usprawiedliwiony, dlatego że bez niego
niemożliwe jest ni zjednoczenie ludzkości, ni osiągnięcie
takiego powszechnego poziomu materialnego, jakiego
godny jest człowiek. Ale biada temu, kto pozwolił
technice zapanować nad swoją duszą.

Jest pełna prawidłowość i żelazna logika historii w tej
okoliczności, że Doktryna¹ apelowała przede wszystkim
do proletariatu i właśnie proletariatu jako klasa był przez
nią z góry przeznaczony do roli przyszłego hegemonu.
Wtedy można było jeszcze mącić w umysłach, wołając
o sprawiedliwość i budząc uczucia litości, że proletariatu
tworzy dopiero jedynie wartości materialne tylko dlatego,
że jest pozbawiony praw, jest uciśniony, ubogi, szary
i nagi. Naiwni entuzjaści wierzyli, że wyzwoliwszy się od
wyzysku i zdobywszy władzę, klasa ta stworzy tak
wysokie wartości, przy których zbledną wszystkie arcy-
dzieła przeszłości. I cóż?

Arystokracja feudalna eksploatowała lud, ale ogromu
wartości kulturalnych stworzonych przez tę klasę, nie
można ani zliczyć, ani ogarnąć. Duchowieństwo i kapłani
— jak teraz wie nawet niemowlę przy piersi — wykorzysta-
li ciemnotę mas, ale stworzyli oni nie tylko koncepcje
religijne i kult, lecz i wieczne pomniki architektury,
malarstwa, poezji, muzyki, filozofii, oni stworzyli doniosłe
zasady moralne. Burżuazja ma na sumieniu wiele grze-
chów śmiertelnych, ale twórczość kulturalna tej klasy
stanowi bodaj czy nie przeważającą część tego, co zwie się
dziedzictwem kulturalnym. Chłopswo pozostawało na
dnie drabiny społecznej, ale i ono stworzyło pieśni, baśnie,
legendy, zdobnictwo, rzemiosła artystyczne i folklor.

A klasa robotnicza? Mieszkam w kraju, gdzie klasa

robotnicza pozostaje hegemonem już piąte dziesięcio-
lecie. Cóż ona stworzyła oprócz wartości materialnych
i wszelkich możliwych udoskonaleń technicznych i pro-
dukcyjnych? Ktoś, być może, powie: no a cała inteligencja
robotnicza, wywodzący się ze środowiska robotniczego
inżynierowie, ekonomiści, prawnicy, uczeni, literaci? Ale
to nie jest klasa robotnicza, to ci, którzy ją przerośli,
którzy nie mają nic więcej do zrobienia w tym środowisku
i których na zawsze oderwał od tego środowiska i charak-
ter działalności, i krąg zainteresowań, i materialne wa-
runki życia. Mnich, który ozdobił freskami świątynię,
pozostawał mnichem; ziemianin, który w swoim dworze
lub w miejskim domu pisał powieści, poematy, malował
obrazy, pozostawał ziemianinem; burżuj, który poświęcał
swoją wolną czas sztuce i nauce lub oddawał się mecenato-
wi, nadal należał do burżuazji; i chłop układający byliny
lub ozdabiający sprzęty pozostawał częścią swojej klasy.
Ale robotnik, który zostaje inteligentem, tym samym
przestaje być robotnikiem. I tego, co stworzyła ta in-
teligencja, nie można brać pod uwagę, kiedy mówimy
o tym, co stworzyła klasa robotnicza jako taka.

Duchowe wytwory klasy robotniczej — w ścisłym
znaczeniu tego słowa — w ogóle nie istnieją; jej produkcja
intelektualna jest znikoma. Klasa robotnicza — to nie
szczyt ludzkości, lecz jej tragedia, jej *memento mori*,
groźne przypomnienie o tym, że miliony ludzi, potencjal-
nie niczym nie różniące się od pełnowartościowego
społeczeństwa, skazane są przez to społeczeństwo na
duchową bezpłodność, na zwyrodnienie kulturalne, zła-
godzone jedynie tym, że ci nieszczęśnicy, w przeważającej
większości, sami nie rozumieją całej okropności swego
położenia. Utraciwszy związek z ziemią-matką, nie zo-
stali za to nagrodzeni możliwością uczestnictwa w kul-
turze światowej; psychicznie okaleczeni wieczną krząta-
ną przy maszynach, skazani na estetyczne doznania
zakreślone granicami od piękna przemysłowego pejzażu
do czastuszki i trywialnych oleodruków, ludzie ci stają się
ofiarami ogłupiającej nudy, kiedy są pozostawieni sami
sobie. Jak ognia boją się ciszy, ponieważ cisza stawia ich
twarzą w twarz z ich duchową pustką. Przyroda jest dla
nich martwa, filozofia — śmiertelnie nudna, ze sztuki
i literatury dostępne są im tylko dzieła o najniższych
wartościach, religia wzbudza w nich jedynie wyniosłe
szyderstwo ignorantów i tylko nauka wyzwala uczucie
instynktownego szacunku jako coś bezspornie wyższego
od nich. Ich rozrywki — karty, wódka, domino, sport,
prymitywny flirt i kino. I niechaj nikt nie kłamie, że
rzucam oszczerstwa na tych ludzi: zbyt długo nie szcze-
dzono im kadzidła, demoralizowano potokami demago-
gicznego schlebiania i kłamstwa; nadchodzi czas, kiedy
przed nimi będą postawione ich własne, niczym nie
upiększone portrety.

Jest w tym prawidłowość i logika, że właśnie tę formację ludzi Doktryna wyniosła na piedestał; z niej właśnie tworzy się kadry niepodzielnie rządzącej partii; ją właśnie stawia się na czele ludzkości, jako rzekomo najbardziej wartościową część społeczności ludzkiej, jako wzór, który w miarę swych sił powinni naśladować wszyscy pozostali ludzie [...].

Głęboka prawidłowość legła oczywiście u podstaw kursu strategicznego wobec religii, który przyjęło państwo od samego początku Rewolucji. Ale taktykę trzeba było zmieniać w zależności od sytuacji i dalekowzroczności tych, którzy kierowali tym kursem w danym czasie [...].

W ciągu tysiąca lat swego istnienia cerkiew rosyjska miała wśród swych świętych może zaledwie z dziesięciu męczenników za wiarę. Teraz ten niedostatek został obficie wypełniony. Tysiące duchownych i świeckich zginęły w więzieniach i obozach pracy. Świątynie zamknięto i burzono, albo zamieniano na magazyny, warsztaty lub internaty. Niszczycielski samum obracał w stopy ruin i te świątynie i klasztory, które znane były w świecie jako unikalne zabytki sztuki. Dzwony, które przez wieki głośiły nad miastami i polami Rosji wezwanie do modlitwy, rozległy się po raz ostatni i, zrzucone ze zrujnowanych wież, zabrane zostały jako metalowy „złom” na przetopienie². Do połowy lat trzydziestych z 600 czynnych w Moskwie cerkwi ocalało zaledwie 40, a w Kijowie, na przykład, otwarty pozostał zaledwie jeden jedyny sobór. Los cerkwi prawosławnej podzieliły również wszystkie inne wyznania.

Do tego czasu dawno już zostało skonstruowane i zmontowane to, co powinno było zastąpić starą cerkiew jako władczynię dusz, nauczycielkę życia, jako masową organizację. Ta quasi-cerkiew przejęła od swej poprzedniczki i jej odwieczną nienaruszalność dogmatów, i właściwe jej połączenie centralizmu z demokratyzmem, i jej system ścisłego podporządkowania wewnętrznego, i jej pretensje do roli jedyne go wyznacznika prawdy. Postarali się, aby imitować nawet to ciepło duchowe, które właściwe jest cerkwi. Ideowej i strukturalnej jedności partii strzeżono takimi samymi bezwzględными środkami, jakimi niegdyś w wiekach swego powstawania kościół chrześcijański bronił swej jedności, podejmując ostrą walkę z każdą herezją. A wyrzucenie z łona quasi-cerkwi członka, który coś zawinił, było taką samą straszną karą, tragedią i odbierane było przez nieszczęśnika tak samo, jak w średniowieczu przyjmowano wyklęcie z kościoła.

Quasi-cerkiew stopniowo wypracowała i quasi-kult. Zamiast żalosnych, prymitywnych antyreligijnych mas-karad w dniach świąt cerkiewnych położono teraz nacisk na urządzanie wielkich masowych pochodów, defilad i pompacyjnych uroczystości w dniach świąt rewolucyjnych, na chóralne wykonywanie partyjnych quasi-psalmów i quasi-akafistów³ oraz na oddawanie czci quasi-relikwiom pochowanym w quasi-świątyni przed murami Kremla.

Środkami przymusu ekonomicznego i pozaekonomicznego wciągnięto do służby quasi-cerkwi wszystko — od literatury pięknej do cyrku, od scen najważniejszych teatrów do restauracyjnych estrad. Trzonem zaś tego systemu uczyniono tak zwaną oświatę, to jest drabinę

instytucji kształcąco-wychowawczych od przedszkoli do Akademii Nauk ZSRR.

Jakiego człowieka wychowywano w tym wszechogarniającym systemie pedagogicznym? Jaki był jego ideał?

W wychowankach rozwijano odwagę, ponieważ odwaga potrzebna była państwu do walki z wrogami i do przyszłych bojów o panowanie nad całym światem. Kształcono wolę, ale tylko taką, która była pokorna wobec państwa i quasi-cerkwi i nieugięta w urzeczywistnianiu ich — i tylko ich — dyrektyw. Wychowywano uczucie koleżeństwa, lecz tylko w stosunku do tych, którzy niezawodnie i twardo bronili sprawy tylko tego właśnie państwa i tej quasi-cerkwi. Kształcono umiłowanie prawdy i uczciwość, ale uczciwość swoistego rodzaju: taką, która nakazuje człowiekowi bez wahania zdradzić kolegę, przyjaciela, ojca, wydać każdą powierzona mu tajemnicę, jeśli oni, chcąc ażby tylko w drobniaczkach, postępują niezgodnie z interesami państwa i quasi-cerkwi. Rozwijano twórczy stosunek do pracy — wszystko dla efektywności procesu pracy w interesie tejże quasi-cerkwi i tegoż państwa. Popierano pragnienie wiedzy, ale było ono ściśle i w taki sposób ukierunkowane, aby zabezpieczało postęp techniczny i formowanie określonej ideologii. Wszystko to upiększano starannie kultywowaną, podsycaną i podgrzewaną nienawiścią do wroga, przy czym za wroga uważano każdego, kto myślał inaczej niż quasi-cerkiew. W ostatecznym wyniku otrzymywano rozwiniętą, energiczną, pogodną, dążącą zdecydowanie do określonego celu jednostkę — na swój sposób uczciwą, swoiście ideową, bezlitosną, duchowo ograniczoną, nie mającą pojęcia o religii, często traktującą podłość za czyn chwalebny, a okrucieństwo — za męstwo i heroizm. Tak powstawał ostatecznie uformowany typ zadufanego w sobie fanatyka, przekonanego, że jego państwo jest najlepsze na świecie, jego naród jest najbardziej utalentowany wśród narodów, jego quasi-cerkiew jest arką absolutnej prawdy, jego ideologia — całkowicie słuszna, jego wódz — nieomylny nie tylko *ex cathedra*, ale w każdej minucie swego życia, wszystko zaś pozostałe — to plewy, śmieć historii przeszkadzający życiu i skazany na bezlitosne zniszczenie [...].

Takie stadium osiągnęła walka z duchowością w latach trzydziestych naszego wieku, kiedy nad jedną szóstą kuli ziemskiej ostatecznie i wyraźnie zarysowała się olbrzymia figura strasznej istoty ludzkiej, którą przewidywali i przepowiadali wielcy prorocy Rosji⁵.

Daniel Andriejew
Przełożył Jan Orlowski

Opublikowany tekst jest końcową częścią II rozdziału XI książki traktatu historiozoficznego Daniela Andriejewa *Róża Świata*, zatytułowanej *Przyczynek do metahistorii bieżącego stulecia*. Przetłumaczono na polski z edycji: Dannił Andriejew, *Roza Mira. Mienafilosofija istorii*, „Promietej”, Moskwa 1991, s. 211–214.

¹ Autor ma tu na myśli doktrynę ideologiczną państwa radzieckiego z czasów Lenina i Stalina.

² Na mocy zarządzenia władz państwowych ZSRR w roku 1929 zdjęto w cerkwiach dzwony i oddano na przetopienie.

³ Akafist — modlitwa cerkiewna przypominająca litanie w kościele katolickim.



Z jesiennej kolekcji „Kameny”: praktyczny model przedwyborczy '91

...nie pozwolił mi skonać ze strachu

Zofia Grzesiak

Już minął bardzo długi czas, jak Praczycha uciekła z miejsca zagłady. Już nie tylko straciła wiarę w powrót do normalnego życia, ale zgubiła nawet rachubę czasu. Nie wiedziała jakie są miesiące, jakie są święta. Dowiadywała się tylko od Stiopy, że tego a tego dnia prawosławni obchodzą takie czy inne święto uroczyste lub mniej uroczyste. Ale o swoich świętach nie wiedziała, w jakich dniach popadają i nawet o nich nie myślała — czy to był czas na myślenie o świętach?

W swoim domu uroczyste święta zawsze wyprawiała bardzo kosztowne; aż jej w głowie się mąci jak pomyśli, jakie były kosztowne i jakie piękne. Nigdy nie skąpiła grosza, by święteczny stół uginał się od smacznych potraw, słodczy i wszelkich owoców sprowadzanych z zamorskich krajów. Nie brakowało słodkich winogron, daktyli, rodzynek, fig, migdałów i świętojańskiego chleba. Z Saren przywoziła całe pudła czekolad, które bardzo lubiła. Zamawiała też u cukierników wyszukane ciasta i sama w domu też nie mało piekła. Poza tym na stroje też nie mało grosza wydawała. Na każde uroczyste święto, szczególnie na nowy rok czy na jomkipur lub na pejsach, szła sobie u najlepszych krawców, z najlepszych welen, z aksamitu czy jedwabiu w różnych kolorach: od białych jak śnieg po niebieskie jak niebo, czy czarne jak jej dzisiejsze dni. Suknie były długie, powłóczyste, każdego roku inne, żeby w tych samych nie pójść do bożnicy, żeby broń Boże żadna z modlących się nie miała takiej samej.

Ale to wszystko było, minęło i już nigdy nie wróci. Już nigdy nie będzie ani tych świąt, ani tych strojów, nawet wspomnienia wkrótce zaginą.

Teraz siedzi w leśnej, ciemnej jak grób ziemi, je tylko chleb, czasem świeży, czasem stępsły, twardy jak kamień, od czasu do czasu — bliny z gryczanej mąki, zalatujące Stepanowym potem, gdyż Stiopa trzyma je za pazuchą, żeby Ulita, jego żona, nie zobaczyła, że nie tylko chleb, słoninę, gotowane mięso, ale nawet gorące bliny wprost z patelni Żydówce wynosi.

Kiedyś Stiopa opowiadał, że Ulita go spytała, czy z tą Żydówką nie żyje?, bo z nią, z własną żoną, wcale... i pokłóciła się z nim o to.

Nie myślała się Ulita. Między nią a Stiopą już dawno nastąpiło zbliżenie, choć było to wbrew jej woli, ale nigdy się nad tym nie zastanawiała, gdy łączył ich wspólny interes, wspólna gra. Oboje ryzykowali życiem. Jego ryzyko było nawet większe; ona już była zasądzona, ona już miała zatwierdzony bezapelacyjny wyrok śmierci, on natomiast nie podlegał żadnej karze, tylko sam dobrowolnie skazał się na śmierć przyjmując to wielkie ryzyko, by ją, tę wyklętą Żydówkę, uratować od śmierci.

Sosia się nie zastanawiała, czy Stiopa kierował się chęcią zysku, czy jakąś inną pobudką, lecz faktem było, że zaryzykował swoim życiem i życiem swojej rodziny, że postawił na jedną kartę, że albo ją uratuje, albo nie dał Boże sam zginie. Jakby nie było, tyle trudu jej poświęca i bardzo często z nią przebywa,

a przecież ani on, ani ona nie byli starzy. Byli jeszcze w takim wieku, że od czasu do czasu coś się przysni, a ciało zaczyna domagać się swoich praw, zwłaszcza gdy dwoje ludzi łączy na osobności — obojętnie, szczęście czy nawet wielkie nieszczęście. A że Stiopa przebywał więcej w ziemi niż w domu, musiało dojść do zbliżenia i doszło.

Na początku chodził koło niej nie jak mężczyzna, tylko jak siostra miłosierdzia koło ciężko chorego. Dokładał wielkich starań, żeby ją odchuchać, odkarmić, żeby koniecznie nabrała ciała, żeby się stała taka sama, jak wtedy, kiedy przyjeżdżała do niego wypasionym koniem o lśniącej sierści, zaprzężonym w bryczkę po złoto. Sam nawet nie wiedział, dlaczego mu na tym zależy, żeby ta bogata Żydówka stała się znów taka sama, jaką ją dawniej widział, za jaką kiedyś wodził oczami. *Czy mi się uda?* — zastanawiał się nieraz, niosąc jej coś dobrego do jedzenia. Nigdy by się nikomu nie przyznał, że chciałby, żeby się stała znowu ładna, czupurna, taka jaką była dawniej. Patrząc na nią myślał: ot baba... Ot, powalić się z nią gdzieś na świeżym sianie, albo w lesie, czy w pachnącej koniczynie, obojętnie gdzie, byle tylko móc z nią pobaraszkować, polaskotać ją po tej białej okręconej złotym łańcuchem szyi.

Nie spodziewał się wtedy, ani mu przez głowę nie przeszło, ani mu się nigdy nie przysniło, że przyjdzie taki czas, że nawet nie siłą a dobrowolnie będzie mógł robić z nią co mu się tylko spodoba. I doczekał się.

Może ją przechowywać, może ją karmić, może ją całować ile chce, może napluć jej w oczy, może ją rozebrać nago i wygnąć z ziemi, może ją nawet zabić. Czy nie do niego teraz należy? A do kogo, jak nie do niego? *Jestem jakby jej włodarzem* — myślał śpiesząc do niej, by nie siedziała sama, by się nie nudziła, by czas jej przędka schodził. Długo, o długo trwało, nim Praczycha doszła do siebie i przestała myśleć o śmierci, nim jej ciało przestało ropieć.

Nijak nie mógł sobie rady dać z jej wrzodami, które bez przerwy ją atakowały. Jeszcze jedna wrzodzia nie pękła, jeszcze jedna rana nie obeschła, a już druga wyskoczyła obok. Co nie robił, czym nie poił, jakich ziół nie przykładał — nie pomagało. Czyraki wciąż od nowa, jeden obok drugiego, to na piersiach, to na szyi, na plecach. Nieraz przechodziło mu przez głowę, że może jakiejś francji w tym getcie, w tym zbiorowisku się nabawiła, albo może pod tymi lśnącymi spódnicami, noszonymi niegdyś przez zadziorną Praczychę, gnieździła się ta franca — ale nie, te miejsca, gdzie lubi się ona gnieździć, były czyste. I na przyrodzeniu i w pobliżu ani jednego pryszczka nie było. Wszystkie dokładnie obejrzał, żeby się upewnić, czy to nie jakaś zaraza.

Przez całutką zimę męczyła się Sosia z tymi ropnymi wrzodami. Wyla z bólu, kiedy Stiopa obmywał rany lub wyciskał ropę. Nie mógł słuchać, kiedy jęczała, kiedy prosiła: *Zrób coś Stepane, żeby mnie tak nie szarpało*. Ale nieraz ze złością odpychała go od

siebie krzycząc: *Odwal się z łapami, bo masz łapy jak rzeźnik. Myślisz, że jestem świnia, a ty ją szpikulcem.* Wtedy prosił: *Pocierp, Sosia, inaczej nie można. Onuśka przyschła do rany, trzeba ją oderwać, ranę trzeba obmyć, borsuczym sadłem posmarować i czystą szmatką zabandażować. Prędzej się zagoi.*

Aż do wiosny trwała ta mitrega. Kiedyś przyszło mu do głowy, że trzeba będzie pójść do Niedbalskiego. Francuz uciekł, ale jego felczer został na miejscu. Powinien jeszcze mieszkać jak nie obok pałacu, to gdzieś w pobliżu. Zaniesie mu kawałek słoniny, trochę gryczanych krup i poprosi o radę. Nikomu nie mówił, nawet Praczychę nie wtajemniczał, powiedział jej tylko, że jutro nie przyjdzie do niej w zwykłym czasie. Być może, że się spóźni, albo może wcale nie przyjdzie. Ma bardzo pilną sprawę do załatwienia. *Ty się, Sosio, tylko nie bój i nie turbuj. Siedź spokojnie, albo wypij kieliszek spirtu, żebyś mogła mocno zasnąć. Butelka ze spirtem stoi pod ścianą.* Przyniósł kiedyś do obmywania czyraków, ale gdy kropla na ranę spadła, Sosia jeszcze bardziej wzdrygnęła.

Felczer zastał, jak przewidywał, w domu, tylko jakoś się on zmienił. Postarzał się, zgarbił. Włosy mu na głowie posiwały i zmarszczek bez liku na czerwonej niegdyś, dobrze wypasionej twarzy przybyło i jakby ogłuchł, stał się głuszmanem i nogę ciągnął, jakby wrócił z frontu. Ale jakoś dogadał się z felczerem, któremu aż oczy zaświeciły jak wilkowi w nocy na widok grubej słoniny, którą wyjął z czysto wypranej torby.

Na początku felczer Niedbalski mędrkował, że musiałby na własne oczy te wrzody obejrzeć. Wtedy by wiedział, jaką maść zastosować. Radził, że najlepiej będzie chorą przywieźć do niego jutro z samego rana, wtedy on ją zbada, obsłucha i będzie wiedział, czy to świerz, czy popsuta krew, czy może coś na tle wenerycznej choroby. *Wiesz przecież, miły mój* — powiedział felczer — *że w czasie wojny wszelkie zaraźliwe choroby atakują ludzi, nawet bez ich winy.* Stiopa przysięgał, że ani świerz, ani franca, tylko zwyczajne czyraki, które nie wiadomo skąd się wzięły: czy z wody, czy z powietrza, czy Bóg wie skąd. Przywieźć chorej nie może. Woły mu Niemcy zabrali, a koni nigdy nie miał.

Felczer dał się przekonać. Kazał mu poczekać, a sam zaczął szukać, stękając, po szafkach. Powyciągał blaszane pudełka, w których trzymał różne lekarstwa i znalazłszy co mu było potrzebne, przygotował maść i jakieś jeszcze krople i kazał, by tą maścią dwa razy dziennie smarować te wrzody, a krople dawać na noc, po dwadzieścia na łyżkę wody. Chora po tych kroplach będzie spała.

Stiopa okrężnymi drogami biegł szybko z powrotem i żeby nikogo nie spotkać ze swoich, poszedł manowcami przez Francuza las, przez bród, i na Rychtę, i do zagajnika, w którym znajdowała się ziemianka, w której od przeszło dziewięciu miesięcy przechowywała się Praczycha.

Jeszcze kilka tygodni Praczycha męczyła się z tym ropnym paskudztwem, ale maść jednak pomogła. Jej ciało przestało puchnąć, czerwienić się i ropnieć, nawet zła sina skóra się złuszczyła i narosła świeża. Praczycha wyzdrowiała, poprawiła się, odmłodziła i bardzo wyładniała. Któregoś dnia Stiopa, pojąc ją brzożowym sokiem zaprawionym miodem, spojrzał na nią z lekkim upodobaniem i niemalże z zachwytem powiedział:

— Czy ty wiesz, Praczycho, że jesteś jeszcze młoda i bardzo ładna, choć ci tych kilka złotych zębów brakuje? A może mi się tylko tak zdaje, a może mam zdrakuny w oczach... Jeszcze trochę a wydobrzejesz, to i tobie do chłopca się zechce... No nie?! Praczycho, jak myślisz? Strach strachem, bojaźń bojaźnią, a ciało ciałem... Myślę, że może te wrzodziaki przez to, że nie było komu twojej krwi przecedzić. Myślę, gdyby i teraz ktoś twoją krew przecedził, nie męczyłabyś się tyle i ja bym się tak z tobą nie męczył. Nieraz myślałem, że zgłupieję od twego skowytania, aż mi głowa bolała od twego jęczenia.

— Czy ja skowytałam? Nie pamiętam. Bolało, cholernie mnie bolało. Gorzej niż tyfus. W tyfusie traci się przytomność i nie

czuje się bólu, a tu wszystko boli, ani siedzieć, ani leżeć, a głowa przytomna, wszystko rozumie, wszystko pamięta. Ale mimo wszystko, Stepane, jesteś dobrym, bardzo dobrym, aż mi się wierzyć nie chce, że w tym wrogim świecie może się znaleźć taki Stepan, który przyhołubi Praczychę i będzie ją niańczył jak dziecko. Powiedz mi, Stiopa, czy ty się nie brzydził moim śmierdzącym ciałem?

— Nie brzydziłem się, tylko się bałem. Myślałem, że może zdybałaś gdzieś francę, że może franca cię toczy, ale sprawdziłem, jej Bohu, sprawdziłem. Zajrzałem tu i tam. Obejrzałem wszystko dokumentnie i zmiarkowałem: gdyby była franca, najwięcej tego paskudztwa byłoby na przyrodzeniu, a tam na szczęście ciało było czystutkie jak wykoszerowane i wtedy pomyślałem: dzięki Bogu, Praczycha się z tej biedy wygrzebie. Jeszcze będzie z niej baba, hej... hej... i że mi się kiedyś odwziedczy czymś fajniejszym niż pieniądze — zarechotał przykręcając węża.

Praczycha się nie śmiała. Frywolne słowa, które coraz częściej padały z ust Stepana, już nie robiły na niej wrażenia. Choć pojęła, do czego Stiopa zmierza, nie miała mu tego za złe, gdyż wiedziała, że inny na jego miejscu postąpiłby z nią całkiem inaczej: albo siłą zrobiłby co chciał, albo wzięwszy od niej zapłatę przekazałby ją szybko Niemcom, albo mołojcom, którzy nie gorzej rozprawiali się z Żydówkami niż Niemcy.

Nadeszła zima, której Praczycha bardzo się bała, choć od żniw panował tu spokój — całkowity spokój, nawet kukulka przestała swoim kukanem budzić o świcie ze snu, a i inne ptaki zacichły, tylko las w górze ciągle ponuro szumiał. Wszystkie przeżycia, wszystkie tortury myślowe stały się jakby nieco łagodniejsze. Przestała myśleć, że Stiopa odda ją kiedyś Niemcom. Przekonała się ostatnio, że Stiopie nie zależy nawet na korzyściach, które już ma, a które jeszcze może będzie miał.

Była pewna, że do końca swoich dni będzie mu się odwziedzać czym będzie mogła, a wierzyła, że reszta majątku, który posiada, wystarczy nie tylko jej do końca życia. Poza tym spodziewała się, że Żydzi w całym świecie, którzy tej klęski nie zaznali, pomogą tym, co się uratowali. Spodziewała się, że dla tych ocalałych niedobitków pomoc będzie płynęła ze wszystkich stron świata, że z tej pomocy coś niecoś kapnie dla jej zbawiciela.

Czyż Stiopa nie był jej zbawicielem? Przecież był liutościwszy od samego Boga! Bóg skazał ją na poniewierkę, na pośmiewisko, na śmierć, a Stiopa wyrwał ją śmierci, dał schronienie, otarł łzy i zamiast torturować, lżyć, hańbić — pielęgnował, pocieszał...

Miała bardzo dużo czasu, żeby to wszystko dokładnie przemyśleć, a nawet zacząć troszeczkę wierzyć, że może jednak ujdzie śmierci. Przestała nawet się zastanawiać, co będzie po wojnie robiła. Zaczęła wierzyć, skoro tyle czasu przetrwała i nie zginęła, że po wojnie tym bardziej nie zginie, znajdują się ludzie, którzy tym, co cudem się uratowali, wskażą drogę, podadzą rękę i pomogą nauczyć się żyć. Bo żyć na pewno trzeba będzie, uczyć się od nowa, nawet do własnej mowy trzeba się będzie przyzwyczajać. Ale czy w ogóle jakiś Żyd będzie chciał mówić własną mową, która przez tyle lat była zaklęta i wyklęta?

Jednego razu Stiopa przyszedł jakiś ponury. Kończył okrywać liśmi ziemiankę i usiadł na pniaku obok piecyka, który niedawno wymurował, i dokładając suchą korę brzożową pod sosnowe polana, zamyślony, smutnym głosem powiedział:

— Praczycho, jakoś mi dzisiaj bardzo markotno. Ssie mnie tutaj, w dolku...

— A to dlaczego? Może zachorowałeś, może zaziębiłeś się? — zapytała zatroskanym głosem. — Chcę nawet zapytać, co cię gryzie, że siedzisz jakby ci ktoś kamień na szyi zawiesił?

— Może kamień, może i nie kamień, ale jakoś mi dzisiaj bardzo markotno. Coś mnie tutaj gryzie — dotknął palcem dołek pod piersiami.

— Może dowiedziałeś się czegoś? Może pokłóciłeś się z Ulitą,

a może ktoś doniósł Niemcom? — błędnie dopytywała się z wielkim niepokojem i schylała głowę do jego rąk, które czułyby zbutwiałymi łaciemi.

— Ulita mi też doskwiera — rzekł kiwając głową — i ma biedaczka rację. Cały majdan na jej głowie... Co ze mnie teraz za gospodarz, i co z mojej gospodarki zostało, może wkrótce zupełnie szczytnie. Ale czy gospodarka będzie większa, czy mniejsza i tak gospodarzył na niej nie będę. Ona stanie się i tak kazonna, ale nie o to mi teraz chodzi — powiedział siadając przy niej.

— Czemu nie chcesz mi powiedzieć. Jestem pewna, że chodzi o mnie, że może Ulita ci zagroziła. Ja na jej miejscu też bym inna nie była... Powiedz, Stiopa, czy ona nie ma racji? Przesiadujesz ze mną dniami i nocami, a co jej po pieniądzach, które ode mnie dostałeś? Co jej po tych dolarach? Ona i tak ich nie będzie widziała — mówiła szybko, a jej dolna warga drżała posiniąta, co świadczyło, że Praczycha się zlekła i zdenerwowała.

W ziemiance zrobiło się bardzo ciepło. Czerwony płomień trzaskając wesoło rozświetlał wnętrze ziemlanki, jej czarne ściany, na których chybały się ich cienie.

— Wcale nie chodzi o Ulitę, o mnie chodzi — odezwał się Stiopa patrząc na buchający płomień, który rozgrzewał żeliwną blachę na czerwono. — Czuję, jakbym sam sobie z dobrą woli stryk na szyję zacisnął. Gdybym się był spodziewał, że tak ono wyjdzie, poczebiłbym sobie, o! tymi rękami — podniósł dłonie do góry, rozwierając szeroko palce — kamień do szyi, skoczyłbym z wysokiego brzegu do wody, z tego spod Kozitela. Widziałas jaki tam wysoki brzeg, jak góra, a pod nim przepaść bez dna.

Praczycha nie przerywała. Zastanawiała się, co to się mogło nagle stać? Czuła jak jej serce zaczęło bardzo mocno bić; straciła nagle pewność, że przeżyje wojnę, zakradł się do niej niesamowity lęk. Zdenerwowana, odsunęła się od Stiopy. Jego bliskość zaczęła jej ciążyć. Stała się nagle bardzo daleka, bardzo obca... Milcząc patrzyła w ogień, który poprzednio bardzo lubiła, szczególnie wtedy, kiedy Stiopa klęcząc przy obmurowanym żelazniku rozpalał brzoźową korę lub smolne lucywo. W ziemiance robiło się wtedy ciepło i jasno. Choć czerwien tych płomyków niejedno zło jej przypominała, to jednocześnie rozpraszała podziemną ciemność, przypominającą grób. Stiopa również milczał, tylko spod oka obserwował poblask twarzy Praczychy. Po chwili się odezwał:

— Chciałbym ci coś, Praczycho, powiedzieć, do czegoś ci się po sekrecie przyznać, ale coś mnie wstrzymuje. Nie wiem: z jednej strony mam wielką ochotę, z drugiej zaś się boję, choć jesteśmy z sobą bardzo blisko, choć znam cię może tak samo, jak twój Jankiel, choć po dobrej woli zgodziłaś się żyć ze mną w wielkim grzechu, ale tak wono jakoś wyszło. Może to było dobrze, może i źle... Często, orząc w polu, myślałem o tym. Sam nie wierzyłem, że coś takiego mogło się stać. Sam się dziwiłem, że ja, Stepan — muzyk w łapciach, będę żył z tobą, Praczycho, lepiej niż z własną żoną, że ty Praczycho będziesz mnie wyglądała i na mnie czekała, a ja nie będę mógł się doczekać zachodu słońca, żeby jak najprędzej pobiegnąć do ciebie w cwał. Jak do tego doszło?, myślałem orząc, że Stepan — muzyk w łapciach z Praczychą za pan brat, że ja, Stepan — muzyk w łapciach, znam jej ciało prawie, jak jej Jankiel. I to nie siłą, a z dobrej woli garnie się do mnie, jak do swojego. I jak widać, moja bliskość uzdrowiła cię. Diaku Bohu za to, że moja bliskość nie tylko złemu, ale i czemuś dobremu się posłużyła.

Westchnął Stepan, choć wzdychanie nie było w jego naturze. Lubił śmiać się, żartować i szybko wpadać w złość, szczególnie wtedy, gdy sobie coś przypomniał z młodości.

— Chodź, Stepane, usiądź tu koło mnie — wyciągnęła do niego bladą, przetykaną niebieskimi żyłkami dłoń. Wzięła go za ramię i posadziła na krawędzi legowiska zbitego z desek i wymoszczonego sianem. Posłusznie usiadł obok, ale nie tak,

jak było w jego zwyczaju, tylko z daleka. Płomień z piecyka przedzierał się przez szparę w drzwiczkach i rzucał światło na jego twarz i na pajęczą sieć, którą tkął przebiegając łapkami pracowity pajak. Praczycha przyglądając się przygnębionej twarzy Stepana, od którego doznała tyle dobroci, zamyśliła się. Po chwili chudą dłonią pogładziła szorstki policzek Stepana.

— Nie ogoliłeś się dzisiaj, Stepane. Ryża broda ci rośnie jak u Niemca. Co się stało, Stepane, że kapcaniejesz? Coś ci trapi na fest, skoro nawet ci się ogolić nie chciało.

— Nie chciało... Jej Bohu, nie chciało. Pierwej, jak szedłem tu do ciebie wtedy, jak ty byłaś taka zależniona, taka niedorajdna, taka chuda, taka nie uczesana, patłachata, a zamiast włosów na głowie miałaś niby grochowinie, wtenczas miałem ochotę być podobnym do milicjantów co służyli Niemcom. Chciałem być takim dorodnym, jak oni. Chciałem, jakby ci to powiedzieć, tylko nie pognewaj się — upokorzyć cię. Przecież ja cię, Praczycho, przyjąłem dla interesu, a trochę w razie potrzeby za osłonę, ale najwięcej dla zysku, a twoje ścierwo wcale mnie nie obchodziło. Ja tylko myślałem jakby najwięcej złota od ciebie wydłubić. Czort jego wtedy wiedział, że wkrótce przestaną mnie twoje pieniądze obchodzić, a tylko co innego będzie miało sto razy większą wartość. Czy ty wiesz, Praczycho, że tylko za Chymką Pacholczychą ja tak ganiałem, jak teraz za tobą? Ale kiedy ganiałem za Pacholczychą, miałem dziewiętnaście i pół roku. Byłem młody i ona jak rozkwitająca róża, ale teraz kończę za miesiąc trzydzieści dziewięć lat. Mam dorosłe dzieci i syna, którego kości ziemia gdzieś przykryła. Dwie dorosłe córki i wnuka już miałem, którego, na szczęście, Bóg zabrał do siebie, żeby znajdą na tym świecie się nie poniewierał. Trzydzieści dziewięć lat, to już taki wiek Praczycho, który każe się zastanowić nad swoją przeszłością, a moja przeszłość była głupia i zawadiacka. Żyłem jak jakiś nie wiadomo kto, czasem jak kocur, a częściej jak wilk. Mam ja, Praczycho, niejedno na sumieniu... Oj, mam! A najgorzej, że teraz chciałbym o tym zapomnieć, a tu nikak zapomnieć nie można, szczególnie teraz, kiedy pomyślę, że wkrótce wejda ci, którym dużo czego jestem winien. Oj, winien, Praczycho, winien, a najgorsze jest to, że tobie, Praczycho, przyniosą wyzwolenie, a mnie być może wieczną niewolę, albo i jeszcze coś gorszego. Mogą mnie nawet powiesić.

Praczycha odwróciła głowę. Jego słowa napawały ją lękiem. Uważała go przecież za człowieka, który nigdy nikomu krzywdy nie zrobił; przecież mógł zabrać jej pieniądze, a ja zgładzić lub wygnać, a jednak tego nie zrobił. Wiedziała, że wygnał pierwszą żonę, że miał potrójne dzieci, że obecną żonę Ulitę też traktuje tylko jako siłę roboczą, że jest dla niej twardy, że jest pazerny na pieniądze, że chce być bogaty nie przykładając się do ciężkiej pracy. Ale są to sprawy, które nie powinny go napawać takim lękiem... Ci co przyjdą, cóż mogą do niego mieć? Gospodarkę ma niedużą, do band nie należał, a że jego syn gdzieś poszedł i zginął, to kto to może wiedzieć, gdzie zginął i za co zginął? Zginął i już...

— Setki, tysiące, miliony zginęły. Czy ktoś będzie się doszukiwał, za co zginęli? Czy ukarają kogoś za to, że swoją rodzinę zamordowali, że ja tyle czasu konałam w głodzie, chłódzie i w trupach, że obdarli mnie ze wszystkiego, że już prawie rok siedzę, w tym grobie za życia? — mówiła szybko, patrząc z wielkim niepokojem na jego zmienioną twarz. Gdzieś wysoko jakiś ptak załopotał skrzydłami i coś jakby zaskowytało i ucichło.

— Chyba myśzołów złapał małego zająca, a ten biedaczek aż zapiszczał. Ot, nieliczą ma ten ptak siłę, zajączka w trzymiga pazurami poderwie i tylko zwierzączek piśnie i już po nim — powiedział Stiopa, zamyślony wstając z posłania. — Nikomu się nie chce umierać, nawet takie tchórzliwe stworzenie jak zając chce żyć; aż nieborak zapłakał jak dziecko. Ale co tam zając, każde boskie stworzenie nie chce umierać. Każde boskie

stworzenie piszczy po swojemu, gdy przedśmiertna chwila przychodzi — mówił Stiopa cicho, jakby sam do siebie.

— Ale co my na to poradzimy — odezwała się Praczycha przygnębiona. — Bóg ten świat niby tak urządził, żeby jeden żywił się drugim. Ty, Stepane, zabijasz świnię, owce, ja — kurę, koguta. I leż to ja kur, kaczek, gęsi za swego żywota zjadłam? I nawet ani razu nie pomyślałam, że tym stworzeniem, gdy je zarzynają, tak samo boli jak nam ludziom. A ty w tej chwili litujesz się nad zajączkim, którego niby Bóg przeznaczył na pokarm dla orla. Coś tam u góry niedobrze wyszło — podniosła palec do niskiej powały, z której zwisały strzępy zaschniętego mchu.

— Prawda, Praczycho, prawda. Mnie wcale o tego zająca nie chodzi, powiedziałem tylko tak sobie; może to wcale nie zając, a tylko czyjaś dusza tak skowycze. Kto to może wiedzieć, co w takiej leśnej głuszy się dzieje.

Pokiwała głową ze smutkiem i rzekła:

— Stepane, gdybym cię nie знаła, tobym pomyślała Bóg wie co, że ty coś nie tego, że ty wciąż mówisz nie o tym, co byś chciał powiedzieć. Ty wciąż zagadujesz, ty wciąż motasz tak, jakbyś chciał coś wyrzucić z siebie, a się boisz. Mnie nie masz się czego bać. Za bardzo jestem ci wdzięczna, żebym mogła ci kiedykolwiek coś przykrego zrobić — pogłaskała go po ramieniu.

— Może i tak, a może i nie. Ja tam babie najmańdszej nie wierzę, choćby to nawet była sama wielka Praczycha, z którą sam diabeł mnie splątał, przez którą zaniedbałem własne gospodarstwo, własną gospodynię; co prawda jej spódnica mnie nie pachnie, ale też i nie śmierdzi. Od biedy po ciemku i jej zadnica mi się czasem do czego przydaje. Nocą każdy kot jest czarny... — powiedział bez uśmiechu.

Pokryła głowę, zamyśliła, choć była zadowolona, że zdołała go omotać, pomimo przeogromnej zmiany jaka zaszła w jej urodzie. Ucieszyła się nawet, że Stiopa wyznał jej swą miłość, która dawała jej większą szansę na przetrwanie, choć to wyznanie nie było delikatne, tylko twarde, chłopskie, prostackie. Takie same, jak sam Stiopa, co nie jest ani delikatny, ani miękki — tylko urody Bóg mu nie poskąpił, tylko że za tą urodą kryje się dziwne serce — ale to już jest inna sprawa. Tym bardziej była zadowolona, że bez czarów, bez wielkich starań zdołała tę dziwną naturę przywiązać do siebie, i to mocno, skoro nazwał ją wielką Praczychą i jakby miał żal do niej, że przez nią zaniedbuje wszystkich i wszystko. Myślała tak plotąc swoje włosy, które za ten czas bardzo długie urosły.

Stiopa nagle odsunął się od ściany, położył obok niej i zaczął twardymi dłońmi ugniatać jej piersi, aż do bólu, i patrząc jej w oczy powiedział z rechem:

— Oj, Praczycho, gdybyś wiedziała, o czym ja myślę w tej chwili, to byś podskoczyła aż do powały.

— O czymże innym, Stiopa, możesz w tej chwili myśleć, niż o tym, o czym myśli każdy silny parobek leżąc obok baby, choćby ta baba była innej wiary, czy ubezwłasnowolniona, bo przecież jestem ubezwłasnowolniona. No nie, Stepane? Bo gdyby było inaczej, siedziałabym nie tu, w tym podziemnym grobie, tylko w swoim domu, pilnowałabym olejarni, gremplarni i krzyczałabym na swego Jankla. A ty, Stepane, nie miętosiłbyś moich piersi, jakby ze złością. Czy nie tak, Stepane? — powiedziała jakby niechętnie, gdyż była zaskoczona jego słowami, które w chwili jego pieszczot nie przypadły jej do smaku. — Wiesz co, Stepane? — objęła go ramionami, które pod jego opieką stały się znowu okrągłe i jędrne. — Zaraz ci powiem, jak do mnie mówił mój Jankiel, kiedy tarmosił moje piersi — zaśmiała się cichutko.

— Nu jak! Powiedz, nie wymyślaj, tylko prawdę powiedź! — pocałował ją w usta, kłując ostrym nieogolonym zarostem.

— Mój prosil: Soskele, królowo moja, duszko moja, królestwo moje, chodź tu do mnie... Chodź, czekam niecierpliwie na ciebie.

— A ty co? Kazałaś mu czekać?

— Jak czasem. Niekiedy, jak miałam ochotę, szłam do niego od razu, a czasem odwracałam się do ściany i udawałam, że śpię — zaśmiała się, choć specjalnie śmiać jej się nie chciało. I raptem, jakby się zagubiła, jakby jej natura doznała jakiejś przeogromnej zmiany. Sama już nie była pewna, czy żartuje, czy mówi prawdę, choć wiedziała, że czyni swemu Janklowi przeogromną krzywdę odsłaniając ich intymne małżeńskie sprawy, lecz mimo wyrzutów, które jakby zakłóciły jej wewnętrzny spokój, nie była w stanie przestać wtajemniczać Stepana w swoje poprzednie życie małżeńskie, które, jak była pewna, już nigdy nie będzie takie samo. Bo w jej naturze, jak i w ciele zaszły przeogromne zmiany, ponadto chciała jakby nauczyć Stepana, jak ma się do niej odzywać, kiedy ich ciała są blisko siebie.

— A czemu to on, twój Pracz, do ciebie nie wlaźł, tylko do swego legowiska zapraszał? Czy taki zwyczaj, że Icek musi jarmułkę na swoją Surę rzucić, a potem ją prosić, żeby do niego przyszła? A czy nie lepiej u nas, u muzyków, że pokąd są młodzi i do tej roboty skorzy, śpią na jednym legowisku; nie musi muzyk prosić swej baby, żeby mu pozwoliła zrobić to, na co ma ochotę.

Niezadowolona, tym razem z siebie, uśmiechała się nie-szczerze, pozwalając mu nieprzystojnie się wygadać. Radość, której przed chwilą doznała, jak jej się zdawało, ze swego zwycięstwa nad tym prostym acz bardzo przystojnym osiłkiem, którego ciało stało się dla niej bliskie, okazała się nieuzasadniona.

Poczuła niesmak i wielki wstyd, że nie zdołała zachować godności w tym okrutnym czasie, w którym się znalazła, i że zwątpiła w swoje szczęście, w swój spryt, który pomógł jej przejść przez to piekło i jakoś się utrzymać przy życiu. Lecz czy to ocalenie było warte tego poniżenia? Bo czyż to nie poniżenie leżeć w ramionach tego osiłka, który stał się panem jej życia i śmierci, i którego, pomimo obcowania z nim niemalże ponad rok, nie poznała ani na jotę? Owszem zna jego silne ciepło, jego muskularne ramiona, lecz nie zna jego duszy. Nie wie, co myśli, gdyż nigdy nie otworzył przed nią samego serca, nie powiedział jej, co go gnębi, jaki dźwiga ciężar, choć jest pewna, że coś go gnębie, że się czegoś boi — nie mniej niż ona.

Po chwili odgoniła te przykre myśli. Nad czym się tu zastanawiać? Zdaży jeszcze umrzeć, śmierć nie ucieknie. Prędzej czy później nadejdzie, a życie nawet w tych mrokach, w tej ziemi jest piękniejsze niż tam, skąd już nie ma powrotu. Bo nawet w najgorszej katordze zdarzają się chwile ukojenia. Czy moim ukojeniem nie był ten osilek, który pomógł mi jakoś do tej pory żyć?

Więc po co te wyrzuty sumienia? Po co ta pogarda do samej siebie? Co komu przyjdzie z tego, gdybym umarła lub żyła w cnotce? Komu by się moja cnota przydała? Może memu Janklowi, lecz kto mi zaręczy, że żyje, a gdyby nawet, czy on nie miałby prawa, tak samo jak ja, związać się, może nie duszą ale ciałem, z jakąś kobietą, która by pomogła mu przetrwać?

Być może, jak się z nim kiedyś spotkam na tym lub na tamtym świecie, wszystko mu dokładnie opowiem. Nic nie zataję. Opowiem mu, jak się poniewierałam, jak we wszystko zwątpiłam, a nawet o Bogu przestałam myśleć. Przyznam mu się, że żyłam ze Stepanem, że przywykłam do jego ust, do jego ramion, że nie on, mój ślubny mąż, ojciec naszych dzieci pomógł mi wytrwać, tylko ten prosty muzyk, któremu zawdzięczam, że nie zgniłam we własnych odchodach.

Wybacz mi, mój mężu, jeżeli nie zachowuję się teraz godnie, to dlatego, że w tym okrutnym czasie znalazł się ktoś, kto w zimowych nocach, kiedy wicher w lesie wyl jak dusze potępione, nie pozwolił mi skonać ze strachu.

„Jak śmierć potężna jest miłość”

Marian Filipiak

Sposób ukazowania spraw erotycznych i uczuć miłosnych w literaturze zmieniał się w różnych okresach historycznych w zależności od tradycji plemiennych i narodowych, nakazów religijnych i stosunków społecznych, ustalających normy obyczajowe, a także od konwencji i prądów literackich dominujących w danej epoce.

I tak, mitologia grecka patronowała swobodzie obyczajowej starożytnych Greków. Jeszcze wyższy kunszt w sztuce kochania i w jej literackim odzwierciedleniu osiągnęli starożytni Rzymianie. Świadczą o tym filozoficzne rozważania Lukrecjusza o naturze człowieka, wierszowane rady Owidiusza jak zdobywać kobiety, czy też poezje Horacego wyrażające uwielbienie dla kobiet. Rzymscy pisarze stworzyli też pierwsze wzorce prozy erotycznej. Niezależnie od śródziemnomorskich wzorców i tradycji rozwijała się literatura erotyczna w starożytnych Indiach, a i w dawnej literaturze arabskiej nie brak przygód miłosnych (*Opowieści z tysiąca i jednej nocy*).

Zapewne jednak najwspanialszym erotykiem świata, a zarazem prototypem liryki miłosnej pozostaje biblijna księga *Pieśni nad Pieśniami*. Jak napisał S. Czarnowski, jest to „wspaniały pean pożądania miłosnego, w którym z każdego wersu woła niecierpliwie oczekiwanie rozkoszy, krzyk nieomal bolesny, skarga i nadzieja”.

Zwykle ludzkie dokonania, także literackie, są uwarunkowane historycznie; *Pieśń nad Pieśniami* wyrosła ponad swoją epokę.

W życiu młodej kobiety tamtych czasów niewiele było miejsca na miłość. Wydawana wcześniej za mąż, często nie знаła swego narzeczonego. Była „pod władzą mężową”, czy chciała czy nie chciała, rodziła dzieci i umierała przy porodach. Uroda jej trwała krótko i krótko trwała miłość. W życiu codziennym była po prostu „własnością” mężczyzny, jak to potwierdza ostatnie przykazanie biblijnego dekalogu: „Nie będziesz pożądał domu bliźniego twego ani jego żony, ani jego niewolnika, niewolnicy, wołu, osła, ani żadnej rzeczy, która należy do bliźniego twego” (*Księga Wyjścia* 20,17). Jednym z nich autor wymienia całą własność bliźniego, wszystkie jego „rzeczy”: dom, żonę, niewolnika, niewolnicę, wołu, osła. Wszystko to jest do dyspozycji mężczyzny, kobieta także: ma służyć satysfakcji mężczyzny i rodzić mu dzieci.

Tymczasem w *Pieśni nad Pieśniami* myśl o prokreacji jako nadrzędnym celu małżeństwa jest całkowicie nieobecna. Mówi się w niej tylko o miłości — ona jest twórczym i elementem konstytutywnym małżeństwa, a nie opłata zaręczynowa, kontrakt ślubny czy ceremonia ślubna; to wszystko jest tylko dodatkiem.

Tradycja utrzymywała, że miłosne dążenie kobiety ku mężczyźnie jest karą boską za to, że stała się ona uwodzicielką mężczyzny: „ku twemu mężowi będziesz kierowała swe pożądania, on zaś będzie panował nad tobą” (*Księga Rodzaju* 3,16). Dziewczyna z *Pieśni nad Pieśniami* z dumą odrzuca tę myśl: „Jam miłego mego i ku mnie zwraca się jego pożądanie” (7,11). To ona właśnie odczuwa satysfakcję i przyjemność z faktu, że jest pożądana przez mężczyznę: „ku mnie zwraca się jego pożądanie”. Dziewczyna często przypomina swoją rolę w miłości: „Mój miły jest mój, a ja jestem jego” (2,16; „mój miły”, a nie „mój pan” — jak czytamy najczęściej w Biblii!). Jedno należy do drugiego na tej samej zasadzie równości i z takimi samymi konsekwencjami. Do szczęścia z miłości mają takie same prawa.

Dla kochanków z *Pieśni nad Pieśniami* ziemia jest rajem, jest ogrodem pełnym drzew i ptaków. Oboje są młodzi i piękni. „Jest czas miłości” — jakby powiedział biblijny mędrzec Eklezjasta. Ale ten sam mędrzec natychmiast dodał: jest też „czas płaczu”. Miłość niesie ze sobą wiele szczęścia, ale też wiele udręk. Miłość nie jest dana raz na zawsze i nieodwołalnie — w miłości trzeba się wciąż na nowo „szukać”

i „odnajdywać”. Dwoje zakochanych z *Pieśni nad Pieśniami* przeżywa koszmar; nie przestają się szukać i nie mogą się odnaleźć. Gdy wreszcie spotykają się, dziewczyna postanawia: „Znalazłam umiłowanego, pochwyciłam go i nie puszcę” — ale na próżno, chłopak musi odejść. „Nie nasyci się oko patrzeniem ani ucho napelni słuchaniem” (*Księga Kohelela* 1,8) — ani serce ludzkie nie może się nasycić miłością. Uczucia niespełnienia i nienasycenia miłością zasiewają w człowieku niepokój i udrękę. „Jestem chora z miłości” — wyznaje oblubienica z *Pieśni nad Pieśniami*.

Szczęście zakochanych z *Pieśni nad Pieśniami* zakłóca postawa otaczających ich ludzi. Patrzą na nich — nie wiadomo dlaczego — złym okiem. Gdy potrzebują pomocy, nikt nie wyciąga do nich przyjaźnej ręki, nawet bracia oblubienicy! Ludzie rzadko potrafią się cieszyć z cudzego szczęścia. Dlaczego?

Być może widok szczęścia innych przypomina nienasycenie własnym szczęściem, budzi więc smutek zamiast radości. Trzeba zaiste dużo wewnętrznej mocy, by cieszyć się z cieszącymi i płakać z płaczącymi. Cudze szczęście jest wymagające; wymagające tym więcej, im bogatsze jest źródło szczęścia. Najbogatszym źródłem szczęścia jest właśnie miłość. W życiu niemal wszystko można „załatwić”: karierę, przedmioty, urodę, nawet zdrowie — nie można załatwić ani kupić miłości. Co więcej — im ktoś więcej chciałby zapłacić, tym mniej zyskuje; miłości nie można kupić, na miłość trzeba zasłużyć. „Kto poświęci całe bogactwo swego domu za miłość, dozna tylko wzgardy” (8,7). Oto dlaczego ludziom tak trudno podzielić cudze szczęście z miłości.

Miłość jest wewnętrznym stanem człowieka o tak silnym natężeniu, że porównać ją można ze śmiercią:

„Połóż mnie jak pieczęć na twoim sercu, jak pieczęć na twoim ramieniu,

bo jak śmierć potężna jest miłość, a zazdrość jej nieprzejeżdżana jak szeol, żar jej to żar ognia.

Wody wielkie nie zdołają ugasić miłości, nie zatopią jej rzeki” (8,6-7).

Słowa te skierowała oblubienica do swego oblubienica. Prosi go o rzecz bardzo prostą, a zarazem wstrząsającą: by ich miłość przetrwała pomimo powszechnej nieuchronności śmierci i złowieszczej konieczności rozłąki w krainie zmarłych. Obraz pieczęci nałożonej na sercu i na ramieniu ukochanego ma znaczyć, że we wszystkich myślach, pragnieniach, czynach, przejawach miłości, w całym życiu oblubienica jego oblubienica będzie przy nim zawsze obecna jako ktoś przeznaczony mu już na zawsze.

„Jak śmierć potężna jest miłość”, a tajemniczej mocy śmierci nikt i nic nie może przemóc, nikt nie może się jej wymknąć. Miłość wszystko może:

„Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest.

Miłość nie zazdrości,

nie szuka pokłasku,

nie unosi się pychą;

nie dopuszcza się bezwstydu,

nie szuka swego,

nie unosi się gniewem,

nie pamięta złego;

nie cieszy się z niesprawiedliwości,

lecz współwesołi się z prawdą.

Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma”. (*Pierwszy List do Koryntian* 13,4-7).

Tympanon bez symbolu

Publikowaną oto fotografię budynku mieszkalnego przy ul. Reformackiej 8 w Chełmie wykonał pan Karol Dromlewski, nasz znakomity i wierny współpracownik. Prosząc go o zanotowanie tego domu na kliszy, nie sugerowałem żadnego punktu widzenia, mniemając, że tak czy siak otrzymam zdjęcie o walorach dokumentu. Owszem, otrzymałem — tyle że dokumentację lepszej, mówiąc po prostu — ładniejszej części obiektu. Dromlewski mógł, ale nie sfotografował tego członu budynku, w którym znajduje się jego brama, wyeksponowana na sposób postmodernistyczny, a więc tyle spełniająca dyrektywę funkcjonalności, co symboliczna, może nawet ciut prowokująca, a tak naprawdę — kaleka w swojej samotności, chyba odrzucona.

Przypuszczam, że Dromlewskiemu po prostu nie podobała się ta brama, zapewne dostrzegł w niej coś demolującego jego wzór estetyczny, w jakimś tam stopniu implikowany przez oczekiwania różnych gazet lub czasopism, które zwykle traktują fotografie jak ozdobniki, przerywniki, ilustracyjki, zapchajdziury — zawsze przyjemne, o rany!

Dromlewski zrobił zdjęcie i poszedł sobie.

Natomiast Jan Osik nie może uciec od tego domu, bo sam go zaprojektował dla Młodzieżowej Spółdzielni Mieszkaniowej przy Kombinacie Cementowym w Chełmie — i to w trzy miesiące 1985 roku. Osik opracował około 100 różnych projektów — domów mieszkalnych, ośrodków czasowych i kulturalnych, licznych zabudowań gospodarczych na wsi — ale dom przy Reformackiej ciągle chyba „leży” na jego desce kreślarskiej, albowiem miał to być, a nie jest obiekt zgodny z wyobrażeniem autora o sensownym wprowadzeniu czegoś nowego, przynajmniej względnie autonomicznego, w tradycyjną zabudowę kwartału. Osik wymyślił ten budynek nie tak, jak on obecnie stoi: o 50 cm i 75 cm (drugi człon) wyżej nad powierzchnią ziemi, niż to przewidywał projekt. Ponadto Osik postanowił jed-



Budynek mieszkalny przy ul. Reformackiej 8 w Chełmie

noznacznie, że ceramiczne płytki klinkierowe będą na fragmentach ścian, na filarach i gzymsie wieńczącym i właśnie na owej bramie wjazdowej, która zresztą miała zamykać się formą lekko spłaszczonego łuku. Co Osik postanowił w tej mierze, to wiejscy wykonawcy pominieli, bo chyba było im tak wygodniej. Powiedzmy, ich leniwy interes, ale gdzie był inwestor i inspektor nadzoru? Inna sprawa, że gwałcenie projektów w trakcie ich realizacji jest ciągle czymś tak pospolitym, jak Ukraińcy na targowisku chełmskim koło cmentarza.

Może warto wiedzieć, że ten budynek Osik

projektował w konsultacji z Leszkiem Samockim, Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków, który wiele zrobił, by inwestor w ogóle nie wymknął się z duktu tradycji kulturowej, wyznaczonym dookoła architekturą. Samocki miał też wyszukać w archiwaliach jakiś znak symboliczny do tympanonu nad bramą — może Chełma, może tutejszego rzemiosła. Ale cóż, czasy uległy takiemu przyśpieszeniu, że po 15 latach pracy na stanowisku konserwatora Samocki musi teraz szukać czegoś innego, np. końca, by związać go z drugim końcem, a nie jest to takie proste.

W tympanonie nie ma więc symbolicznego reliefu, choć owszem, to puste miejsce nie jest pozbawione walorów alegorii — tyle że zrozumiałej zaledwie dla kilku osób.

Z tą bramą to w ogóle kłopoty: miała mieć 3,5 metra wysokości (by umożliwić np. przejazd wozu strażackiego z drabinami), a faktycznie ma o 125 cm więcej! Prawdopodobnie jest to najwyższa brama w Chełmie, wyciągnięta wbrew intencjom projektanta.

Mówimy tu ciągle o niedostatkach, a właściwie referujemy żale autora, któremu w części elewacyjnej budynku nieco spażano projekt drogą niefrasobliwej realizacji.

Pora więc oznajmić coś innego: że mimo wszelkie odstępstwa od Osikowej myśli i nawet wbrew temu, że brak pieniędzy uniemożliwił rozwinięcie budowli dalej, wzdłuż ul. Strażackiej, aż do Klubu MPiK, co przewidywał projekt — ten dom przy ul. Reformackiej 8 wart jest pochlebnej uwagi. Wpisujemy go na listę tych faktów, które inicjują nową, zindywidualizowaną architekturę Chełma (patrz fotografia). Na tej honorowej liście umieszczamy także budynek mieszkalno-usługowy przy ul. Lubelskiej 63, zaprojektowany przez Osika w 1987 roku i właśnie ukończony mocą pieniędzy Lubelskich Hut Szkła. W przyziemiu obiektu będzie się handlowało, chyba szkłem, a wyżej mieszkało — ale w przestrzeniach „genewskich”, grubo przekraczających polski przydział metrów na głowę. Dobrze jest być hutnikiem szklanym.

To także jest „plomba” w istniejącą zabudowę naszej pryncypialnej ulicy; która może nie ma jednorodnego stylu, ale ma charakter. I Osik poszedł tym tropem charakterologicznym zrećnie, nie zapominając wszakże, że i on, człowiek urodzony w 1955 roku (w Woli

Skromowskiej koło Kocka), też ma coś własnego do powiedzenia w tej historycznej polifonii architektury lub, jak ktoś woli, mieszczańskiego budowania. Z biegiem lat Osikowe dzieło wtopi się prawie w pejzaż ul. Lubelskiej — ale tylko „prawie”, bo jak ktoś kiedyś w przyszłości rzuci okiem na cztery półkoliste witryny sklepowe i zobaczy jeszcze dekoracyjne gzymsy, i mansardy, to chyba zapyta sam siebie: — Kto i kiedy coś takiego oryginalnego wymyślił?

Codziennie mijamy panów i panie od budowania, nie zdając sobie sprawy, że np. taki Jan Osik będzie obiektem namysłu historyków sztuki, z których może niejeden ugotuje sobie na jego projektach pracę doktorską.

Inna sprawa, że przykładając do postaci Osika miary pospolite, dojdziemy do wniosków niepokojących. Rzecz w tym, że posiada on tylko dyplom policealnego studium projektowania architektonicznego przy zespole Państwowych (!) Szkół Budownictwa w Lublinie, co skojarzone z liczbą i jakością jego projektów (patrz np. ośrodek wypoczynkowy prokuratury nad Jeziolem Białym) może budzić specjalnego rodzaju emocje u poniekórych, wysoko kształconych architektów. Ale: budzi nie budzi — wszyscy oni, ulokowani przez biologiczny przypadek w przedziale tzw. średniej generacji, a więc oni wszyscy, łącznie z Osikiem, budują nowy Chełm.

Brzmi to ładnie, regionalnie i patetycznie, w stylu pojednawczym, spinającym stare i nowe czasy, ale może warto przy tym wiedzieć, że obecnie wąski jest strumień zleceń na poważniejsze prace projektowe, a sam Jan Osik występuje w roli bezrobotnego i w związku z tym ima się zająć (dla chleba) tak odległych od jego profesji, jak dowcip Pietrzaka od naszych realnych dylematów.

Myślę wszakże, że Osik przełamie w końcu złą passę. Przecież kiedyś uprawiał sport spadochronowy, czytał „na okrągło” Słowackiego i Norwida, słuchał Niemena rapsody — czy trywialna rzeczywistość zdolna jest unieważnić te muśnięcia delikatności i mocy?

Oda do rzeki Bugu

*Nie nęci mej pieśni Salmacys zdradziecki
Ni źródło święcone Wenerze;
Żaden źródł laciński lub grecki
Dziś ze mnie ofiary nie bierze.*

*Przebaczcie Paktolu i Cydnu zatoki
Że dla was strun moich nie trączę,
I ty, ojczyzno Tybrze głęboki,
Nie czekaj na pieśni gorące.*

*Ja będę opiewał Bug wrzący i skory,
Co Wisków od skwaru zasłania,
Co dżdżyste, jesienne wapory
Wyziewa lub nazad pochłania.*

*O Bugu! o czysty wód świętych kryształ!
Jakaż mi Pierys pozwoli
Bym konchę czerpnąwszy twą falę,
Ugasił pragnienie do woli?*

*O Bugu! którego głębiny nie zmierza
Ni wiosło, ni śmiały bród ludzi,
Ni trzoda blizkiego pasterza
Swawolnem pływaniem się brudzi!*

*Nie pali twej wody od wierzchu do głębi
Spiekota w południa zacisze;
Mróz ciebie nie ściska, nie ziębi
Lecz wietrzyk ciepławy kołysze.*

*Gdy przecie na wiosnę szeroko rozlany
Wypłyniesz na środek zagonów,
I łąki wiskowskie i lany
Użyźniasz do kwiatów i plonów.*

*Jak miło się wsłuchać w twój szelest i gwary!
O rzeki najczystsze, najzdrowsze!
O Bugu i Narwi! do pary!
I w parze opłyńcie Mazowsze.*

*Gdy wieszczbom Febowym dać wiarę się godzi,
Zawierzcie, zawierzcie potomni!
Wkrótce się poeta narodzi
Co naszą piosenkę przypomni.*

*On wodom ojczystym wywiąże się z długu
I odda należny dank cześci,
On i was, o Narwi i Bugu!
Na lirze głośniejszej obwieści!*

Z łaciny przełożył Władysław Syrokomla (1823–1862)

Bug — portret rzeki

Krystyna Harasimiuk, Marian Harasimiuk

Gdyby zapytać przypadkowego rozmówcę, co wie o rzece Bug, z pewnością odpowiedź zacząłby od stwierdzenia, że jest to największy prawobrzeżny dopływ Wisły. Taka sama informacja znajduje się w Wielkiej Encyklopedii PWN (1963) i w starszych podręcznikach geografii. Tymczasem czterotomowa Encyklopedia Powszechna PWN z 1983 r. podaje: „Bug — rzeka w Polsce i ZSRR, lewobrzeżny dopływ Narwi...”.

Jak to więc jest naprawdę — jest czy nie jest Bug dopływem Wisły? Skąd się biorą te rozbieżności? Otóż formalnie Bug uznany został lewobrzeżnym dopływem Narwi. Zdecydował o tym ostatecznie akt prawny; Zarządzenie 119 Prezesa Rady Ministrów z 27 grudnia 1962 r.

W dawnych opisach hydrograficznych odcinek od połączenia się Bugu z Narwią do ujścia do Wisły nazywany był najczęściej Narwią, przy czym zazwyczaj przyznawano obu rzekom jednakową rangę. Wincenty Pol w swej rozprawie „Północny wschód Europy i Hydrografia Polski”, wydanej we Lwowie w 1876 roku, pisze: „Bug jest największą rzeką, którą Wisła z sobą uprowadza, nie wpada on wprawdzie do Wisły, ale płynie na daleko dłuższej przestrzeni niż Narew, która go zabiera” i dalej: „wpada pod Sieradzkim (dziś Serock) do Narwi, a z nią razem wylewa się Bug do Wisły pod wspólnym nazwiskiem Narew”, wreszcie: „płynie przez mil 82 i jest to dla niego

niejako krzywdą, iż łączy się z pomniejszą rzeką, traci swe własne nazwisko”.

W latach pięćdziesiątych próbowano rozstrzygnąć ten dylemat w nazewnictwie geograficznym, wprowadzając termin Bugo-Narew. Był to jednak dziwoląg językowy, który na szczęście się nie przyjął. O formalnym przyznaniu wyższej rangi Narwi zdecydowało w ostateczności to, że mimo iż jest rzeką krótszą, niesie ona więcej wody niż Bug.

Przyjmijmy więc, że Bug uchodzi do Zalewu Zegrzyńskiego, który został wybudowany w roku 1963 na ujściowym odcinku Narwi.

Jako ciekawostkę i dowód, że problem nazewnictwa nadal jest aktualny nawet w literaturze fachowej, można przytoczyć informacje z książki „Wisła — monografia rzeki” (wydanie z 1982 r.). W rozdziale II „Przyroda rzeki” (s. 94) Bug jest potraktowany jako prawobrzeżny dopływ Wisły, natomiast w rozdziale IV „Kompleksowe zagospodarowanie Wisły” (s. 379) za rzekę główną uchodzącą do Wisły została uznana Narew.

Uznając zatem ostatecznie prawny status rzeki należy przyjąć, że Bug jest największym lewobrzeżnym dopływem Narwi, jego długość wynosi 772 km, w tym w Polsce 587 km, a powierzchnia dorzecza — 39 420 km², z czego w Polsce 19 284 km².



Po tym wstępie można przystąpić do przedstawienia przyrodniczego portretu rzeki, zaczynając od krajobrazów.

Dolina górnego Bugu

Bug bierze swój początek na wysokości 311 m n.p.m., ze źródła we wsi Wierchobuż, położonej w północnej części Podola zwanej Woronia-kami. Wieś rozłożyła się u stóp masywnego wzgórza, wznoszącego się do wysokości 420 m n.p.m., na północnym skraju rozległej bagnistej Kotliny Kołtowskiej. Woda wypływa ze szczeliny wapieni trzeciorzędowych, tworząc od razu duży potok wijący się przez wieś. Źródło Bugu uznane jest za pomnik przyrody i znajduje się pod kontrolą państwowej służby hydrologiczno-meteorologicznej ZSRR. Od roku źródeł rzeki strzegą także święte figury, które powróciły z ukrycia, w którym przebywały prawie 50 lat.

Tuż za wsią Bug traci jednak charakter naturalnej rzeki; jego wody włączone zostały w system rowów melioracyjnych odwadniających Kotlinę Kołtowa. Ku północo-zachodowi kotlina przechodzi w szeroką nieckę, w której osi poprowadzono główny rów melioracyjny czyli Bug. Po 10 km, na zachód od miejscowości Sasów, Bug przecina kolejną bagnistą kotlinę; wijąc się wśród łąk i bagien rzeka wkracza w strefę północnej krawędzi Podola. Dolina gwałtownie się zwęża do 1 km, a ponad nią, od północy, wznosi się potężny masyw Świętej Góry (368 m n.p.m.) z białymi, silnie erodowanymi stokami i ciemnozieloną leśną czapą na wierzchołku. Tuż u podnóża bardzo malowniczej krawędzi Podola rozłożyła się nad Bugiem miejscowość Biały Kamień, w której w 1639 roku urodził się Michał Korybut Wiśniowiecki, późniejszy król Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

W Białym Kamieniu kończy się podolski odcinek górnego Bugu. Rzeka dalej utrzymuje kierunek ku północo-zachodowi, przecinając rozległe bagna i łąki oraz równoleżnikowe, niewysokie, ale bardzo długie garby pokryte lessami, z urodzajnymi czarnoziemami. To kraina zwana Polesiem Buskim lub Pobużem Grzędowym. W jej centralnej części leży niewielkie miasto Busk, gdzie do Bugu uchodzi zasobna w wodę Pełtew, niestety bardzo silnie zanieczyszczona przez ścieki większej części milionowego Lwowa.

Bug meandruje, dzieli się na liczne odnogi; często zmieniając położenie koryta pozostawia zarastające starorzecza. Ta leniwa, o bardzo małym spadku rzeka potrafi być jednak groźna, w czasie gwałtow-

nych wiosennych powodzi zalewając tysiące hektarów łąk i bagien położonych w sąsiedztwie swej doliny. Na niewiele zdały się liczne prace melioracyjne, realizowane z rozmachem w imię przebrzmiałego, na szczęście, hasła zwycięstwa człowieka nad siłami przyrody. Bug mija rozłożoną nad jego brzegami Kamionkę Bugską (dawniej Kamionka Strumiłowa) i kieruje się dalej ku północy. W okolicy miejscowości Dobrotwór rzekę przecina tama, tworząc rozległy zbiornik dla potrzeb wybudowanej tu w latach 60. elektrowni cieplnej. Poniżej rzeka wpływa na obszar rozległej Kotliny Bugu. Jeszcze przed 100 laty była to kraina nieprzebranych bagien, gdzie Bug dzielił się na kilkadziesiąt ramion. Tak tę okolicę opisuje Antoni Rehman (znakomity polski geograf z przełomu XIX i XX wieku) w swej książce „Ziemie dawnej Polski i sąsiednich krajów Słowiańskich”, wydanej we Lwowie w 1904 roku.

„Dobiegłszy do Jastrzębicy, dzieli się Bug nagle na kilkadziesiąt ramion, tworząc znany na całą okolicę, wysławiony przez myśliwych, labirynt wodny, jakiego żadna inna rzeka galicyjska nie posiada. Liczba tych ramion ma dochodzić do osiemdziesięciu. Zbadanie tej miejscowości jest połączone z niemałymi trudnościami, bo wiele z tych ramion ulega corocznie prawie zamuleniu i zapchaniu, co zmusza myśliwych i podróżnego do częstego opuszczania wody i torowania sobie drogi wraz z łodzią między ostrowami porośniętymi łożami i oczeretem... Ta dzika i niedostępna puszcza wodna bywa corocznie ożywiana przez gromady ptactwa wodnego, obfituje i w ryby, [...] niedostępniejsze ramiona Bugu dostarczają bezpiecznego schronienia wydrom, którą tu nierzadko jeszcze można spotkać”. Już w 1846 roku inżynier austriacki Mayer sporządził pierwsze plany biegu Bugu w tym obszarze, w celu uregulowania jego koryta, „co jednak do skutku nie przyszło”. Dopiero w drugiej połowie XX wieku wkroczył tu ze swymi koparkami człowiek, przecinając bagna siecią rowów i kanałów, zabierając przyrodzie to, co w niej najcenniejsze — życiodajną wodę. Część bagien będących wspaniałym regulatorem stosunków wodnych zamieniono w ten sposób na dziczejące, przesuszone nieużytki.

Bug środkowy i dolny

W miejscowości Czerwonograd (dawniej Krystynopol), położonej u ujścia Solokiji, Bug wkracza w kolejny region geograficzny — lessową Wyżynę Wołyńską. Dolina, którą płynie rzeka ku północy, zwęża się gwałtownie do 1–2 km, a ponad jej dnem wznoszą się strome zbocza



o wysokości dochodzącej do 20 m. Stąd w dawnych wiekach Bug był już rzeką żeglowną, a królowie polscy wydawali surowe przepisy mające zapewnić wolny przepływ licznym galarom i tratwom po tej ważnej dla Rzeczypospolitej drodze wodnej.

A dzisiejsza rzeczywistość? Od Czerwonogrodu aż po Włodzimierz Wołyński wzdłuż Bugu rozciąga się Wołyńsko-Sokalskie Zagłębie Węglowe. Kopalnie i towarzyszące im hałdy zupełnie zmieniły pierwotne cechy krajobrazu tej nadbużańskiej krainy, a do Bugu odprowadzane są kanałami ścieki z kopalń, licznych fabryk i miast. Tu słowo industrializacja kojarzy się nierozdzielnie ze słowem degradacja środowiska. Gospodarzy radzieckiego zagłębia węglowego czeka ogromna praca nad przywróceniem środowisku jego naturalnych walorów.

Od Hołubia do Niemirowa, na odcinku 363 km, Bug jest rzeką graniczną między Polską a ZSRR. W miejscowości Matcze opuszcza obszar wyżyn lessowych, przecinając w swej dalszej drodze ku Wiśle Polesie Zachodnie. Od Brześcia dolina Bugu zmienia kierunek na północno-zachodni, zbierając wody z Podlasia i wschodniej części Niziny Mazowieckiej.

Koryto Bugu wije się potężnymi pętlami meandrów na rozległej równi zalewowej, odcina niektóre z nich w czasie gwałtownych powodzi, pozostawiając uroczyska „bużyska”. To przepiękny przykład naturalnej, meandrującej rzeki, opisywanej w wielu podręcznikach geologii i geografii. Wiele tu odcinków niezwykle malowniczych, o wielkich walorach rekreacyjno-turystycznych, a do niewątpliwie najpiękniejszych należą odcinki doliny w okolicach Nepli u ujścia Krzny, Janowa Podlaskiego, Serpelic, Mielnika czy Drohiczyzna.

Dolina Bugu zasługuje na specjalną ochronę krajobrazową. Wstępne kroki zmierzające ku temu zostały już zrobione, konieczna jest jednak bardzo ścisła współpraca ze stroną ukraińską i białoruską. Bug jest naszym wspólnym dobrem, wspólne działania musimy podjąć, by zachować jego walory.

Nasza wędrówka od źródeł Bugu do ujścia pozwoliła na bardzo pobieżne zarysowanie zmian w charakterze doliny, zależnych od cech krajobrazu krain, przez które rzeka przepływa. Żeby zrozumieć działalność rzeki, pracę jaką ona wykonuje, krajobraz jaki tworzy, trzeba poznać ewolucję jej dorzecza — całego obszaru, z którego zbiera wody — jego historię geologiczną, ale także cechy klimatu, naturalne cechy szaty roślinnej, jak również sposób użytkowania ziemi przez człowieka.

Jeden rzut oka na mapkę dorzecza Bugu wystarczy, by zauważyć, że jego kształt jest bardzo dziwny. Składa się ono z dwu części, oddzielonych od siebie wyraźnym zwężeniem między Dorohuskim a Wołą Uhruską. W części górnej szerokość dorzecza waha się od 60 do 100 km, w części dolnej od 100 do 120 km, a 40-km. długości odcinek dzielący ma szerokość zaledwie 30-40 km. Zupełnie inny jest też układ sieci dolinnej dopływów Bugu w obydwu częściach.

Zachodzi — uzasadnione wynikami badań geologicznych — podejrzenie, że mamy tu do czynienia z dwoma systemami rzecznych, połączonymi niezbyt dawno (w sensie czasu geologicznego mierzonego setkami tysięcy i milionami lat). Górna część dorzecza ukształtowana została w wyniku ewolucji, której czas trwania oceniamy na kilka milionów lat. Jeszcze około 500 000 lat temu wchodziła ona w skład zlewni Morza Czarnego i była wówczas częścią dorzecza Dniestru. Do dziś w krajobrazie Pobuża i Polesia dobrze czytelne są ślady dolin, którymi wody ze wschodnich stoków Rostocza Południowego i północnej krawędzi Podola odpływały ku wschodowi. Obecnie przecina je europejski dział wodny, ograniczający od wschodu dorzecze Bugu począwszy od Lwowa.

Za główną przyczynę tak wielkich zmian hydrograficznych uznajemy nierównomierne wielkoskalowe ruchy tektoniczne, jakie zachodziły w tej części Europy właśnie około 500 000 lat temu. Trzeba tu podkreślić, że przez tę część dorzecza Bugu przebiega ważna linia tektoniczna, oddzielająca Europę Wschodnią o budowie płytowo-blokowej od Europy Zachodniej o budowie fałdowo-blokowej.

Część dolna dorzecza Bugu ukształtowana została po ustąpieniu lądolodu, który pokrywał te tereny po raz ostatni jeszcze około 170 000 lat temu, w okresie, który nazywamy zlodowaceniem Warty. Ta część dorzecza też nie jest jednorodna. W okresie wycofywania się lądolodu, jego wody roztopowe odpływały przez doliny Krzny i Muchawca do dorzecza Prypeci i dalej na południe ku Morzu Czarnemu. Drogę odpływu wód glacialnych ku wschodowi wykorzystano jeszcze w XIX wieku dla budowy systemu kanałów łączących dorzecze Bugu poprzez Prypeć z Dniestrem.

Miejsca, gdzie poszczególne składowe dzisiejszego systemu fluwialnego Bugu łączyły się ze sobą są dobrze czytelne w krajobrazie doliny do dziś. To bardzo charakterystyczne, malownicze odcinki przełomów — zwężenie doliny w okolicach: Sokala, Uściługa, Uhruska, Janowa Podlaskiego i Mielnika. Możemy więc powiedzieć, że dorzecze Bugu w dzisiejszym swoim kształcie powstało zaledwie około 170 000 lat temu.

Cechy hydrologiczne Bugu

Żeby uzyskać w miarę pełny obraz rzeki, musimy też poznać jej cechy hydrologiczne. Średnie przepływy wody dla całego Bugu wynoszą około 150 m³/sek., we Włodawie 55 m³/sek., a w Strzyżowie 38 m³/sek. Ale Bug charakteryzuje się bardzo dużą nieregularnością przepływów w stosunku rocznym, zadziwia też szybkością narastania fal powodziowych. Dla przykładu: w roku 1989 w Strzyżowie najniższy przepływ zanotowano 3 grudnia (zaledwie 19 m³/sek.), przepływ największy osiągnął wartość 71 m³/sek. (3 stycznia). Szczególnie dużą nieregularnością wyróżnia się Bug środkowy (od Sokala po Brześć), gdzie stosunek przepływów średnich rocznych ekstremalnych dochodzi do 60. Oznacza to, że w czasie ekstremalnej powodzi może płynąć Bugiem 60 razy więcej wody niż w czasie ekstremalnej posuszy. Liczne zwężenia doliny, mały spadek koryta i tendencja do meandrowania powodują, że bardzo często w okresie wiosennego spływu lodów występują (zwłaszcza na Bugu środkowym) powodzie zatorowe. Wówczas z kry lodowej i śryzu tworzy się tama, powyżej której poziom wody podnosi się bardzo szybko nawet o kilka metrów. Jeżeli będziemy rozpatrywali tylko średnie miesięczne przepływy, to i tak uzyskamy dla wieloletniego okresu bardzo wysoki wskaźnik nieregularności dochodzący do 5,5. Jest to wynikiem nałożenia się na siebie cech związanych z klimatem, zbliżonym do kontynentalnego, i znacznego wylesienia obszaru (zwłaszcza w jego dolnym i środkowym odcinku).

Zanieczyszczenie wód

Bug jest rzeką graniczną, wobec tego kontrola stanu czystości rzeki musi się opierać na odpowiednich porozumieniach międzyrządowych między Polską a ZSRR. Takie porozumienie zawarte zostało jeszcze w roku 1964. Od tego czasu corocznie odbywają się rokowania, mające na celu wymianę wyników badań, dokonywanie uzgodnień metodyki i terminów pomiarów. Oceny jakości wód wykonuje się zgodnie z jednolitymi kryteriami, opracowanymi w roku 1982 przez nie istniejącą już komisję RWPG.

Do Bugu z terenu ZSRR odprowadza się prawie 40 milionów m³ ścieków rocznie. W większości są to ścieki niedostatecznie oczyszczone, w związku z niską sprawnością oczyszczalni i ich przeciążeniem. Szczególnie groźne dla Bugu ścieki pochodzą z Nowożyńskiego Okręgu Węglowego. Zanieczyszczeń dostarcza też strona polska. Szczególnie duże ilości ścieków odprowadzają do Bugu jego dopływy: Huczwa w woj. zamojskim, Uherka w woj. chełmskim oraz Krzna z woj. białopodlaskiego. Łącznie w roku 1989 z terenu woj. zamojskiego odprowadzono do Bugu 6,5 miliona m³, a z woj. chełmskiego 2,5 miliona m³. W rezultacie Bug prowadzi wody najczęściej III klasy czystości, rzadziej II klasy, a sporadycznie, na krótkich odcinkach, mogą występować sezonowo nawet wody pozaklasowe (zwłaszcza, jeżeli będziemy brali pod uwagę wskaźnik zanieczyszczeń bakterio-logicznych zwany Mianem Coli).

Trzeba też podkreślić, że obserwuje się powolną poprawę jakości wód Bugu, szczególnie w zestawieniu z danymi z lat 70. Pozwala to, przy rosnącej presji społecznej na działania na rzecz ochrony środowiska, mieć nadzieję, że doczekamy się chwili, kiedy ta piękna rzeka będzie znów czystą, a współpraca przygraniczna pozwoli na jej szerokie wykorzystywanie dla celów turystycznych i rekreacyjnych.

Krystyna Harasimiuk, Marian Harasimiuk

Zamieszczono w tekście fot. rozlewisk Bugu w okolicach Dorohuska wykonał Karol Dromlewski. Tematyka bużańska będzie kontynuowana w następnym n-rze „Kamień”.

(red.)

Dwie Uherki

W Chełmie są dwie Uherki. Jedna, która żyje w świadomości mieszkańców miasta, ich wspomnieniach, w literaturze, i druga, o której trudno nawet powiedzieć „rzeka”.

Mała rzeczka o długości niewiele ponad 40 kilometrów, którą w licznych miejscach można bez wysiłku przeskoczyć, urosła do rangi symbolu. Stała się nieodzownym elementem opisów miasta. Starsi mieszkańcy Chełma wspominają czystą, niemal źródlaną rzekę. Jej wody zasilają niegdyś staw miejski, rozlewiska tworzyły bagna. Wiosną Uherka wylewała, a woda podchodziła podobno aż do obecnego budynku liceum ekonomicznego. Ja pamiętam Uherkę już zmeliorowaną. Najwspanialej było wiosną i latem. Kiedy przychodziła słoneczna niedziela, na łąki nad Uherką wybierały się całe rodziny. Zabierano koce, kanapki, plażowe stroje i piłki, radia, psy... Od rana do zmierzchu trwał piknik. Wzbraniałam się przed wchodzeniem do wody z powodu... raków. Taka jest moja Uherka — wesoła i trochę niebezpieczna.

Brzegi rzeki były też jedną z najczęstszych tras spacerów zakochanych. Wiosną nad Uherką można było oglądać sceny niczym z *Nocy i dni*. No, może niezupełnie, bo zamiast nenufarów, chłopcy brodzili w wodzie, aby zerwać dla swych wybranek... kaczeńce. A tam gdzie zakochani, krążą zwykle i poeci. Uherka w ich wierszach jest rzeką serdeczną, błękitną, piękną, rzeką dzieciństwa, najwspanialszych wspomnień. Ten strumień przyrównywany był do Bugu, do Wisły.

Uherko!
Uherko piękna
błękitna jak Wisła w Kazimierzu
pełna rybich łusek i rechotu żab
[...]
wodo
wodo źródłana

(K. E. Steszuk, „Uherka”, ze zbioru „Schody gwiazd”, 1969)

Bywała też rzeką wolności:

za nami
płynęły
JUŻ
Bug i Uherka Wolności
[...]

(Z. W. Okoń, „Poemat o Chełmie roku czterdziestego czwartego”, ze zbioru „Niecierpliwość drzewa”, 1979)

Nawet, za przeproszeniem, w byle przewodniku, o Chełmie nie przeczytamy inaczej, jak: „miasto nad Uherką”, „gród nad Uherką”, „w dolinie Uherki”.

Rzeka jest symbolem niezwykle zakorzenionym w ludzkiej świadomości. To odpowiednik życia, rozwoju, ale



Teresa Murak podczas akcji ekologicznej w chełmskiej „Galerii 72”, 1989

także upływu czasu. W najróżniejszych połączeniach funkcjonuje w literaturze — rzeka kłamstwa, wierna rzeka, rzeka zapomnienia. Może właśnie dzięki temu Uherka — niewielka rzeka o, powiedzmy, przeciętnych walorach krajobrazowych stała się tak żywym elementem wspomnień i opisów.

Przez Chełm przepływa jednak inna Uherka. Rzeczywista. Jej wody tylko w niewielkim odcinku źródłowym zaliczono do III klasy czystości, reszta „wykazuje praktycznie właściwości ścieku”. Największym trucieliem Uherki jest Chełm — jedyne miasto na jej trasie. W mieście właśnie odnotowano gwałtowne pogorszenie jakości wody. Za miastem nazywanie Uherki rzeką jest już szyderstwem. Uherkę zasilają wprawdzie czystsze Garka, Lepietucha i Gdolanica, ale nie ma to większego wpływu na poprawę stanu czystości wody. A w samym Chełmie wzniesiono miejską oczyszczalnię ścieków. Po to chyba tylko, aby rzekę dobić: „Zaznaczył się tu wyraźnie wpływ zanieczyszczeń z miasta, a w szczególności doprowadzonych ścieków nieodpowiednio oczyszczonych z miejskiej oczyszczalni”. (!) Tu nie ma już roślin ani ryb, w dokumentach zaś stwierdza się rzeczowo: „brak wyższych form życia roślinnego i zwierzęcego”. Specyficzny zapach rzeki to skutek „ostrego deficytu tlenowego”, który powoduje „rozwój procesów gnilnych”. Rzeka niesie nie wodę źródlaną, ale „zawiesinę ogólną”. Ściek.

Zderzenie w tym wypadku wspomnień, wyobrażeń z faktami jest szokujące. Nastraja, miejmy nadzieję, nie tylko do refleksji.

Anna Kasica

W językowych nurtach Bugu, Uherki i Włodawki

Notatnik słowiański

Gwary nad Bugiem

Nazwy największych rzek stanowią tzw. archetypy językowe, tzn. nie posiadają jasnej, przejrzystej etymologii i budowy, nie kojarzą się nam dzisiaj z żadnymi znanymi, literackimi bądź gwarowymi, wyrazami polskimi. Nazwy te są przeważnie bardzo stare, wiążą się z rolą wód w życiu naszych dalekich przodków. Znaczenie rzek dla dawnego osadnictwa było ogromne i pierwszorzędne. Rzeki dawały przede wszystkim ludziom niezbędną do życia wodę pitną, do nich (do wodopoju) przychodziły zwierzęta i łatwiej można było tam je upolować, w rzekach żyły ryby, w ich pobliżu rosła bujna roślinność i uprawiano pola. Rzeki stanowiły także łatwy i dogodny środek transportu i komunikacji, tworzyły też naturalne warunki obronne. Z tych względów dawne osiedla lokowały się najczęściej wzdłuż traktów wodnych. Nazwy rzek tworzyły ludy, które już dawno wymarły lub przeniosły się na inne tereny.

Stare nazwy rzek bazują często na rdzeniach indoeuropejskich, pochodzących z czasów, gdy dzisiejsze narody indoeuropejskie (słowiańskie, bałtyckie, germańskie, romańskie, celtyckie, greckie, ormiańskie i inne) stanowiły jeszcze względnie zwarte plemię, tj. z czasów sprzed 3000 lat p.n.e. Owe pierwiastki wyrazowe posiadały zazwyczaj dwa podstawowe znaczenia: 1) „wilgoć, woda”, np. nazwa Wisła wiąże się z elementem *weis-* „moczyć się, rozlewać się”; 2) „kręcić się, wić się, zginać się” i do tej grupy należy właśnie nazwa Bug, łączona z praindoeuropejskim elementem *bheug-* „kręty, wyginający się, tworzący zakręty i łuki”. W dokumentach historycznych występuje ona od XI wieku, głównie w kronikach ruskich.

Mało kto sobie uświadamia, jak bogate jest dorzecze Bugu, w którego obrębie znajduje się aż 1967 wód: 1034 rzek i potoków, 879 jezior i 54 kanałów. Bug ma 124 bezpośrednie dopływy, do bardziej znanych należą: Pełtew, Uherka, Włodawka, Muchawiec, Krzna, Nurzec, Brok, Liwiec, Supraśl i Wkra. Od nazwy rzecznej Bug pochodzi kilka innych nazw geograficznych: nazwa rzeczna *Bużek* „mały Bug”, nazwy miejscowości: *Busk* pierwotnie Bużsk „miejscowość leżąca nad Bugiem” oraz *Pobużany* „pierwotnie mieszkańcy terenu leżącego po Bugu tj. wzdłuż Bugu, potem nazwa zamieszkałej przez nich osady”, a także nazwa regionu *Pobuże* „rejon ciągnący się po Bugu, tj. wzdłuż Bugu” (por. podobne nazwy: Pomorze, Podole, Polesie, Pogórze, Pojezierze).

Uherka i Włodawka, znajdujące się na obszarze województwa chełmskiego, należą do młodszej formacji nazw rzecznych, tworzonych od XV wieku przy pomocy przyrostka *-ka*, dodawanego do nazwy miejscowości, obok której dana rzeczka przepływa, np. Czechówka i Czerniejówka koło Lublina czy Radomka (od nazw osiedli: Czechów, Czerniejów, Radom). Tak więc nazwa Uherka pochodzi od nazwy wsi *Uher* (ta z kolei wiąże się z ukraińskim *uhor* równym polskiemu *Węgier*), a nazwa Włodawka od nazwy osady *Włodawa*; ta ostatnia z kolei oznacza tzw. nazwę dzierżawczą, tj. utworzoną od imienia pierwszego właściciela (imienia skróconego Włod, od pełnego dwuczłonowego Włodzimierz, Włodzisław) przy pomocy przyrostka *-awa*; w źródłach ukraińskich pisana ona była jako *Wolodawa*.

Obszar Pobuża to dawne tereny pograniczne pomiędzy plemionami zachodniosłowiańskimi (Mazowszanami i Wiślanami), wschodniosłowiańskimi (Dregowiczami i Bużanami) oraz od północy — bałtyckimi (Jaćwiegami, Prusami i Litwinami). Po wyginięciu Jaćwiegów i Prusów elementy bałtyckie ograniczyły się do gwar litewskich w północno-wschodniej Białostocczyźnie, nie sięgających zatem do Bugu. Natomiast całe Pobuże było areną ciągłej rywalizacji między etnicznie żywiołem zachodnio- i wschodniosłowiańskim. Już od X wieku notuje się pierwszą falę masowej kolonizacji mazowieckiej na te tereny, trwającej niemal półtora stulecia. W połowie XI wieku zaczyna się kolonizacja i polityczna dominacja ruska, prawie całkowicie likwidująca osadnictwo mazowieckie. Od końca XIV wieku, kiedy to nastąpiło połączenie Polski i Litwy, aż do czasów współczesnych trwa na Pobużu wzajemna wielokierunkowa migracja ludności mazowieckiej i ruskiej. W wyniku tych wszystkich zjawisk gwary nadbużańskie stanowią urozmaiconą mozaikę, w której obrębie można wyróżnić pięć podstawowych grup.

Pierwsza grupa to stare rdzenne gwary mazowieckie, zaliczane do tzw. Mazowsza Blizszego, leżące blisko Wisły po obu stronach Bugu, od jego ujścia aż do okolic Nieporętu. Posiadają one wszystkie podstawowe cechy mazowieckie: *a* pochylone (np. ładno zamiast liter. ładna), mazurzenie (np. capka, secko zam. liter. czapka, szczeka), wymowa *y* jak *i* (np. riba zam. liter. ryba), szeroka wymowa *ę* bliska nosowemu *a*, wymowa typu *pehiwo*, *bhiwo* (zam. liter. piwo, biały), *tertak* (zam. liter. tartak), *redło*, *jepko* (zam. radło, jabłko), *nogamy* (zam. nogami), *stojala* (zam. stała) i wiele innych.

Grupa druga wiąże się z tzw. Mazowszem Dalszym, obejmuje całe południowe dorzecze Bugu od Nieporętu po Jabłonkę Łacką i odpowiadające mu dorzecze północne, ale bez odcinka Briańszczyk — Nur. Są to gwary mazowieckie, które znalazły się na terenach nowych, skolonizowanych, w codziennym kontakcie z językami bałtyckimi czy wschodniosłowiańskimi, zatraciły wiele swoich starych cech, takich jak np. *a* pochylone.

Trzecia grupa to gwary ciągnące się na północ od Bugu, na odcinku Briańszczyk — Nur, określane jako kurpiowskie, mające w zasadzie stare cechy mazowieckie. Kurpiowie, żyjąc w surowych warunkach puszczańskich i w pewnej izolacji, zachowali do dziś tradycyjne budownictwo, meblarstwo, taktwo, plecionkarstwo, zdobnictwo (słynne wycinanki) oraz folklor. Niektóre wsie kurpiowskie, np. Kadzidło w woj. ostrołęckim, są żywymi skansenami dawnej kultury ludowej.

Czwarta grupa gwarowa lokuje się na Podlasiu, w południowej części woj. białostockiego oraz w północnej części woj. białopodlaskiego, po rzekę Włodawkę, wokół takich miast, jak: Bielsk Podlaski, Hajnówka, Kleszczele, Siemiatycze, Konstantynów, Janów Podlaski, Parczew i Włodawa. Egzystują tu, przemieszane z sobą, gwary mazowieckie oraz ukraińskie, zaliczane do północno-ukraińskich albo podlaskich, bardzo archaicznych; zachowały one dotychczas jeszcze dawne dwugłoski, powstałe pod akcentem w sylabach zakończonych spółgłoską z danych samogłosek *o*, *e*, *ę* (jat'), np. *kueń*, *wuejt*, *piecz* (polskie: koń, wójt, piec). Rzecz jasna, na Podlasiu północnym spotyka się i gwary białoruskie, zaś na prawym brzegu Bugu, na terenie ZSRR, funkcjonują niemal wyłącznie gwary ukraińskie.

Osadni zespół dialektalny lokuje się na południe od Włodawki aż po źródła Bugu; na terenach polskich jest to historyczna Chełmszczyzna (główne miasta: Chełm, Hrubieszów, Horodło, Zamość, Biłgoraj, Tomaszów Lubelski). Występujące tu gwary ukraińskie dominują po radzieckiej stronie Bugu, natomiast po naszej stronie rzeki przeważają gwary polskie (mazowieckie bądź małopolskie).

Podlasie i Chełmszczyzna są terenami mocno urozmaiconymi pod względem gwarowym, sprawdza się tu doskonale stare powiedzenie ludowe: „Kaźda wieś, inna pieśń”. Istniejące obok siebie gwary polskie i ukraińskie (razdzielone białoruskie) przez dziesięciolecia i stulecia wzajemnie na siebie oddziaływały, tworząc różne wyspy i pasy przejściowe. W gwarach tych można też odnaleźć elementy litewskie i białoruskie (na północy), spotyka się też wsie tatarskie; ponieważ jeszcze w okresie międzywojennym handlem na tym terenie zajmowali się przede wszystkim Żydzi, w tutejszych gwarach spotkać można wiele wyrazów z jidysz, np. *aj waj* ‘wykrzyknik oznaczający przerażenie, zdziwienie’, *bachor* ‘lekceważąco o dziecku’, *git* ‘dobrze’, *mecyje* ‘coś nadzwyczajnego’, *pejsy* ‘długie bokobrody’, *sitwa* ‘szajka’, *skapcanieć* ‘zmarnieć’ itp. Z rzadka można też spotkać wyrazy rumuńskie, które przyniesli tu pastersze wołosy wraz z hodowlą bydła, np. *koszara* ‘zagroda dla bydła na polu’, *watra* ‘ognisko’.

Obszar Pobuża stanowi, co raz jeszcze należy podkreślić, wyjątkowo urozmaiconą mozaikę kulturową, etniczną i językową, niezwykle interesującą dla językoznawców i etnografów. Od sześciu lat Instytut Filologii Rosyjskiej i Słowiańskiej UMCS w Lublinie oraz Instytut Słowianoznawstwa PAN w Warszawie zbierają materiały do Atlasu wschodniosłowiańskich gwar Pobuża, zaawansowane też są indywidualne badania wielu naukowców lubelskich nad tym terenem.

Mieczysław Buczyński

Mieczysław Buczyński

Rzeka Bug

*Stanąłem nad Bugiem
rzeką wielką i bystrą—
nad historią jej życia
zadumałem się bardzo...*

*Wsluchałem się w szum rzeki
w jej muzykę i pieśni
radość w sobie poczułem
jakieś ciepło w mej piersi...*

*O, rzeko, polska rzeko —
tyś granicą przyjaźni
lecz czy duch się twój wzbudzi
z tej katyńskiej kaźni?...*

*Czy wyśpiewasz żalne rekwije
czy się krwią nie zboczysz
rzeko, polska rzeko —
łzami fal płaczesz i płaczesz...*

7 lipca 1984

Uwiązał ojca do pala

Beata Tworek

W literaturze polskiej można znaleźć motyw wypędzania ludzi starych z domu po przekazaniu ziemi i zabudowań dzieciom lub innym osobom. Jako egzemplifikację mogą służyć postacie Jagustyńki z *Chłopów* W. Reymonta i Hurkały z *Orki na ugorze* J. Wiktora, którego bohater wypowiedział gorzkie słowa: „Trza się wezwyczać po przoszonemu iść, tak musi być. Wola Boża. Mój ojciec tak samo ode mnie, ja tak samo od rodzonego dziecka, ona będzie tak samo. Czym obdarzyłem, tym mi oddają. Sprawiedliwość musi być na świecie”. Powieść *Chłopi* została napisana w latach 1904–1909, a *Orka na ugorze* w 1935 r., ale i obecnie przypadki podobnego traktowania ludzi starych na wsi nie należą do odosobnionych.

Potwierdza to np. sytuacja we wsi Wiski, położonej w gminie Tucznia w województwie białkopodlaskim. Leży ona na uboczu głównych szlaków komunikacyjnych, wśród lasów sosnowych, około 15 km od Bugu. Jak Huszcza i Tucznia, i ona była dawniej zaściankiem szlacheckim. Charakterystyczne jest to, że nazwiska wielu mieszkańców tych okolic kończą się na -ski, -cki, np. Kurowski, Zakrzewski, Czarnecki, Bujalski czy Telicki. Otaczające je wioski skupiały w większości ludność pochodzenia ukraińskiego. Obecnie nastąpiło wymieszanie ludności. Wieś jest zelektryfikowana, ale telefon ma tylko sołtys. Około 1980 roku zalano asfaltem dotychczasowy, typowo wiejski gościniec, dzięki czemu dwa razy dziennie kursują tu autobusy PKS, zapewniając wsi lepsze połączenie z innymi miejscowościami. Z instytucji usługowych można wymienić tylko sklep spożywczy, często zamykany z powodu braku personelu. Znajdują się tu niszczące budynki po byłej czteroklasowej szkole i Kółku Rolniczym. Poczta, kościół i ośrodek zdrowia są w innej wsi, Huszczy, odległej o 3 km. Obecnie Wiski zamieszkuje niecałe 300 osób, podczas gdy stosunkowo niedawno, bo w latach siedemdziesiątych było tam ponad 500 mieszkańców!

Swoje badania nad losem ludzi starych w tej wsi prowadziłam metodą obserwacji pośredniej i częściowo wywiadu nieskategoryzowanego, w lipcu 1989 r. Główna hipoteza badania była następująca: ludzie starzy na wsi są gorzej traktowani przez członków rodziny niż w mieście.

Badaniem objęłam 30 osób w wieku 70–85 lat, w tym 12 kobiet i 18 mężczyzn. Połowa badanych, tj. 15 osób (5 kobiet i 10 mężczyzn), miała dobre warunki do życia u dzieci. Tymi słowami określano: zapewnienie jedzenia, mieszkania i traktowanie dobre, lecz bez czułości i zbytnej opiekuńczości. Tylko jeden mężczyzna był w starszym wieku leczony farmakologicznie i przebywał czasowo w szpitalu. Pozostali nie byli leczeni przez lekarzy; czasem rodzina stosowała ziołolecznictwo. W przypadku zaslągnięcia człowieka „na powietrzu”, wciągano go do domu i tam pozostawiano bez pomocy medycznej. Często notowałam przekonanie wielu osób w podeszłym wieku, że w szpitalu „wykańczają starych” i stąd obawa tych ludzi przed takim miejscem. Nie jest to przecież jedyny powód zaniechania leczenia. Panuje ogólne przekonanie, że nie warto starych osób leczyć, bo „szkoda czasu i zachodu”.

Pozostałe 15 osób, tzn. 7 kobiet i 8 mężczyzn, żyło w warunkach uwłaczających ludzkiej godności lub było źle traktowanych przez rodzinę. Należy podkreślić, że nikogo z potencjalnych pensjonariuszy nie umieszczono w Domu Opieki Społecznej.

Ludzie starzy mieszkali w większości razem ze swymi rodzinami. Wiąże się to z faktem, że starsi rolnicy pozostają w gospodarstwie także wtedy, gdy przestają w nim pracować, bo jest ono nadal ich źródłem utrzymania i domem. Najczęściej takie wielopokoleniowe rodziny żyły w budynkach drewnianych, składających się z kuchni, pokoju i spiżarni. Tylko w jednym domu był specjalny mały pokój dla „dziadków”. W pozostałych ludzie starsi mieszkali razem z dziećmi i wnukami w jednym pokoju. Dwóch mężczyzn spało na słomie — jeden w domu, drugi w stodole. Jedna kobieta mieszkała w komórcie przy chlewie, bo nie mogła „dogadać się” z córką. Inna kobieta wegetowała

w starym drewnianym domu, choć obok stały murowane zabudowania, w których mieszkała córka ze swoją rodziną.

Zazwyczaj ludzie starzy jedli to, co pozostali członkowie rodziny, nie wyłączając tłustego mięsa. Nikt nie gotował dla nich czegoś innego ze względu na wiek. Zwracał przy tym uwagę brak surówek w pożywieniu. Poza tym stwierdziłam trzy przypadki głodzenia starych matek przez dzieci. Jedna z nich chodziła do sąsiadów prosząc o jedzenie. Druga, jako jedyna we wsi, upomniała się sądownie o należne jej prawa, lecz dzieci i tak nie zamierzały się nią zajmować — więc czasami chodziła „po prośbie”. Trzeciej wnuki przynosiły wprawdzie pożywienie, ale zostawiały je pod drzwiami domu. Kobieta ta zamykała drzwi wejściowe ze strachu i często nie słyszała pukania. Zdarzało się więc, że po otwarciu drzwi zastała puste garnki, gdyż jej posiłek został zjedzony przez psy i kury. Spełniły się tu słowa Hurkały o „sprawiedliwości”, albowiem owa kobieta morzyła niegdyś głodem swoją matkę.

Ludzie starsi myli się niezwykle rzadko. Ci, którzy mogli chodzić, obawiali się przeziębienia, zaś skazani na leżenie nie byli należycie myci przez rodzinę. Dokładnie kąpała się parę razy w roku, przeważnie z okazji świąt. Czystość ubrań i pościeli także budziła wiele zastrzeżeń. Jeden mężczyzna mieszkał sam, w okropnym brudzie, natomiast inny, załatwiający się pod siebie, został „dla higieny” wsadzony do balii i obłany zimną wodą.

Silna dążność do posiadania ziemi i trzymania jej wszelkimi siłami, często wbrew kalkulacji, uświadocniła się także wśród starszych mieszkańców tej wsi. Dwaj mężczyźni nie chcieli oddać ziemi państwu, ani przepisać jej dzieciom. Potwierdza to opinię B. Synaka, iż ziemia dla chłopów jest „nie tylko źródłem dochodu i zabezpieczenia życiowego, wartością ekonomiczną, ale również elementem kultury chłopskiej, wartością kulturową o silnym zabarwieniu psychicznym, wyznaczając w dużej mierze pozycję społeczną w lokalnym środowisku”.

Wszystkie badane starsze kobiety i większość mężczyzn otrzymywała rentę rolniczą i nie narzekała na niedostatek pieniędzy. Czasami nawet ludzie ci dawali trochę pieniędzy dzieciom i wnukom. Zdarzyły się jednak dwa przypadki okradzenia wiekowych rodziców przez potomstwo. Pewnemu mężczyźnie syn zabrał wszystkie oszczędności i na domiar złego przyczepił go do pala łańcuchem, bo synowa oskarżyła teścia o ojcostwo swojego dziecka poczętego w czasie nieobecności męża.

Najwięcej moralnego sprzeciwu budzi traktowanie ludzi starych przez otoczenie. „Starsi ludzie, a zwłaszcza mężczyźni, wiążą z pracą swoją pozycję społeczną” i wartość. Ciężko więc przeżywają utratę sił, zdrowia, co czyni ich niezdolnymi do wykonywania dotychczasowych zajęć. Tymczasem rodzina lub obcy ludzie dają nierzadko odczuć staruszkom, że są oni bezwartościowi i niepotrzebni, że właściwie są nikim.

Cierpiący na duszności i słabo widzący mężczyźni, często bity i popychani przez syna, codziennie siedział pod krzyżem, błagając o rychłą śmierć. Innego mężczyznę, uważanego za niedorozwiniętego, wypędzano czasami z domu, skazując na nocowanie w polu. Można też było zaobserwować taki „obrazek”: syn jedzie na wozie, a ojciec idzie przy wozie. Jedna z kobiet była bity i poniewierana przez synową, a w końcu wypędzona przez nią z własnego gospodarstwa. Jeszcze inna kobieta spadała z łóżka na podłogę z powodu zaawansowanej sklerozy, doznając dotkliwych obrażeń. Rodzina zdawała sobie sprawę z tego niebezpieczeństwa, lecz idąc w pole pozostawiała ją bez opieki.

Kilku staruszków wręcz obawiało się wyjść z domu, gdyż napotkali ludzie mówili im wprost, że źle wyglądają, są bladzi i na pewno śmierć się do nich zbliża, albo nawet: „po co taki żyje”.

Hipoteza moich badań w Wiskach potwierdziła się. Niestety, dokładniej i mocniej, niż można było przypuszczać.

Z dziejów Grabowca

Lektura prac historyków-amatorów, przeważnie regionalistów, budzi uczucia ambiwalentne. Z jednej strony szacunek dla ogromnego, wieloletniego trudu w zbieraniu rozproszonych materiałów źródłowych, świadomość, że historyk-profesjonalista takiej pracy by nie wykonał, z drugiej — żal, a czasem irytacja, że ten ogromny materiał, zaprezentowany w pracy, pozostaje „martwy”, bowiem autor nie potrafił postawić sobie i źródłom podstawowych pytań i prezentuje zebrane informacje, różnej zresztą wartości, „jak leci”, nie zawsze przestrzegając nawet chronologicznego porządku. Relacja między źródłami a autorem przypomina stosunek między ognistym rumakiem a niewprawnym jeźdźcą — wierzchowiec nosi autora, gdzie chce i nawet jeśli w końcu obaj dotrą do wytyczonego celu, to drogą długą, zawiłą, męczącą i znaczącą wieloma kraksami. Czytelnik, podążający tą drogą, daremnie będzie sobie zadawał pytanie, dlaczego autor w tym właśnie miejscu stanął i poświęcił mu swą cenną uwagę, a inne, nie mniej ważne i atrakcyjne, starannie ominął.

Te ogólne uwagi odnoszą się niestety w całości do książki (zwanej przez autora monografią) Wacława Jaroszyńskiego „Siedem wieków Grabowca”. Autor, wychowanek Gimnazjum im. Stefana Czarnieckiego w Chełmie i absolwent Wydziału Prawa Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, jest zasłużonym działaczem Towarzystwa Regionalnego Hrubieszowskiego i niewątpliwie najlepszym znawcą tematu. Tylko że temat to, jak chyba wszystko na tym terenie, barwny, pasjonujący i trudny.

Położona na terenie Grodów Czerwieńskich miejscowość (gród-zamek i miasto-osada), wymieniona po raz pierwszy w ruskim „Latopisie Hipackim” w roku 1268, miała okresy świetności i upadku. Była stolicą powiatu, przeżywała okresy zniszczeń i wyludnienia, aby w XIX

w. stracić swój miejski charakter i stać się osadą — ośrodkiem o randze centrum zaledwie gminy. Ale nawet w tym okresie, aż po lata ostatniej wojny, zamieszkiwała ją ludność czterech wyznań (katolicy obrządku łacińskiego, grekokatolicy, prawosławni i Żydzi), posługująca się trzema językami. Ta różnorodność stanowiła bogactwo Grabowca, ale też stwarzała różnorodne problemy, niejednokrotnie prowadziła do ostrych, tragicznych konfliktów. Autor sygnalizuje niektóre z nich, o innych mówi mimochodem, przy okazji omawiania innych spraw, wiele wreszcie przemilcza zupełnie. Aby nie być gołosłownym: w okresie dwudziestolecia międzywojennego „nie ma” wyborów, życia politycznego ludności ukraińskiej, danych o strukturze narodowościowej i wyznaniowej społeczności gminy i osady...

Wydawnictwo Lubelskie zatroszczyło się o dobry papier, staranny druk i efektowną okładkę. Niestety, zabrakło już sił na korektę, w związku z czym jest w pracy trochę błędów. Niektóre z nich dają niezamierzony efekt komiczny: kiedy na stronie 14 czytamy, że utalentowani rzemieślnicy grabowieccy wytwarzali „sól i piwo”, na s. 16 „ważyli” piwo, a w podpisie pod zdjęciem 97 Genowefa Stolarska, znakomita pisankarka, została przemianowana na piosenkarke.

Łatwiej jest krytykować i wybrzydzać niż pisać samemu — i to również należy mieć na względzie przy czytaniu tych uwag. Przy wszystkich brakach i niedoskonałościach praca Wacława Jaroszyńskiego ma charakter pionierski, toruje drogę dalszym, bardziej fachowym i pogłębianym badaniom i zasługuje na życzliwe zainteresowanie.

Jan Lewandowski

Wacław Jaroszyński, *Siedem wieków Grabowca*, Wyd. Lub., Lublin 1991, n. 1000 egz., s. 259, aneks, bibliografia, spis ilustracji i indeks osobowy.



W obronie AK na Wileńszczyźnie

Są książki, które nigdy nie powinny powstać. Śmiało można do nich zaliczyć wydaną w Lublinie pracę Romana Korab-Żebryka¹. Jednocześnie należy stwierdzić z całym naciskiem, że książka ta musiała być napisana. Dotyka ona problemów szczególnie trudnych i bolesnych — antyakowskiej i antypolskiej kampanii prowadzonej w ostatnich latach na Litwie i stosunków polsko-litewskich w czasie II wojny światowej.

Roman Korab-Żebryk zebrał najczęściej kierowane pod adresem AK zarzuty i przedstawił polski, akowski punkt widzenia. *Biała Księga* stanowi akt oskarżenia przeciwko tym Litwinom, którzy w ramach licznych formacji kolaborujących z Niemcami dopuszczali się zbrodni na Polakach i Żydach. Rozdziały omawiające strukturę i zakres działania Sagumy — litewskiej tajnej policji politycznej, działalność Ypatingas Burys (tzw. strzelców ponarskich, będących w gruncie rzeczy oddziałami egzekucyjnymi) oraz Apasaugos Batalionai (batalionów ochronnych) uzupełniają wstrząsające relacje dotyczące popełnianych przez te grupy mordów na Polakach.

Z zagadnieniami tego rodzaju, nazwijmy je martyrologicznymi, wiąże się wezwanie do Litwinów, by dokonali rozliczenia z przeszłością. Współpraca z Niemcami hitlerowskimi (z jakichkolwiek pobudek by ona wypływała) wymaga wyjaśnień, zaś współudział formacji litewskich w zbrodniach na Polakach i Żydach woła o ekspiację za przelaną krew.

Drugą warstwę *Białej Księgi* stanowi omówienie współczesnej publicystyki litewskiej. Autor zarzuca Litwinom niechęć do potępienia zbrodni z okresu wojny i eksploatację wątku martyrologicznego, związanego z rzekomym prześladowaniem ludności litewskiej przez AK. Łączy się to z publicystyką dotyczącą już współczesności, z publicystyką (zwłaszcza pochodzącą z kręgów Sajudisu) żądającą przeciwstawienia się akcji „polonizowania południowo-wschodniej Litwy”.

Zakładając, że na tematy współczesne, zwłaszcza zaś na tematy konfliktowe, zabiera głos każdy, kto potrafi utrzymać pióro w ręku, najbardziej istotne wydają się rozważania na temat publikacji stricte historycznych. Jednym z autorów z którymi polemizuje p. Korab-Żebryk, jest Arunas Bubnys, który według autora *Białej Księgi* „Formuluje sądy nieprzemyślane i do tego skrajnie stronnicze, wiele zmyśla, opiera się na źródłach, które nie zasługują na zaufanie”.

Autor napisał we wstępie, że „*Biała Księga* jest opracowaniem przeznaczonym przede wszystkim dla młodzieży litewskiej, która w ostatnich latach wiele słyszy o Armii Krajowej, nie zna jednak prawdy o niej, gdyż jest pozbawiona dostępu do obiektywnych, rzetelnych źródeł historycznych”.

Roman Korab-Żebryk, uczestnik wielu opisywanych przez siebie wydarzeń, z autopsji znający stosunki polsko-litewskie w czasie wojny, nie jest niestety dla ewentualnego litewskiego czytelnika źródłem obiektywnym, podobnie jak Arunas Bubnys nie zasługuje na całkowite zaufanie czytelnika polskiego.

Wszelkie konflikty na tle narodowościowym są niezwykle trudnym materiałem dla historyka. Skoro nie tylko publicystykę, ale i prace naukowe dotyczące tych tematów cechuje skrajna emocjonalność, niechęć do przedstawiania racji strony przeciwnej — trudno mówić o rzetelnej polemice naukowej. Licznych tego przykładów dostarcza tematyka polsko-żydowska, polsko-ukraińska, polsko-niemiecka.

W *Białej Księdze* znajdujemy jednak akcent bardzo optymistyczny. W lipcu 1990 czasopismo *Swyturys* opublikowało artykuł Romana Korab-Żebryka *Murine Asmenka*, a niecałe pół roku potem replikę autorstwa Arunasa Bubnysa. Obaj autorzy dyskutowali też sporne problemy osobiście. Rezultat był zaskakujący. Miejsce inwektyw zajęła rzeczowa dyskusja. Fakty podawane przez stronę przeciwną są dyskutowane, analizowane, a nie odrzucane z miejsca jako nierzetelne i nieprawdziwe. Autorzy nie odwołują się do emocji, lecz do źródeł archiwalnych, dokonując wspólnie ich krytyki.

Jak się wydaje, właśnie pozbawiona wzajemnej nienawiści, wzajemnych (uzasadnionych lub nie) pretensji, wspólna praca historyków obu narodów jest jedyną drogą do zniwelowania różnic pomiędzy historiografią polską i litewską.

Być może w przyszłości dla historyków litewskich nie będzie herezją stwierdzenie, że oddziały gen. Plechaviciusa dokonywały aktów terroru wobec ludności polskiej. Być może historyk polski wspomni częściej o pogardzie, jaką otaczano wkraczające w 1939 r. do Wilna oddziały litewskie, przypomni pogardliwe okrzyki o „kobyłce”, czyli o herbie Litwy, dojdzie do wniosku, że część z akcji AK uderzyła jednak w ludność litewską.

Wtedy i tylko wtedy będzie można wreszcie pokusić się o udzielenie odpowiedzi na pytanie: Dlaczego doszło do tych tragicznych konfliktów i czy musiało do nich dojść?

Książka Romana Korab-Żebryka nie udziela jeszcze pełnej i satysfakcjonującej odpowiedzi na tak postawione pytanie. Nie może jej jeszcze udzielić. Ale sam fakt, że taka pozycja się ukazała, daje nadzieję, że w nieodległej przyszłości nie będzie już trzeba pisać książek zawierających w tytule słowa „w obronie”.

Andrzej P. Przemyski

¹ Roman Korab-Żebryk, *Biała Księga w obronie Armii Krajowej na Wileńszczyźnie*, Wyd. Lub., Lublin 1991

Zapysky znówu we Lwowie

Recenzowane wydawnictwo, będące organem Towarzystwa Naukowego T. Szewczenki we Lwowie, zasługuje na uwagę z kilku względów. Jest to jedno z najstarszych czasopism naukowych na Ukrainie; w przyszłym roku minie setna rocznica od daty ukazania się pierwszego tomu ZNTSz. *Zapysky* po 50 latach nieobecności we Lwowie powracają do swojej pierwotnej siedziby.

Wydaje się celowe przypomnienie tutaj pewnych faktów z historii tego czasopisma. Wysoką rangę już od samego początku zawdzięcza ono takim postaciom, jak M. Hruszewski, I. Franko, W. Hnatiuk. Jednym z pierwszych redaktorów ZNTSz zostaje M. Hruszewski, historyk, profesor Uniwersytetu Lwowskiego. To on, kierując *Zapyskami* w latach 1896–1913, przekształcił je z rocznika w dwumiesięcznik. W tym okresie ukazało się 100 tomów ZNTSz. Kolejne lata, w tym międzywojenne, przynoszą stabilizację czasopisma. W 1924 r. powstają dwie serie *Zapysków*: filologiczna oraz historyczno-filozoficzna.

Tom 155 jest ostatnim, który wyszedł (1938) przed wojną i zarazem ostatnim redagowanym we Lwowie. W latach 1940–1988 czasopismo to nie istnieje w ZSRR w obiegu bibliotecznym. Wycofane zostało z powodu „buntowniczego” charakteru. Nie oznacza to oczywiście, że przestało funkcjonować w życiu naukowym. Podziela ono losy inteligencji ukraińskiej rozproszonej na emigracji. Siedziba wydawnictwa znajduje się początkowo (do t. 159) w Monachium. Dalsze tomy, w związku z formowaniem się ośrodków ukrainistycznych we Francji, Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, nie są już wydawane w stałym miejscu. Wreszcie zmiany polityczne w ZSRR pozwalają zrealizować zamiysł inteligencji ukraińskiej o powrocie *Zapysków* do Lwowa. Odrzucono, i słusznie, koncepcję paralelnego, tj. na emigracji i na Ukrainie, wydawania ZNTSz. Utrzymanie wyłącznie krajowej edycji *Zapysków* służyć będzie, jak się wydaje, integracji środowisk naukowych, być może też ostrej polemice, do której Redakcja ZNTSz gorąco zachęca.

W przygotowaniu są już trzy kolejne tomy: historyczno-filozoficzny (t. 222), etnograficzno-folklorystyczny (t. 223) oraz tom 224 poświęcony sztuce. Do udziału w publikowaniu redakcja zaprasza ludzi nauki, twórców itp. nie tylko z ościennych republik, ale również z innych krajów. Szanse druku są duże ze względu na przyjętą i już realizowaną w tomie 221 pojemną formę. Wydawnictwo składa się z układu trójdzielnego: *Artykuły*, *Materiały*, *Przegląd i bibliografia*.

Wartość recenzowanego tomu jest dwójaka. Z jednej strony stanowi on źródło badań naukowych dla specjalistów (por. listy): literaturoznawców i językoznawców, z drugiej strony ukazuje ogólne problemy humanistyki ukraińskiej. Dzięki nowym materiałom oraz różnorodnym metodom badawczym, prezentowanym w 12 naukowych artykułach, można prześledzić określone problemy literackie na Ukrainie w XVII–XX w. Dawny okres literacki znalazł odzwierciedlenie w publikacjach B. Krysy i M. Trofymuka; nowy i najnowszy — Ja. Isajewicza, T. Komarnyca, W. Swobody, M. Moroza. Zgodnie z charakterem wydawnictwa są też publikacje z zakresu szewczenkoznawstwa. H. Hrabowycz i częściowo M. Trofymuk poruszają niektóre teoretyczne problemy rozwoju literatury

ukraińskiej. Pretekstem do rozważań nad problemami europejskiego humanizmu jest dla M. Hablewycz *Hamlet Szekspira*.

Tematyka językoznawcza reprezentowana jest w omawianym tomie wprawdzie tylko przez trzy publikacje, wykraczają one jednak swoją problematyką poza tę dyscyplinę naukową. Okazuje się w świetle przedstawionych faktów, że językoznawstwo może służyć badaniom interdyscyplinarnym. Połączenie lingwistyki i paleografii daje dobre rezultaty, jak udowodniła w swoim artykule L. Koc-Hryhorczuk, w ustaleniu chronologii ikon znajdujących się w Muzeum Sztuki we Lwowie.

Zamieszczone w recenzowanym tomie artykuły nie są, i nie mogą być, lekturą dla wąskiego kręgu czytelników, jak można by wnioskować z podanych wcześniej wiadomości. Nieprofesjonalista znajdzie tutaj informacje o ogólnych problemach inteligencji ukraińskiej. *Zapysky* są bowiem pewnego rodzaju próbą oceny dotychczasowego stanu świadomości narodowej. Widać to wyraźnie w tych publikacjach, które nawiązują do wolnościowych idei T. Szewczenki (por. Ja. Isajewicz, *Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość narodu: problemy dziedzictwa ukraińskiej kultury w twórczości Szewczenki*).

W *Zapyskach* dostrzec można próbę rozrachunku z przeszłością. Dokonuje tego m. in. J. Dzendzeliwski, prof. Uniwersytetu w Użhorodzie. Wprawdzie rozważania uczonego dotyczą tylko stanu i perspektyw językoznawstwa, mogą być jednak odniesione do nauk humanistycznych w ogóle. Dzendzeliwski pokazuje przyczyny zastoju naukowego, na który złożyły się w przeszłości represje stalinowskie wobec ludzi nauki, przyjęcie i praktyczne stosowanie w językoznawstwie radzieckim metodologii Marra, brak możliwości drukowania prac naukowych itp. To wszystko przyczyniło się, jak stwierdza prof. Dzendzeliwski, do upadku nauki.

W części drugiej, w *Materialach* zamieszczono listy znanych Ukraińców: ludzi nauki, kultury itp. Listy te znajdują się m. in. w Centralnym Archiwum Historycznym we Lwowie. Przez wiele dziesięcioleci nie mogły być one publikowane ze względów cenzuralnych. Obecnie, kiedy jest możliwość ogłaszania ich drukiem, niewątpliwie rzucą nowe światło na wiele faktów. Wśród zamieszczonej korespondencji wymienić tu można listy W. Stefanyka do A. Szeptyckiego czy M. Hruszewskiego do Wozniaka.

Tom zamyka *Krytyka i bibliografia*. Podane zostały tutaj recenzje prac m. in. z zakresu językoznawstwa i folklorystyki, wydanych na Ukrainie i poza jej granicami.

Omówione *Zapysky* stanowią niewątpliwie wydarzenie życia naukowego Ukrainy, mało tego — sławistyki w ogóle. Należy życzyć redakcji, by kolejne tomy wydawnictwa chwaliły się równie wysokim poziomem.

Feliks Czyżewski

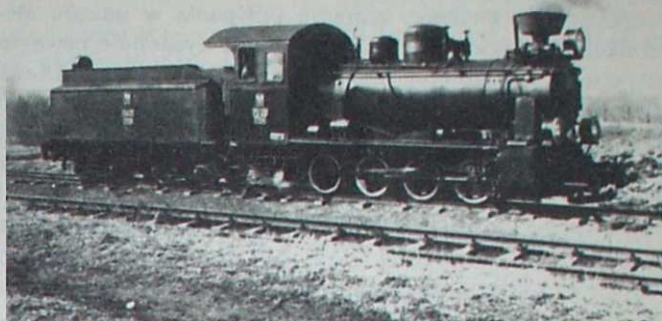
Bardzo wąskie, ale mile

O tym, że w Chełmie mieści się całkiem poważna i ważna administracja PKP, wie bardzo niewiele osób. Dotyczy to nawet rodowitych chełmian, którzy pytanie o siedzibę Dyrekcji Kolei Dojazdowych zbywają w większości wzruszeniem ramion, albo mówią z irytacją, że w pobliżu Chełma nigdy takich kolejek nie było. Nie jest to prawdą — w okresie pierwszej wojny światowej istniała kolejka biegnąca z Chełma przez Zamość do Płoskiego. Obecnie zaś najbliższa linia (w stanie likwidacji) łączy Werbkowice i Nieleśdew w województwie zamojskim. Ponad pięćdziesięciokilometrowa odległość do najbliższej administrowanej linii nie przeszkadzała powojennym władzom w umiejscowieniu DKD w Chełmie. I tak jest do dzisiaj.

Chcąc zrozumieć przyczyny tej na pierwszy rzut oka mało racjonalnej decyzji, cofnąć się trzeba do lat międzywojnia. Wówczas to bowiem, jak wiadomo, podjęto starania o przeniesienie do Chełma mieszczącej się w Radomiu dyrekcji okręgowej PKP. Realizacja tego zamierzenia wymagała uprzedniej rozbudowy miasta. Po wielu perturbacjach udało się tego dokonać częściowo w roku 1938. Radomska dyrekcja kolei nigdy się jednak do nowej siedziby nie przeprowadziła. Po wojnie stało się jasne, że tego typu instytucja jest w Chełmie zbędna. Nie znaczyło to jednak wcale, że kolejarze chcieli dobrowolnie zrezygnować z ogromnego gmachu dyrekcji, który na krótko został siedzibą władz PKWN. Ważne stało się także wykorzystanie wykwalifikowanych pracowników, jacy jeszcze przed wojną zasiedlili ponad sto domków osiedla do dzisiaj zwanego „Dyrekcją”... Ludziom związanym zawodowo z koleją trudno obecnie znaleźć inne wytłumaczenie dla lokalizacji DKD w Chełmie.

Nielatwe jest także określenie dokładniejszej daty powołania chełmskiej DKD. Wydaje się, że powstała ona na bazie, utworzonego w grudniu 1944 roku przez Resort Komunikacji PKWN, Wydziału Kolei Wąskotorowych. Obecny dyrektor DKD, Jan Pietrzak, datuje początki swojej firmy na pierwszą połowę lat pięćdziesiątych. Wiesław Wojasiewicz — kierownik biblioteki Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych w Lublinie, z zamiłowania parający się historią kolejnictwa (jak jednak zastrzega — szerokotorowego), skłania się raczej ku latom 1948-1950.

Pozostawiając w Chełmie Dyrekcję Kolei Dojazdowych, pozostawiono w gestii PKP także część wiadomego gmachu. W tym więc niewielkim zakresie budynek wykorzystany został w zgodzie ze swym pierwotnym przeznaczeniem. Sytuacja taka trwała do roku 1975, kiedy to Chełm — dość niespodziewanie — awansował do rangi miasta wojewódzkiego. Wybór siedziby dla Urzędu Wojewódzkiego narzucał się sam — gmach dyrekcji PKP, bądź wedle nowej nazwy — „gmach PKWN”. Budynek został więc opróżniony z instytucji, które „nie pasowały” do jego nowego, pryncypialnego przeznaczenia. Taki też los spotkał DKD. Jak głosi anegdota, jeden z jej pracowników nie chciał pod żadnym pozorem opuścić swego miejsca pracy twierdząc, że budynek jest własnością kolei. Kiedy nie poskutkowały perswazyje, do usunięcia urzędnika skierowano... żołnierzy. Wynieśli go wraz z krzesłem i biurkiem, na którym leżały jeszcze dokumenty.



Takie parowozy cwałowały niegdyś po wąskich torach w Polsce

Nową siedzibą DKD stał się barak przy ulicy Kredowej. Nie jest rzeczą łatwą odnalezienie go wśród kilku, pokrytych blachą falistą, budowli. Lokalizacja i wygląd budynku dyrekcji wyrażają w pewnej mierze stan kolejek wąskotorowych, którymi przyszło jej administrować. A stan ten jest coraz gorszy. Przydatność przedsiębiorstw tego typu jest mierzona ich rentownością, a ta z roku na rok spada. Od dawna już zyski z kolejki pokrywają zaledwie 50 proc. kosztów własnych działalności. Systematycznie też spada tonaż przewozów. O ile w roku 1971 wąskotorowe wagoniki, pracujące na liniach kierowanych przez chełmską DKD, przewiozły prawie 2,5 mln ton, o tyle w roku ubiegłym — zaledwie 10 proc. tej liczby.

Chełmska dyrekcja — jedna z sześciu takich placówek w kraju — obejmuje swym działaniem siedem województw Polski południowo-wschodniej. Łączna długość linii wąskotorowych wynosiła w najlepszym okresie jej istnienia 620 kilometrów. Kolej jędrzejowska — najdłuższa (początkowo 313 km), posiada obecnie 212 kilometrów linii, a i ta będzie zapewne maleć. Kolej hrubieszowska (miała 143 km długości), od której zaczęła się w 1901 roku historia wąskotorówek o napędzie parowym na Lubelszczyźnie, przestała istnieć. Jej część południową (Werbkowice — Łaszczów) zawieszono jeszcze w 1985 roku. Od 1 stycznia 1990 roku reszta kolei hrubieszowskiej postawiona została w stan likwidacji. Czynna jest do dzisiaj jedynie lokomotywnia w Werbkowicach, gdzie dokonuje się rewizyjnych remontów lokomotyw na potrzeby innych linii.

Likwidacja nie dotknęła na razie, zbudowanej jeszcze przed rokiem 1914, kolei nałęczowskiej. Zawieszono jedynie kursy trzech, spośród czterech dotychczasowych, par pociągów. Była to, jak podkreśla dyrektor Pietrzak, kolej najbardziej pracowita... Widmo szybkiej likwidacji nie zagraża najkrótszej linii — kolejce starachowickiej (19 km), łączącej Starachowice i Ilżę. Ostatnią kolejką, jaka znajduje się pod zarządem chełmskiej DKD, jest kolej przeworska. Jej długość wynosi niezmienne, od 1904 roku, 47 kilometrów. Na trasie Przeworsk — Dynów spotkać można atrakcję jedyną w swoim rodzaju: 605-metrowej długości tunel, wydrążony specjalnie dla potrzeb wąskotorówki.

Na kilkuset kilometrach linii wąskotorowej podobnych atrakcji można z pewnością znaleźć więcej. Jest to ważne, jak się bowiem wydaje, przyszłość, przynajmniej części kolejek, leży

wich wykorzystaniu dla ruchu turystycznego. Pracownicy PKP zdają się już to zauważać. Na przykład w Starachowicach zorganizowano blisko pięćdziesiąt pociągów turystycznych. Mniej, bo tylko osiem takich pociągów wyjechało z Jędrzejowa. Będą one jeździć prawdopodobnie także po najbardziej widokowej linii przeworskiej. Na razie brakuje jednak odpowiedniej reklamy tych miłych kursów, chociaż i tak cieszą się one bardzo dużym zainteresowaniem turystów.

Dyrektor J. Pietrzak, któremu przypadła w udziale niewdzięczna rola likwidatora DKD, ciągle dysponuje pewnym potencjałem użytkowym firmy. Posiada bowiem czterdzieści spalinowych lokomotyw Lxd2, z których dziesięć ma zostać sprzedanych. Niestety, nie ma już do dyspozycji ani jednego parowozu — ostatni poszedł na złom w 1983 roku. Na administrowanej z Chełma kolei wąskotorowej pracuje nadal prawie tysiąc osób. Czy ludzie i maszyny zostaną dobrze wykorzystane? Oby. Czegoś byłoby żal, gdyby z naszego krajobrazu zniknęły śmieszne, małe lokomotywy, mknące po 650-milimetrowej szerokości torach.

Ryszard Szymański

Maszynista Sosnowski

Zbierając materiały do dziejów kolejnictwa polskiego, znalazłem kilka zdjęć, które być może zainteresują czytelników „Kamień”. Obecnie przesyłam zdjęcia wykonane w 1904 lub 1905 r. w atelier fotograficznym G. Cygielmana w Kowlu. Przedstawia ono pomocnika maszynisty parowozu, Antoniego Sosnowskiego, z depôt (parowozowni) w Lublinie. Naklejone na tekturkę i opatrzone adnotacją naczelnika parowozowni, było jedyną przepustką na terenie kolejowym honorowaną przez carską żandarmerię.

Ilustracją ówczesnych warunków pracy w parowozowni lubelskiej może być anonimowa (ze zrozumiałych względów) korespondencja do „Robotnika” (1904/57/8):

[...] Zarobki nasze są następujące: maszynista — 80 do 120 rs., pomocnik 40 do 60 rs. miesięcznie. Za to przeciążenie pracą jest okropne: na 10 do 15 godzin czynnych mamy wypoczynku 6 do 10 godzin i zaledwie co 8-10 dni dniówkę, kiedy parowóz staje do czyszczenia. Ogólne warunki naszej pracy są liche, głównie przez rozpanoszenie się systemu protekcji. Bez kosztownych prezentów p. naczelnikowi roboty się nie dostaje, a jak nie ma przystępu do naczelnika, to o wszystkim decyduje majster Rychter, straszny łapownik. Każdy nowicjusz pracuje pewien czas w remizie, następnie przechodzi na jazdę, jako pomocnik, i dopóki nie dostanie etatu, liczy się jako zastępca. Jeżeli ruch jest mały, zastępca nie prawie nie zarabia. W ogóle pomocnicy są igraszką w rękę Rychtera, który łupi z nich bez miłosierdzia. Gnębi nas system kar, które na nas nakładają (w wysokości od 1 do 10 rs.) w razie uszkodzenia maszyny, co się w drodze dość często zdarza. [...] Oprócz ślusarzy lonowych jest u nas

3 brygady akordowych, w każdej brygadzie pracuje po 7-8 ludzi. Z należącego procentu korzystają nie wszyscy, bo majster Rychter pobiera od każdego akordowego łapówki po 3 i 4 ruble miesięcznie. W ogóle ten Rychter rządzi się u nas jak szara gęś i choć go usunięto od obliczania akordu, on wciąż jeszcze domaga się łapówek, a ludzie boją się go i dają się krzywdzić. Nowicjusz dostaje u nas najwięcej 75 kop. dziennie, a o podwyżkę bardzo trudno, w najlepszym wypadku podwyższają po 5 kop. Należy zaznaczyć, że lekarz kolejowy Piątkowski nadzwyczaj niedbale i niesumienne pełni swoje obowiązki, przy czym bywa jeszcze brutalny z chorymi, nawet z kobietami. W ten sposób pomocy lekarskiej jak gdyby nie było. Nie bacząc na nasze zarobki stracają nam na „Krasnyj krest” po kopiejce z rubla. Był co do tego cyrkularz, podpisali się pod nim Rychter, blacharz Łagoda i kilku innych. Pomimo to, że większość wcale się nie podpisała, biorą te składki obowiązkowo od wszystkich i to się nazywa, że „dobrowolnie” dajemy. Wspomniany Łagoda jest w bliskich stosunkach z „fijolkami” [carską żandarmerią kolejową — przyp. W. W.].

Wiesław Wojasiewicz



Kronika wschodnia

* Z datą „maj 1991” ukazał się nr 1 nowego pisma pt. „Wieści Chełmskie”, które przedstawiło się jako „miesięcznik samorządowy”, zamierzający wszechstronnie informować o pracach Rady Miejskiej. „Skupiona w rękach pozasamorządowych prasa regionalna wykorzystywała w swoich publikacjach informacje i fakty w sposób stronniczy. Wiele z nich pomijano, inne zaś przedstawiano błędnie” — w „Słowie wstępnym” oznajmił Zygmunt Gardziński.

* Od 23 maja, przez trzy dni Zamość rozbrzmiewał „Jazem na Kresach”. W festiwalu uczestniczyły zespoły znakomite i dopiero aspirujące do tego miana, m. in. głośny „The Willows Revival Singers” z Krakowa. Chełm reprezentował swingowy „Quartet-Qvintet”. Sponsory: biłgorajski „Kram”, zamojskie „Casino 21” i... bawarski browar „Einger”.

* Zmieniając nazwy i profile, placówka kształcenia pedagogów w Szczepleszynie przetrwała 70 lat. Na jubileusz zjechało do miasta wielu absolwentów szkoły (czy raczej szkół), którzy m. in. byli świadkami przywrócenia placówce imienia Zamoyskich, fundatorów obiektów (wzniesionych w 1811 r.). W uroczystości uczestniczył Jan Zamojski.

* Trudno określić dokładnie, ale szacuje się, że na czerwcowe spotkanie z Janem Pawłem II w Lubaczowie przybyło 10-20 tys. pielgrzymów, Polaków i Ukraińców, z Kamieńca Podolskiego, Krzemieńca, Lwowa, Łucka, Tarnopola, Żytomierza.

* „Z przykrością muszę stwierdzić, że [wzajemne] żale i pretensje łączą się z sytuacją gospodarczą naszych krajów. Reprezentanci mniejszości narodowych chcą szerokiego dostępu do własnej kultury, do prasy, marzą im się częste występy teatrów, duże biblioteki i przestronne domy kultury. Tylko skąd wziąć na to wszystko pieniądze? Myślę, że pomalutku uda nam się nadrobić zaniedbania. Ale od razu nie można żądać zbyt wiele” — zauważył Jewgienij Woytowicz, minister Kultury i Sztuki Białorusi, w rozmowie z M. Jarocką, która przypominała też, że rząd RP przeznaczył prawie 4 mld zł na wspieranie działalności kulturalnej Białorusinów w Polsce, podczas gdy na pomoc dla Polaków w krajach byłego „bloku” — tylko 2 mld zł.

* 12 czerwca prezydentem Rosji wybrano Borysa Jelcyna. Kilka tygodni później (20 lipca) pierwszym wydanym dekretem Jelcyn zakazał działalności „zorganizowanych struktur politycznych” we wszystkich zakładach pracy Federacji Rosyjskiej. Decyzja ta spotkała się ze sprzeciwem KPZR i M. Gorbaczowa,

albowiem implikuje wyprowadzenie podstawowych komórek partii z fabryk, administracji itp.

* 6 czerwca, w dziewiątą rocznicę śmierci Marii Bechczone-Rudnickiej, wieloletniej redaktorki naczelnej „Kameny”, wręczono nagrody w ogólnopolskim konkursie na recenzję teatralną, ogłoszonym swego czasu i szczęśliwie kontynuowanym przez fundację im. MB-R. W kategorii dorosłych I nagrodę otrzymał Piotr Marek Stański z Krakowa, zaś odpowiednią premię w grupie młodzieży przyznała Agacie Strojny, również z Krakowa.

* Stanowczy protest przeciwko tworzeniu polskiego „terytorium narodowościowego” na Wileńszczyźnie ogłosiła komisja do spraw narodowości wileńskiej Rady Miejskiej. Tymczasem potmkowie hrabiowskiego rodu Tyszkiewiczów, mieszkający m. in. w USA, zwrócili się do władz litewskich z prośbą o zwrócenie im niektórych majątków ziemskich, zamku i dwóch pałaców. W świetle nowego ustawodawstwa litewskiego byli właściciele mogą dochodzić prawa do utraconych dóbr. Dawne majątki Tyszkiewiczów były jednak ogromne.

* Wiele wskazuje na to, że w niedalekiej przyszłości rozwinię się współpraca Chełma z amerykańskim miastem Aurora, położonym w pobliżu Denver w stanie Colorado. Strony sporządzają inwentarz swoich możliwości i oczekiwań (gospodarczych, kulturalnych itp.).

* W czerwcu przebywali w Zamościu przedstawiciele władz obwodu wołyńskiego na Ukrainie. Zawarto porozumienie o współpracy, obejmujące m. in. współdziałanie podmiotowe, tzn. między konkretnymi przedsiębiorstwami i instytucjami, a ponadto — otwarcie przejścia granicznego w Zosinie koło Hrubieszowa, które niewątpliwie ułatwi i zdynamizuje dwukierunkowe kontakty gospodarcze: Wołyn — Zamojskie, ale i Chełmskie. Wkrótce potem, w początkach lipca, grupa przedstawicieli biłgorajskich firm uspołecznionych, państwowych i prywatnych udała się do Nowowżyńska.

* Zaczęło się 15 czerwca, było krótsze od poprzednich imprez, bo trwało dwa tygodnie, repertuar miało lżejszy, ale na dobrym poziomie, otwarte zostało inscenizacją „Markietanki” według B. Brechta i K. Weilla, w reżyserii szefa krakowskiego Teatru Stu, Krzysztofa Jasińskiego. Warto wiedzieć, że „Monachomachia” biskupa Krasickiego, wystawiona przez Teatr im. Cypriana Norwida z Jeleniej Góry, bardzo ucieszyła widownię Zamojskiego Lata Teatralnego, które wpisaliśmy oto do kroniki.

* 16 czerwca odbyły się wybory uzupełniające do Rady Gminy w Tomaszowie Lubelskim. Na 649 uprawnionych w głosowaniu wzięło udział 25 osób. Było dwoje kandydatów, zwyciężczyni otrzymała 22 głosy.

* W dawnym kolegium jezuickim w Krasnymstawie otwarto w czerwcu wystawę XVIII-wiecznej sztuki sakralnej (obrazy, przedmioty liturgiczne itp.) oraz inkunabułów i starodruków. W większości obiekty te nigdy dotąd nie były eksponowane. Ten rewelacyjny pokaz przygotowało tamtejsze Muzeum Regionalne, notabene posiadające bogate zbiory etnograficzne, i parafia św. Franciszka.

* W czerwcu woj. białkopodlaskie i brzeskie uzgodniły zasady i formy szerokiej współpracy gospodarczej. Podczas pobytu wojewody białkopodlaskiego po wschodniej stronie Bugu podkreślono m. in. celowość utworzenia wspólnego konsorcjum dla marketingu i działalności gospodarczej.

* Województwa: białkopodlaskie, chełmskie, lubelskie i zamojskie zawarły porozumienie „O podejmowaniu wspólnych działań na rzecz ochrony środowiska w makroregionie środkowowschodnim”. Odbyło się to 28 czerwca w Chełmie. Tymczasem w chełmskim UW postanowiono, że za sumę 3 mld zł zbudowane zostaną oczyszczalnie ścieków: nad Jeziorem Białym, w Siedliszczu, Wierzbicy i we Włodawie.

* W Zamościu latem warto było obejrzeć: efektowne, brawurowe malarstwo Konrada Krzyżanowskiego (1872-1922) ze zbiorów stołecznego Muzeum Narodowego i sztukę ludową Zamojszczyzny (Muzeum Okręgowe); finezyjne, wyrafinowane rzeźby ceramiczne wybitnej artystki warszawskiej, Anny Kamińskiej-Lapińskiej (BWA).

* Wśród ekspozycji czynnych w tym samym okresie w Muzeum Okręgowym w Białej Podlaskiej zwracały uwagę: „Konie, jeźdźcy, zaprzęgi w malarstwie polskim XIX i XX w.” oraz „Ludowa kultura artystyczna południowego Podlasia”.

* W nocy z 1 na 2 lipca nieznani sprawcy sprofanowali cmentarz prawosławny przy ul. Lipowej w Lublinie, niszcząc 22 nagrobki z XIX w. Prasa z goryczą i oburzeniem odnotowała tę dewastację, przygotowaną zapewne z premedytacją.

* 2 lipca przyjechała do Chełma grupa „dzieci z okolic Czarnobyla”, w czym nie byłoby nic szczególnego, albowiem od pewnego czasu dzieci z tamtych terenów korzystają w Polsce z różnych form wypoczynku. Wkrótce jednak okazało się, że akurat ta grupa: w Chełmie znalazła się przez pomyłkę,

nie posiada ubezpieczenia ani dokumentów, wcale nie pochodzi z rejonów Czarnobyla, nie odpowiadają jej warunki pobytu w ośrodku ZHP nad jeziorem w Grabniaku, dokąd ostatecznie została skierowana, chętnie natomiast pohandlowałaby sobie przywiezionym towarem, znaczy — wódką, kawą, papierosami. Cała sprawa „nabrała w Kijowie rozmiarów afery politycznej”, wręcz unieważniającą dobrą wolę i opiekuńczą postawę chełmian.

* Przez trzy tygodnie lipca na kolonii w POM Piotrowice bawiła 41-osobowa grupa dzieci i młodzieży z Brześcia. „Chwalimy sobie dobrą organizację na kolonii, wspaniałą pogodę, smaczne posiłki (młode ziemniaki zaczęliśmy jeść dopiero tutaj) i sympatyczną atmosferę, jaka jest w Piotrowicach” — powiedziała „Kurierowi Lubelskiemu” opiekunka dzieci, Galina Jangelenko. Z kolei dzieci pracowników piotrowskiego POM spędzają wakacje, z przyjemnością, w okolicach Brześcia.

* Lublin odwiedził minister Edukacji Narodowej, Robert Głębocki. Podczas spotkania ze środowiskiem akademickim — 10 lipca w LTN — przekonywał on zebranych, że kryzys w ogóle i w resorcie spowodowany został głównie zbyt wolną prywatyzacją gospodarki, upadkiem handlu ze Związkiem Radzieckim i wojną w Zatoce Perskiej. Jeśli chodzi o konkrety, to szef MEN-u podał, że nakłady z budżetu na ochronę zdrowia, oświatę i kulturę mogą ulec zmniejszeniu o 15-25 proc.

* Tylko 100 mln zł z budżetu państwa przeznaczono w tym roku na ratowanie 15 drewnianych cerkwi w Bieszczadach, posiadających szczególną wartość historyczną i artystyczną. (Por. artykuł W. Kostyrko „Pod opieką nieba” — „Gazeta Wyborcza” z 1 lipca br.)

* Walentin Falin na konferencji prasowej w Warszawie (12 lipca): „Dla Związku Radzieckiego Polska stanowi samoistną wartość i nigdy nie będzie monetą przetargową w rozmowach z jakimkolwiek krajem”. Sekretarz KC i kierownik Wydziału Międzynarodowego KC KPZR przebywał w Polsce na zaproszenie Socjaldemokracji RP.

* 15 lipca, w 73. rocznicę egzekucji cara Mikołaja II i jego rodziny odprawiono w Rosji — po raz pierwszy legalnie — msze w intencji rozstrzelanych.

* Wystawę barwnej fotografii „Pejzaż Izraela” otwarto 15 lipca w Domu Kultury w Hrubieszowie, natomiast od 17 lipca w muzeum w Łęcznej czynna jest ekspozycja „Judaica”, gromadząca eksponaty z kilku muzeów (m. in. z włodawskiego).

* Od dłuższego czasu walkowany jest pomysł urządzenia w Lublinie Targów Wschodnich, nastawionych głównie na handel ze Związkiem Radzieckim i pomyślanych jako baza czy wygodny punkt operacyjny dla biznesu zachodniego, w tym polonijnego, który

przecież manifestuje swoje zainteresowanie rynkami Białorusi, Litwy i Ukrainy. Zapewne wcześniej jednak od Targów powstanie Wschodnia Izba Gospodarcza w Chełmie z siedzibą w Lublinie, która z założenia skupiać będzie firmy o stosunkowo niewielkim potencjale. Do jej rejestracji potrzebny jest jeszcze akces 20 podmiotów gospodarczych (dotąd zgłosiło się 80).

* 28 lipca w Kozłowie koło Lubartowa odsłonięto tablicę poświęconą 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, a w pobliskim Skrobowie — tablicę upamiętniającą rozbrojenie tej formacji w 1944 roku przez Armię Czerwoną oraz internowanie żołnierzy AK w obozie NKWD, który istniał tam w okresie: listopad 1944 — kwiecień 1945.

* W końcu lipca w parku leśnym w Charkowie rozpoczęły się prace ekshumacyjne na zbiorowej mogile oficerów polskich, zamordowanych przez NKWD w kwietniu 1940 r., a wcześniej więzionych w Starobielsku.

* 29 lipca Rosja uznała niepodległość Litwy. Odpowiednia formuła znalazła się w traktacie o przyjaźni, podpisanym w Moskwie przez prezydentów obu republik.

* Nałęczowskim latom Jana Witkiewicza-Koszczyca poświęcona była niewielka, ale elokwentna i wzruszająca wystawa, którą w lipcu urządziło Muzeum Ruchu Spółdzielczego, przypominając 110 rocznicę urodzin tego architekta, konserwatora zabytków i społecznika. Na świat przyszedł w majątku Urdomin na Suwalszczyźnie, uczył się w gimnazjum realnym w Mińsku Litewskim, studiował na politechnikach Warszawy, Lwowa i Monachium.

* W „Galerii 72” Muzeum Okręgowego w Chełmie można było w czerwcu (od 21) i w lipcu oglądać instalację Marcina Berdyszaka z Poznania. Niektórzy krytycy zaliczają go do twórców „innej wrażliwości”, bo nie tyle wykonuje obiekty sztuki, co odkrywa czy aranżuje sytuacje znaczące w naturze, albo też przy pomocy pospolitych czynności umyśla np. granice ludzkich możliwości (akcja „Odjazd”, podczas której Berdyszak próbował bezskutecznie pociągnąć pnie drzew okracane łańcuchem).

* „Panie mój oliwny” to tytuł wiersza, za który Ryszard Kornacki z Międzyrzecza Podlaskiego otrzymał III nagrodę w dziale poezji religijnej Łódzkiej Wiosny Poetyckiej.

* „Jak się żyje? Już się nie żyje” — informuje Waldemar Andzelm, właściciel galerii sztuki przy ul. Złotej w Lublinie. — Do końca roku muszę zlikwidować placówkę. Przegrane lata, przegrane pieniądze, no i żal, że pasja mego życia nie spełniła się. Krajowa Agencja Wydawnicza, która jest właścicielem budynku, poddyktowała mi takie warunki, że nie jestem w stanie zapłacić czynszu! A wiadomo, tu nie handel bulkami, które potrzebne są na co dzień. Tylko na przestrzeni ubiegłego roku

obserwowałem, jak uboższą potencjalnie nabywcę. [...] Stało się tak, że i klientów nie ma, i brak pieniędzy na zaspokojenie żądań ponad miarę. [...] Będzie tak, że Lublinie królować zaczną gips, tombak i tandetne widoczki”. Cytujemy tę wypowiedź za „Dziennikiem Lubelskim” dlatego, ponieważ w istotnych fragmentach odnosi się ona do ogólniejszej, kryzysowej sytuacji na rynku sztuki w Polsce. Ale jeśli chodzi o „gips”, to on był, jest i będzie przedmiotem adoracji ludzi zwykłych i elitarnych.

* W wieku 87 lat zmarł w Miami (USA) Isaac Bashewitz Singer, wybitny pisarz żydowski (w jidysz) urodzony w Polsce, skąd za ocean wyjechał w 1935 r. Spośród licznych opowiadań i powieści laureata Nagrody Nobla wielką u nas poczytnością cieszył się „Sztukmistrz z Lublina”. (W nr 4/1990 „Kamieny” opublikowaliśmy nowelę Singera „Bendit i Dyszka. Monologi cioci Jentl”, w tłumaczeniu Michała Friedmana.)

* Podczas oficjalnej wizyty w Związku Radzieckim prezydent USA Bush odwiedził m. in. Ukrainę, wygłaszając przemówienie w parlamencie. Oto ważny fragment tego wystąpienia z 1 sierpnia: „Amerykanie nie będą popierać tych, którzy dążą do niepodległości po to, aby zamienić odległą tyranię na lokalny despotyzm. Nie pomogą tym, którzy zdążają wprost ku samobójczemu nacjonalizmowi, który wspiera się na etnicznej nienawiści. [...] Gorbaczow dokonał zdumiewających rzeczy. Stany Zjednoczone zachowują silne związki z rządem radzieckim, jednocześnie będziemy szukać dobrych stosunków z republikami”.

* 6 sierpnia w chełmskiej „Galerii 72” otwarto wystawę malarstwa i grafiki Hanny Zawy-Cywińskiej. Urodzona w 1939 r. w Łomży, w 1967 r. wyjechała z Polski. Studia artystyczne odbywała w Nowym Jorku, miała liczne wystawy indywidualne w Ameryce Północnej i w Europie, dwa pokazy jej twórczości odbyły się w kraju — w Warszawie i Krakowie (1987). Obecna ekspozycja jest jej trzecią prezentacją indywidualną w Polsce. Ponadto Zawa-Cywińska wzięła udział we wrześniowej wystawie „Jesteśmy” w stołecznej „Zachęcie”, gromadzącej wielce różnorodny dorobek artystów polskich, mieszkających poza granicami kraju.

* 19 sierpnia podjęto w ZSRR próbę zamachu stanu, która już po kilku dniach zakończyła się niepowodzeniem. Zadecydowała o tym postawa społeczeństwa, B. Jelcyna i niektórych formacji wojskowych.

(k)

Kronikę sporządzono w oparciu o informacje własne i doniesienia prasy regionalnej oraz ogólnokrajowej. (red.)

Andrzej Łuczeńczyk

12 sierpnia br. zmarł w Ludwinie koło Łęcznej Andrzej Łuczeńczyk, pisarz najwyższego formatu, jeden z nielicznych w tej mierze, jakich wydała Lubelszczyzna.

Urodził się w tymże Ludwinie 10 grudnia 1945 roku (w Jego dowodzie osobistym widnieje inna data), tam mieszkał przez prawie całe swoje życie, ciągle borykał się z niedostatkiem i innymi przeciwnościami losu, uprawiał splachetek rodzinnej ziemi, to znów pracował jako palacz kotłowni miejscowego ośrodka zdrowia. Należał do lubelskiego ZLP, ale nie miał chęci, czasu i predyspozycji, by angażować się w działalność środowiska literackiego. Jego światem była twórczość. Debiutował w 1969 roku w „Kamieniu” (nr 24) opowiadaniem „Więzienie”.

Opublikował zbiory opowiadań: „Przez puste ulice” (1982) i „Kiedy otwierają się drzwi” (1985) oraz krótkie powieści: „Gwiazdny książę” i „Źródło” (1986). Ostatnim dziełem powieściowym Andrzeja okazało się „Wyzwanie”, zamieszczone w styczniowym numerze „Twórczości” z ubiegłego roku. W redakcji tego czasopisma spotykał się zresztą z wyjątkowym zrozumieniem i z serdecznością, zwłaszcza ze strony Henryka Berezę i Jerzego Lisowskiego.

Jako pisarz rozwijał się w sposób zdumiewający, można powiedzieć, że na przekór swojemu społecznemu usytuowaniu, doświadczeniu i formalnemu wykształceniu — wszak ledwo ukończył, zaocznie, liceum ogólnokształcące. We wczesnych opowiadaniach „opisywał” świat dookolny, pospolity i brutalny, ujmując często swoje obserwacje w poetyce „małego realizmu”. Wmawiano Mu wtedy, że o to właśnie chodzi, że jest na właściwej drodze — naturalnej dla kogoś, kto owszem, talent pisarski ma, ale korzeniami tkwi w wiejskiej glebie, którą zatem powinien po literacku orać, zawadzając ewentualnie o podmiejskie zagony... Andrzej nie przyjmował jednak do wiadomości tych puczeń, pokpiwał z nich i w tej swojej rodzinnej, wiejskiej chałupie zaczął kreować literaturę uniwersalną, opartą na wielkiej, metaforycznej wizji losu człowieka skazanego np. na sprawowanie władzy („Gwiazdny książę”), krystaliczną w konstrukcji, powściągliwą w narracji i znamionującą się niebawale funkcjonalnym stosowaniem słowa. Zauważono nawet, że „Hemingway przy Łuczeńczyku jest straszliwym gadułą”.

„Może to moje pisarstwo jest reakcją na codzienną *poetykę* podorywek, kotłowni, kufajek, która wbija człowieka w ziemię” — zastanawiał się w wywiadzie, który przeprowadziłem z Nim w Ludwinie 1987 roku („Kamena” nr 25).

Twórczość Andrzeja spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem krytyki literackiej, głównie warszawskiej, i została uhonorowana kilkoma prestiżowymi nagrodami: Wieczystej Fundacji Wendów, Funduszu Literatury, im. Edwarda Stachury i im. Stanisława Piętaka. Ponadto otrzymał nagrodę im. Bolesława Prusa, przyznaną przez lubelski oddział ZLP, i nagrodę społeczno-kulturalną wojewody lubelskiego (1987).

Zmarł o godz. 3 w nocy. Kilka godzin wcześniej powiedział, że nie chce umierać w szpitalu, gdzie uprzednio przebywał w klinice hematologii. Tam właśnie, w lubelskiej klinice, rozmawiałem z Andrzejem 8 i 9 sierpnia. Był opanowany, rzeczowy, obliczał, że wystarczyłoby Mu jakieś dziesięć lat życia, by zrealizować plany literackie i spełnić obowiązek wobec najbliższych, zwłaszcza wobec starszej córki, uczennicy szkoły podstawowej, która mieszkała z ojcem w Ludwinie. Mówił, że siły zaczęły Go opuszczać już w kwietniu tego roku, że wtedy przestał pisać. Sprawiał wrażenie, że raczej domyśla się, niż wie na pewno, jaką chorobą został dotknięty. Zżymał się na lekarzy,



że nie chcą Mu powiedzieć, na jakiego rodzaju białaczkę zachorował. Powtarzam: Andrzej był jednak opanowany do tego stopnia, że przez moment nie podejrzewałem, że 11 sierpnia ucieknie ze szpitala. Umawialiśmy się na kolejny wywiad!

Motyw śmierci nieustannie przewijał się w Jego twórczości. „Tajemnicy śmierci nikt nie zbadał i nikt nie zbada. Niewiarygodne jest już to, że znalazł się ktoś, kto z badania tajemnicy śmierci robi swój pisarski cel” — pisał o Łuczeńczyku sprawie literackiej Henryk Berezę, który na pogrzebie Andrzeja w Dąbrowie (13 sierpnia) powiedział, że Lubelszczyzna wydała trzech prawdziwych pisarzy: Bolesława Leśmiana, Józefa Czechowicza i Andrzeja Łuczeńczyka, owego „księcia z ducha”...

„Koń zarżał i wrócił do brzegu. Co jakiś czas rozlegało się jeszcze oddalające się rżenie. Mdląły ramiona, ostatkiem sił powstrzymując ciężenie w dół książę usłyszał wreszcie z oddali brodenie konia na płyciźnie, a zaraz potem tętent, coraz bardziej się oddalający, któremu ciągle wtórowało co jakiś czas zanikające rżenie. Z ogarniającą całe ciało ulgą i kojącym spokojem podniósł wtedy książę wzrok ku gwiazdom, które zaczęły się jakby przybliżać, rozsypywać się wokół niego. Omdlałe ramiona przestały rozgarniać wodę i wzniosły się ku nim, jakby na bliskie, radosne spotkanie.”

Tak umierał „Gwiazdny książę”.

Zegnaj, Andrzeju.

Ireneusz J. Kamiński

Bezrobocie w Chełmskiem

Województwo chełmskie jako jedyne w kraju nie przekroczyło w minionym półroczu liczby 10 tysięcy bezrobotnych. Ponadto jest jednym z dwóch województw, w których w czerwcu zmalała liczba pozostających bez pracy. Do przekroczenia magicznych „10 tysięcy” nie doszło, choć było to możliwe, tylko dlatego, że zakłady mimo wcześniejszych zgłoszeń o redukcji kadr do zwolnień nie uciekały się. Jeszcze na jakiś czas, być może do chwili prywatyzacji, proces ten wstrzymano. Natomiast spadek liczby bezrobotnych można wytłumaczyć ostatnimi przyjęciami do pracy w kilku większych zakładach, takich jak cementownia, Fabryka Domów, Chełmskie Przedsiębiorstwo Budowlane oraz inne firmy budowlane. Wiele osób podjęło się samodzielnego prowadzenia działalności gospodarczej.

Na 30 czerwca 1991 r. zarejestrowanych było w województwie 9008 osób, w tym 2137 kobiet. W stosunku do grudnia ubiegłego roku liczba bezrobotnych wzrosła o 1016 osób, lecz w porównaniu z majem tego roku zmalała. Największy problem stanowi bezrobocie w rejonie Włodawy, gdzie nie ma żadnego przemysłu, a nadzieje na ożywienie życia gospodarczego kończą się na planach. Co prawda Wojewódzkie Biuro Pracy zaofiarowało wszystkim rozpoczynającym działalność gospodarczą na tym terenie wsparcie kredytowe i pożyczkowe, a wydziały Urzędu Wojewódzkiego informację i doradztwo. Wójtom zalecono, by podejmowali szybko i samodzielnie decyzje o ulgach w podatkach dla chcących rozpocząć np. działalność inwestycyjną, czy o zmniejszeniu opłat czynszowych za lokale handlowe i usługowe. Jak dotychczas, niewiele osób skorzystało jednak z tego rodzaju pomocy.

Największą grupę bezrobotnych stanowią osoby z wykształceniem zasadniczym zawodowym. W Chełmskiem jest ich 2710. Tak duża liczba może dziwić, ponieważ aż 90 proc. ofert kierowanych do biur pracy dotyczy stanowisk robotniczych. Niestety, propozycje te najczęściej odrzucane są ze względu na złe warunki pracy i niskie uposażenie. W ostatnich miesiącach np. cementownia w związku z uruchomieniem zakładu Chełm I zaproponowała zatrudnienie około 100 osobom pobierającym zasiłek. Część z nich propozycję przyjęła, jednak wkrótce wiele osób pracę porzuciło, zrażając się trudnymi warunkami i zapłatą niewiele wyższą od pobieranego wcześniej zasiłku.

Nadal najtrudniej znaleźć zatrudnienie osobom z wykształceniem mechanicznym, ogólnokształcącym, rolniczym i ekonomicznym. Tendencja ta utrzymuje się już od ponad roku. Przewiduje się, że może jeszcze ulec pogorszeniu w związku ze zmianami strukturalnymi i organizacyjnymi w zakładach pracy, stałą recesją w krajowym rolnictwie. W czerwcu kolejnych 26 zakładów zapowiedziało zwolnienia. Być może liczba bezrobotnych powiększy się o 1188 osób. Chełmskie Zakłady Obuwia planują zwolnienie 560 pracowników, Chełmska Spółdzielnia Mieszkaniowa i Przedsiębiorstwo Melioracyjne redukują obsadę o 60 osób, POM w Siennicy i Wojewódzki Ośrodek Doradztwa Rolniczego o 30.

W tak trudnej sytuacji można się oczywiście przekwalifikować. Zdarza się jednak, że przedsiębiorstwa i prywatni pracodawcy niechętnie zatrudniają kończących kursy, motywując to znikomym przygotowaniem do pracy i niewysokim poziomem kształcenia placówek do tego przecież przystosowanych. Ile w tym prawdy, ile uników, trudno ocenić. Faktem jest natomiast, iż WBP skierowało na przeszkolenie w minionym półroczu 34 osoby, głównie kobiety. Kursy ukończyło 30 osób, a pracę podjęło tylko 13.

Oferty pracy kierowane są głównie do mężczyzn, kobietom znacznie trudniej znaleźć zatrudnienie. Do końca czerwca wpłynęły do biur pracy tylko 164 oferty, w tym dla kobiet jedynie 48. Łącznie w pierwszym półroczu tego roku skierowano do pracy 2211 bezrobotnych, z czego tylko 1653 osoby propozycję przyjęły. Jak wynika ze statystyki prowadzonej przez WBP, kobiety nie były tak wybredne przy wyborze ofert i sporo z nich, choć relatywnie niewiele, pracę znalazło.

Bezrobotni mogli korzystać z kredytów, udzielanych przez Biuro na preferencyjnych zasadach, i rozwinąć własną działalność gospodarczą; wyróżniano oczywiście usługi i rzemiosło. Wysokość pożyczki mogła sięgać dwudziestokrotnej średniej płacy krajowej; w ubiegłym roku wynosiła ona około 20 mln, w tym — już 30 mln zł. Łącznie w województwie chełmskim w ciągu 6 miesięcy udzielono 93 kredytów na kwotę 1 mld 712 mln złotych. Ponad 36 proc. pożyczek przyznano na handel artykułami przemysłowymi i spożywczymi, 48 proc. na działalność usługową (naprawa sprzętu, usługi stolarskie, budowlane, instalatorstwa sanitarnego), 15 proc. na rozpoczęcie działalności produkcyjnej (wyrób wędlin, przetwórstwo owocowo-warzywne, produkcja materiałów budowlanych). Udzielono 11 pożyczek zakładom pracy na zorganizowanie 16 dodatkowych miejsc pracy.

Dużym, jeśli nie największym problemem biur pracy jest zatrudnianie absolwentów szkół średnich i wyższych. Co roku opuszcza szkoły lub uczelnie około 2000 młodzieży. Biuro pracy dysponowało w omawianym okresie tylko 16 ofertami pracy dla 504 absolwentów. Tymczasem wielu absolwentów utraciło już prawa do pobierania zasiłku i nie znalazło dotychczas zatrudnienia. Stwierdzić przy tym należy, że części pracować na etacie po prostu się nie chce. O wiele łatwiej zarobić kilka milionów handlując na bazarze, niż zainteresować się chociażby robotami interwencyjnymi.

Dyrektor WBP, Adam Pacholek, stwierdza wprost, że przy średniej płacy w naszym regionie, wahającej się w granicach 1200-1300 tys. zł, bezrobotni nie mają żadnej motywacji, by się przekwalifikować lub podejmować pracę etatową. Taka praca się po prostu nie opłaca. Bardziej operatywni radzą sobie nieźle w warunkach chaosu, jaki panuje w polskim systemie finansowym i podatkowym, a zasiłek jest dla nich tylko dodatkowym źródłem dochodu. Wciąż bowiem można handlować nie rejestrując nigdzie swojej działalności, nie płacąc podatków. Można też pracować na zlecenie. Jeżeli umowa nie obejmuje okresu dłuższego niż pół roku, nikt nie ma obowiązku zgłaszania tego faktu w biurze pracy. Sprawy te, jeżeli nawet łamane jest prawo, są bardzo trudne do wykrycia. Niewykluczone zatem, że części naszej społeczności nie wiedzie się tak źle, jak wykazuje ona w ankietach sporządzanych dla różnych urzędów.

(WJ)

„Z karczmy do świetlic”

Pod takim tytułem opublikowano niegdyś w tygodniku chełmskim „Kronika Nadbużańska” (nr 1/1933) pochwałę tzw. akcji świetlicowej w mieście, która objęła około 600 młodych bezrobotnych. Mat. — autor tekstu — informował:

„Wojewódzki i Powiatowy Komitet dla spraw bezrobocia uruchomił też świetlicę powszechną, gdzie obok akcji oświatowej prowadzone było dożywianie młodzieży bezrobotnej. Mło-

dzień z zadowoleniem spędzała czas w okresie zimy na słuchaniu radia, czytaniu czasopism czy gier umysłowych. [...]

Należy zaznaczyć, że praca [nauczycielstwa] budowana była w duchu państwowym, bez jakichkolwiek naleciałości partyjnych, co młodzież urobioną społecznie pociągało, gdyż nie widziała tu ordynarnej walki o dusze, jaką uprawiają różne ugrupowania społeczno-polityczne najczęściej wśród młodego narybku.

Myszę, że w dalszym ciągu, nie tylko w okresie bezrobocia i kryzysu ekonomicznego i duchowego, akcja ta będzie prowadzona, gdyż ona nam daje rękojmię, że przez tak pojętą pracę, ulepszaną z dnia na dzień, dojdziemy do tego, co się zwie ukulturalnieniem i uspołecznieniem człowieka pracy".

(red.)

Casus Roskosz

Opinia publiczna w Polsce została na początku maja poruszona zaskakującą informacją, zamieszczoną w Urbanowym „Nie”. Za tą notatką jak w dym poszła cała gromada dziennikarzy, poczynawszy od lokalnego „Słowa Podlasia” po „Prawo i Życie” i wreszcie „Kamień”. Urban z właściwą sobie swadą pisał („Nie” nr 23): „zapał precedensowy wyrok sądowy, który nakazuje chłopom oddawać dawnym dziedzicom (alias obszarnikom) hektary, które z mocy reformy rolnej dostali prawie pół wieku temu”. Autor nieco przesadził, bo dotychczas jeden tylko dziedzic uzyskał sądowy wyrok potwierdzający jego prawo własności do 1655 hektarów dawnego majątku Roskosz w województwie białokopolskim. Jest nim mieszkający w Warszawie Stanisław Karski.

Posługując się owym wyrokiem, Karscy wystąpili do dyrekcji PGR Roskosz z żądaniem zwrotu ziemi, pałacu wraz z parkiem, gorzelni i innych budynków gospodarczych. Zaskoczenie dyrektora możemy sobie tylko wyobrazić! Nie, nie był zaskoczony faktem otrzymania takiego pisma, ale wymienioną w nim powierzchnią gruntu. Cztery zakłady rolne wchodzące w skład PGR gospodarują bowiem na... 440 ha! Pozostałe 1215 ha znajdują się natomiast w posiadaniu indywidualnych rolników, zamieszkujących okoliczne wioski. Sądowe przyznanie własności tej ziemi Karskim oznaczałoby więc początek akcji rugowania chłopów z uprawianej przez nich od trzech czasów pokoleń ziemi!

Na szczęście jeszcze nie. Ciągłe przecież obowiązuje dekret z 6 września 1944, na podstawie którego podzielono także ziemię Karskich. Czyżby sąd ten fakt przeoczył? Sprawiedliwość nierychliwa, ale zawsze przecież jakaś jest. Tym razem odnalazła się w odnośnym ministerstwie, które wniosło do Izby Cywilnej Sądu Najwyższego rewizję nadzwyczajną. Zarzuca w niej rażące naruszenie prawa, postulując przy tym uchylene wcześniejszego wyroku. Można już w tej chwili zakładać, że SN przychylił się do tego wniosku.

Domniemanie, że na tym ta sprawa się zamyka jest jednak błędne. Niewielka społeczność gospodarujących na owej ziemi została głęboko poruszona. Ujawnia się to najmocniej w ich wypowiedziach, udzielanych zresztą niechętnie. Słyszac, że oto znowu dziennikarz się ich czepia, reagują nerwowo. Ci zaś nieliczni, którzy chcą porozmawiać, nie życzą sobie nagrywania czy zapisywania wypowiedzi, nie chcą się przedstawiać.

— Wystarczy tego — mówią — jak nas obsmarowali inni. W „Prawie i Życiu” autorka zrobiła z nas złopiących piwsko prostaków i ciemniaków, co to tylko butelki po piwie o ścianę potrafią rozbijać.

— Gdyby ktoś przyszedł ziemię nam odbierać, to kosy na sztorc postawimy i tym... synom udowodnimy, że chłop na

Podlasiu jeszcze nie zapomniał, jak się o swoje upominać. Wynos się pan już!

Nie ma wyjścia, trzeba posłuchać tej „prośby” — nie chce być pierwszym, który przekona się, co zapamiętali podlascy chłopci.

Z tą ciemnotą coś też nie jest tak. Pani Jadwiga Szczypińska — żona byłego dyrektora PGR Roskosz, opowiadała mi później o organizowanych co kwartał wyjazdach pracowników do teatrów. Szczególnie zaś zapamiętała dyskusję, jaka w wycieczkowym autokarze rozgrywała się po obejrzeniu „Emigrantów” Sławomira Mrożka. Lud więc w Roskoszu nie ciemny. Pracownicy PGR przyznają tylko, że w tym, co się w kraju obecnie dzieje, zdążyli się całkowicie pogubić.

— Bo i o co tu chodzi? — pytają. — Do roku 1989 nasz PGR nigdy nie potrzebował kredytów, teraz mamy ich sporo do spłacenia. Niektórzy z nas rozpoczynając pracę, mieszkali w rozpadających się czworakach, w stajni, w chlewni. Własnym kosztem wybudowaliśmy nowoczesne osiedle mieszkaniowe. Brzeczywiście, 100-metrowych, dwupoziomowych mieszkań, jakie są w jednym z bloków, pozazdrościłby im niejeden mieszczuch. Mamy sporą liczbę maszyn, rozbudowaliśmy gorzelnię i budynki gospodarcze, zbieraliśmy coraz wyższe plony... Nagle PGR, nie tylko zresztą nasz, stał się niepotrzebny.

Kilkusobowa obsada biura zakładu rolnego Roskosz ma świadomość, że ich przyszłość to prywatyzacja — „bo innego wyjścia nie ma” — ale jak ten proces ma wyglądać, nie wiedzą.

— Karskich tutaj, na wypracowany naszymi rękami majątek, nie wpuszcimy. Jeżeli chcą, niech sobie zabiorą pałac i park; od ziemi im wara!

Były dyrektor PGR Roskosz, Henryk Szczypiński, wyraża podobną opinię. Przytacza też sumę 100 milionów złotych jako dolną granicę kosztów utrzymania pałacu. „Kogo na to stać?” — pyta retorycznie. „Tym bardziej, że PGR znajduje się w stadium likwidacji”. Przyczyną jego niechęci do mass-mediów jest także, jak się okazuje, publikacja w „Prawie i Życiu”. Nie rozumie, jak bez słowa komentarza jej autorka (Helena Kowalik) mogła przytoczyć kłamliwe słowa pani Karskiej. Że niby park został zdewastowany, że wycięto rosnący obok pałacu tulipanowiec, że ten sam los spotkał ogromny modrzew — drzewo dla rodu Karskich historyczne, bowiem w okresie powstania styczniowego Rosjanie powiesili na nim jednego z młodych hrabiów Platerów.

— Panie — prawie krzyczy prowadząc mnie do parku — a co to jest? — pokazuje przepiękny tulipanowiec i ów modrzew. — To wszystko za to, że będąc dyrektorem, pilnowałem tego parku jak oczka w głowie! Całymi miesiącami siedzieli w nim fachowcy z instytutu zajmującego się ochroną starych drzew. Każdy sęc jest dokładnie zabezpieczony. Jeszcze w ubiegłym roku zatrudniony był człowiek, który usuwał dzikie siewki drzew i błyskawicznie rosące chwasty. Teraz nie ma na to pieniędzy.

Karscy, jeśli chcą, mogą odzyskać pałac i park — co do tego zgodni są wszyscy. Czy będą to w stanie utrzymać, to już ich sprawa. Państwo Szczypińscy są przekonani, że jeżeli ktoś nie zaopiekuje się zespołem pałacowo-parkowym zostanie on skazany na zagładę. Znają mentalność ludzi.

Pierwsza zakrojona na taką skalę próba odzyskania majątku, podjęta przez byłych właścicieli, zakończy się zapewne niepowodzeniem. Ludzie jednak — zupełnie słusznie — boją się, że następne próby mogą okazać się skuteczne. Nie dotyczy to wyłącznie Roskoszy. Jeden z moich rozmówców zapytał wręcz: — No dobrze, a co się stanie, jeżeli z żądaniami rewindykacyjnymi wystąpią przedwojenni latyfundiści?

Właśnie: co się stanie, gdy do słabych na razie głosów byłych ziemian dołączą swoje Lubomirscy, Potoccy, Branicey, Radziwiłłowie czy Zamojscy?

Tadeusz Fleszyński

Tadeusz Fleszyński (1886-1968), działacz samorządowy, pedagog i publicysta, urodził się 9 maja w majątku Maszów w gminie Rudnik, powiatu krasnostawskiego, w rodzinie ziemiańskiej. Rodzice jego, Józef i Antonina z Boznańskich (stryjeczna siostra znanej malarki Olgi Boznańskiej) prowadzili w tymże Maszowie spore gospodarstwo rolne o powierzchni 417 ha dobrej, lessowej ziemi. Syna swego po wstępnym przygotowaniu oddali do gimnazjum rosyjskiego (innego wówczas nie było) w Lublinie. Tam też Tadeusz, będąc już uczniem klasy maturalnej, wziął w 1904 roku udział w strajku szkolnym, domagając się wraz z kolegami wprowadzenia nauczania w języku polskim. Władze carskie wydalły go za to ze szkoły, z „wilczym biletem”. Nie mając możliwości kształcenia się na terenie rosyjskiego imperium, wyjechał za kordon i podjął studia w Akademii Rolniczej w czeskim Taborze. Wraz z nim w szkole tej była spora grupa młodzieży polskiej z zaboru rosyjskiego, a także poddanych austriackich. W uczelni obrał sobie za specjalność chmielarstwo, odbywając w tym kierunku praktykę zawodową. W 1907 r. przeniósł się do Niemiec, by kontynuować studia na uniwersytecie w Halle, gdzie otrzymał dyplom inżyniera rolnika-chmielarza. Następnie powrócił do rodzinnego Maszowa, by zająć się prowadzeniem gospodarstwa po zmarłym przed rokiem ojcu.

Zasobny wiedzą fachową i obdarzony wrodzoną pracowitością, oddaje się z zapałem pracy na roli. Zresztą, nie widział dla siebie w ogóle innego zajęcia, jako że od dziecka był przywiązany do ziemi rodzinnej. W majątku wprowadzał innowacje i ulepszenia, rozwinął hodowlę trzody chlewnej i rasowego bydła oraz uprawę buraków cukrowych. Nade wszystko jednak zainteresował się plantowaniem chmielu, zakładając sporych rozmiarów chmielnik, co było w tych stronach absolutną nowością. Przepelniony niespożytą energią i młodzieńczym zapałem nie ograniczył się do pracy na własnym gospodarstwie, lecz oddawał się też z pasją działalności społecznej. Będąc czynnym działaczem Towarzystwa Rolniczego, szerzył oświatę rolną, wygłaszał na wsiach odczyty, w których propagował postępowe metody pracy na roli. Zachęcał do zakładania chmielników, widząc w tym sposób na pomnożenie dochodów w gospodarstwach drobnych rolników i wyrwanie chłopów z wiekowego zaniedbania i biedy. W rezultacie przyczynił się w dużym stopniu do podniesienia kultury rolnej i do spopularyzowania hodowli chmielu w Krasnostawskim. Należał też do Związku Ziemian, jednakże w środowisku tym nie cieszył się zbyt dużym uznaniem; zarzucano mu chłopomanstwo, miano za zło, że oddaje się działalności społecznej na wsi. W tych uprzedzeniach chyba nie mało było zwykłej ludzkiej zazdrości, jako że gospodarstwo maszowskie, prowadzone wzorowo, przynosiło znaczne dochody, czego nie można było powiedzieć o innych majątkach ziemskich.

Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę Tadeusz Fleszyński włączył się do działalności samorządowej, zostając radnym krasnostawskiego sejmiku powiatowego i członkiem jego wydziału rolnego, któremu zresztą przewodniczył. Z jego inicjatywy powołano w Krasnymstawie (1921 r.) 11-miesięczną szkołę rolniczą i działającą przy niej kursy rolniczo-hodowlane. Sejmik powołał go też na społeczną funkcję „pierwszego opiekuna szkoły” i na jej wykładowcę. To za jego staraniem w 1925 r. oddano do dyspozycji tej placówki oświatowej nowy budynek dydaktyczny i zabudowania gospodarcze. On też założył duży, bo liczący 4,5 ha powierzchni szkolny chmielnik.

Niespożyty w swej pracy społecznej, udzielał się też w najbliższej okolicy Maszowa. Przewodniczył radzie nadzorczej spółdzielni rolniczo-handlowej w Rudniku, był członkiem rady spółdzielni mleczarskiej w Pionce, wspierał wiejskie straże pożarne. Zdobył sobie powszechne uznanie i zasłużony w pełni szacunek. Dzięki jego zabiegom, jego pracy popularyzatorskiej wśród miejscowego chłopstwa, powiat krasnostawski w niedługim czasie stał się znany z produkcji szyszek chmielowych i uzyskał miano zagłębia chmielowego.

Tadeusz Fleszyński, zapędzony pracą społeczną i utrudzony prowadzeniem własnego gospodarstwa rolnego, zaniedbał życie osobiste tak, że dopiero w wieku 43 lat zmienił swój stan cywilny i zawarł związek



„Chmielakowy” medal z wizerunkiem T. Fleszyńskiego

małżeński — z Marią, urodzoną Mościcką. Małżonkowie dochowali się trojga dzieci, z których córka Ewa jest prawnikiem w lubelskim sądownictwie, a syn Janusz, będąc z wykształcenia elektronikiem, pracuje naukowo w Politechnice Lubelskiej. Najstarsza córka Anna nie żyje.

W czasie okupacji rodzina Fleszyńskich, utrzymując się na swoim majątku, świadczyła pomoc polskiej konspiracji: dostarczała zaopatrzenie dla oddziałów leśnych i dawała schronienie w swoim gospodarstwie ludziom „spalonym”. Zresztą, pan Tadeusz był sam członkiem miejscowej organizacji Ak-owskiej.

Jesienią 1944 r., dzięki zdecydowanej postawie robotników rolnych z majątku Maszów, Fleszyński uniknął aresztowania przez oddział polskich oraz radzieckich funkcjonariuszy bezpieczeństwa i nocą, na chłopskiej furmance, pojechał do Lublina, gdzie wcześniej schroniła się jego żona z dziećmi.

Tymczasem w 1946 r. uruchomiono w Krasnymstawie szkołę rolniczą i potrzebny był pilnie wykładowca chmielarstwa. Ponieważ innego, wybitnego specjalisty w tej dziedzinie poza Fleszyńskim nie było, władze zmuszone były wyrazić zgodę na jego zatrudnienie. Tak więc przez dalsze dwadzieścia lat pełnił on funkcję nauczyciela w tej szkole, dojeżdżając na wykłady z Lublina. Dopiero w wieku lat 80 odszedł na emeryturę, a dwa lata później, 5 kwietnia 1968 r., rozstał się z życiem. Zmarł w Lublinie; pochowany został w rodzinnym grobowcu na parafialnym cmentarzu w Pionce. Zgodnie z jego przedśmiertnym życzeniem, do trumny wysypano wszystkie chmielowe, stanowiące swoisty symbol jego życiowej pasji.

Tadeusz Fleszyński wychował liczny zastęp wykwalifikowanych chmielarzy. Pozostawił też po sobie znaczny dorobek twórczy w postaci wielu artykułów w pismach fachowych, zarówno własnego autorstwa, jak i tłumaczeń z czeskiego, a wszystkie one dotyczyły problematyki związanej z hodowlą i pielęgnacją chmielu. Był współautorem zwartych wydawnictw dotyczących tej tematyki, takich jak: „Przewodnik chmielarski” (1951), „Podręcznik chmielarstwa dla techników rolniczych” (1946) i „Chmiel” (1953).

Był dwukrotnie odznaczony w okresie międzywojennym Złotym Krzyżem Zasługi „za pracę na polu społecznym”. Natomiast w roku 1960 Europejski Kongres Uprawy Chmielu w Strasburgu przyznał mu Order Chmielarstwa (Ordre du houblon).

Działacze gospodarczy Krasnostawu przejęli od Fleszyńskiego pasję chmielarską i poczynając od 1970 r. urządzają co jesieni uroczyste dożynki chmielowe. Z okazji dziesiątych „Chmielaków” wydany został pamiątkowy medal z jego portretem i z wicią chmielową.

Biblioteka
UMCS
Lublin

Konstanty Prożogo

FUNDACJA „KAMENA”

Jej zarząd działa całkowicie społecznie, a wszelkie pozyskane środki materialne kierować będzie, zgodnie ze statutem, na cele kulturalne.

Jako obowiązek podstawowy założyciele Fundacji uznali wspieranie kwartalnika „Kamena”, jednego z doprawdy nielicznych już w Polsce czasopism o tak długiej biografii, rozpoczętej w Chełmie niemal 60 lat temu, dokładnie: w 1933 roku. W swoim prasowym życiu miała „Kamena” okresy rozkwitu i depresji, budziła sympatię i krytykę, była wreszcie przedmiotem małodusznych poczynań, zmierzających do jej likwidacji, które nigdy jednak nie doprowadziły do wymazania tytułu z panoramicznego obrazu naszej kultury. Otóż to! „Kamena” istniała i żyje nadal z woli przynajmniej niektórych kręgów publiczności, postrzegających w piśmie trwałą element polskiej tradycji, a więc coś wartego szczególnej troski wobec bolesnych doświadczeń, jakich owej tradycji nie szczędziła Historia. Naturalnie, społeczną legitymacją współczesnej „Kameny” może być głównie poziom i program pisma, którego zainteresowania określa podtytuł: kwartalnik kresowy.

Żyjemy przecież w czasach powikłanych, trudnych dla kultury, zatem z wdzięcznością przyjmujemy każdą pomoc materialną (finansową), kierowaną na rzecz pisma za pośrednictwem Fundacji.

Wpłaty można dokonywać na konto:

Fundacja „Kamena”

PKO O/Chełm

11514-66992-132-3

Wszystkie wpłaty zostaną odnotowane na łamach kwartalnika, a ofiarodawcy otrzymają ich pisemne potwierdzenie.

Korespondencję do Fundacji prosimy kierować pod adres redakcji.



Karol Dromlewski: późnobarokowy kościół we Włodawie wg projektu Pawła Fontany wzniesiony w latach 1741-17